

tytuł: "Przysięga zemsty"

autor: David Morrell

Tytuł oryginału BLOOD OATH

Ilustracja na okładce COLIN THOMAS

Opracowanie graficzne ADAM OLCHOWIK

Redaktor KRYSZYNA GRZESIK

Biblioteka Publiczna m. st. Warszawy

Dzielnicy Mokotów

Wypożyczalnia nr 8

1062001735

Copyright © 1982 by David Morrell

For the Polish edition Copyright © 1992 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-7082-138-3

Georgowi Morrellowi

ur. ?, zm.: 1943

pamięci ojca,

którego nigdy nie znałem

Dotarli tam, gdzie stary przewoźnik przemierzał swą łodzią rozległe wody. To był Charon. Ci nieszczęśnicy, których nie przyjął do łodzi, nie zostali należycie pogrzebani. Ich przeznaczeniem była trwająca setki lat bezkresna wędrówka, w czasie której nigdy nie mieli znaleźć miejsca na spoczynek.

Edith Hamilton

Część I

i

Rzędy białych krzyży ciągnęły się bez końca. Ustawione w idealnych szeregach, każdy krzyż i każdy ich rząd w równych między sobą odstępach. Poziomo, pionowo — linie ułożone w wyważoną sieć.

Houston poczuł nagle wywołujący drżenie chłód. To tylko wiatr wiejący poprzez wzgórze, wmawiał sobie bez przekonania. Jego wynajęty citroen zaparkowany był w najwyższym punkcie okolicy. Oparł się o wóz, spoglądając na wojskowy cmentarz położony o pół mili niżej. Porywy wiatru szarpały jego włosy i mroziły policzki. Musiał zmrużyć oczy. W prawym oku kręciła się łza. To tylko wiatr, pomyślał znowu, choć ciągle bez wiary. Tak, to tylko wiatr.

Krzyże lśniły, jak gdyby każdego ranka oddziały smętnych żołnierzy przechodziły wśród nich, wycierając kurz i polerując je. Ich jasność dręczyła Houstona, spokojny szyk wzbudzał niepokój. Trzydzieści siedem lat temu dziesięć tysięcy żołnierzy oddało tu swoje życie. Zastanawiał się, czy dowodzący nimi generał stał tu, gdzie on stoi teraz oparty o citroena. Dolina musiała być istnym piekłem: ogień, dym, eksplozje i leje po nich, ciała rozrzucone po całej tej przerażającej okolicy, chaotyczny grzmot. Zawładnęła nim wyobraźnia. Wiatr robił swoje sztuczki. Zajęczał przeraźliwie, a Houstonowi wydało się, że to odgłosy dalekich wystrzałów. Był pewien, że słyszał wysokie zawodzenie, błagalne lamenty i...

Otrząsnął się. Gdy przetarł łzę, dolina wróciła do poprzedniego wyglądu; doskonała sieć krzyży na tle bujnej, gęstej trawy, tak ciemnozielonej, że prawie oliwkowoczarnej — las mogił, w oddali skłębione chmury, zakrywające głęboki błękit nieba, jakiego nigdy nie widział.

— Będzie burza — powiedziała stojąca obok Janice.

Drżąc z zimna, otuliła się ciasno swym tweedowym, brązowym blezerem. Jej długie, kasztanowe włosy porywał do tyłu wiatr. Policzki miała zmarznięte i zaczerwienione. Zielone oczy, tak jak i jego, zmrużone i zażawione, spoglądały błagalnie.

— Czy nie moglibyśmy oglądać tego z samochodu? Zmarzłam. Uśmiechnął się do niej.

— Chyba byłem gdzieś daleko.

— Wykorzystaj każdą chwilę. Czekaleś na to trzydzieści siedem lat, ale, dobry Boże, czy nie jest ci zimno?

— Włączymy ogrzewanie. Możemy pojechać tam na dół. Odwrócił się i otworzył drzwi, by wsiąść do Citroëna. Poprzez

sportowe buty poczuł twardy opór na pedałach. Janice wsunęła się z drugiej strony. Zamknęli drzwi. Jego policzki były bez czucia. Ręce lodowate. Przygłuszony wiatr pojękiwał za oknem.

— Czuję... pustkę w żołądku... jakiś niepokój — odezwał się Houston.

— To naturalne. Mogłeś się tego spodziewać. W końcu był twoim ojcem.

— Był.

Houston włączył silnik, wyjechał z „turystycznego punktu widokowego” (tak informował po francusku znak) i skierował się w dół krętą dwupasową szosą na spotkanie, którego oczekiwał przez całe życie.

— To dziwne — powiedział. — Jako dziecko zastanawiałem się, jak to miejsce wygląda.

Wyobrażałem sobie cmentarze takie jak u nas. A to jest... nie wiem.

— Higieniczny, homogenizowany, bezduszny i zapakowany w celofan.

Uśmiechnął się.

— Nigdy nie wyrwiesz się z lat sześćdziesiątych. Kiedy zamykam oczy, widzę cię przemawiającą na frontowych stopniach siedziby związku studentów. „Spalcie wasze karty kredytowe! Zajmijcie gmach administracji!”

Janice ukryła twarz.

— Nie byłam taka straszna.

— Jasne, byłaś dobra. Ale muszę powiedzieć ci prawdę. Nie spaliłem mojej karty.

10

— Przecież widziałam.

— Bilet parkingowy.

— Ty cwany...! Wszystko, czego chciałeś, to...

— Znaleźć się w twoich myślach.

— Ty zatwardziały hipokryto.

— Zatwardziały pragmatyku, mówiąc precyzyjnie.

Śmieli się aż do chwili, gdy wyrosły przed nimi rzędy krzyży. Pomyślał, że zachowywali się tak, jak gdyby pogwizdywali obok przejeżdżającego karawanu.

— Jesteś naprawdę niesamowity — powiedziała.

— Nie ma tu żadnych drzew. Zauważyłaś?

— Zniszczyłyby całą koncepcję. Armia lubi prostotę i ład. Jak na okręcie.

— Tak mówią w marynarce.

— Przestań, wiesz, co mam na myśli. Wojsko zabija, a potem gloryfikuje śmierć.

— Chcesz powiedzieć, że ta wojna była niepotrzebna? To nie był Wietnam.

— Była konieczna, to nie ulega wątpliwości. Jednak stojąc tam wysoko i spoglądając na te krzyże, nigdy nie dowiemy się, ile cierpień w sobie kryją.

— Nie jestem pewny, czy w ogóle chciałbym wiedzieć. Poczuł, że Janice obserwuje go.

— Przepraszam — powiedziała. — Naprawdę tak nie myślałam.

— Trzydzieści siedem lat. — Pokręcił głową. Ścisnął mocniej kierownicę. — Czy wiesz, że nigdy nie widziałem jego zdjęcia?

Janice zdziwiła się.

— Co? Żartujesz.

— Mama spaliła wszystkie fotografie. Powiedziała, że nie mogła znieść tych wspomnień. Później żałowała, że to zrobiła, ale nie było sposobu na ich odtworzenie.

— Musiała go bardzo kochać.

— Wiem tylko, że miała szansę na powtórne małżeństwo, ale tego nie zrobiła. Ciągle pamiętam — to musiało być wiele lat później — jak popłakiwała sobie przed zaśnięciem. Budziłem się i słuchałem. Szedłem do niej i pytałem, co się stało. „To wspomnienia, Peter — mówiła, mając zaczerwienione oczy i pociągając nosem. — To tylko wspomnienia o twoim ojcu.”

11

— Boże.

— Tyle krzyży. Pod którym został pochowany?

Janice położyła rękę na jego kolanie i ścisnęła uspokajając go. Przetrzęsawszy swoją torebkę, znalazła paczkę papierosów, zapaliła jednego i podała mu.

Skinął głową zaciągając się głęboko. Amerykański. Z niewielką ilością smoły i nikotyny. Miał spore kłopoty, by je tutaj znaleźć, i zapłacił cztery razy więcej niż w Stanach. Te francuskie żagwie, które próbował, wywoływały kaszel. Ponadto miał nadzieję, że wyjątkowo wysoka cena zmusi go do ograniczenia nałogu.

Citroen wypełnił się dymem. Opuścił szybę i poczuł na sobie powiew wiatru. Dym uleciał przez okno. Houston wpatrywał się w wysoką i przerośniętą chwastami trawę, pochylając się nisko po obu stronach drogi. Szosa opadała w lewo, wzdłuż wzniesienia. Z tej perspektywy spoglądał w kierunku rozległych sadów po zachodniej stronie doliny. Wiatr jednak tak popędził chmury, iż dolinę ogarnął cień. Minął zakręt. Teraz patrzył w prawo, na wschód. Cementarz wypełniał całą szybę samochodu — bliski, wyraźny i jaskrawy — białe krzyże na tle nieoczekiwanego cienia, bezkres.

Houston patrzył na wyłaniający się, coraz wyraźniejszy kamienny mur. Wjechał przez kutą żelazną bramę i zatrzymał się na parkingu. Wysiedli z citroena. Drżeli na wietrze, stojąc przed rozłożystym, niskim, białym budynkiem, który przypominał Houstonowi centrum administracyjne w wielkim mieście, gdzieś w Stanach. Budynek cały ze szkła i metalu. Bezduszny. Instytucja — pomyślał. Wydawało się, że krzewy są wykonane z plastiku, a trawnik przypominał jakiś kosmiczny twór.

— To okropne — odezwał się Houston. — To nic nie zmieni. Nic się nie zmieni, mimo że tu jestem. Do diabła, nawet nie znałem tego człowieka. — Jego głos brzmiał ostro.

— Chcesz się rozejrzeć? Zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie mogę. Nie myślałem o ojcu przez lata, ale jako dziecko obiecałem sobie, że któregoś dnia ujrzę jego grób. Teraz śmierć matki. Przyjechaliśmy tu, do Francji, abym przestał o tym myśleć. Jednak nie mogę. Jeśli odwiedzę jego grób, to może zaakceptuję i jej. A może tylko chcę mu powiedzieć, że jego żona nie żyje.

12

Jan wsunęła swoją rękę w jego dłoń i mocno zacisnęła. Houston poczuł ucisk w gardle.

— Spełnimy twoją obietnicę.

Skinął potakująco głową. Przeszedł pod napisem — AMERYKAŃSKI POMNIK WOJENNY — a dalej zakrzewionym z obu stron chodnikiem w kierunku szklanych drzwi wejściowych. Popchnął je do środka. Wewnątrz poczuł duszne powietrze i usłyszał echo swych kroków, odbite od sztucznego marmuru. Dookoła długiego pomieszczenia zrobiono wystawę: fotografie i mapy przedstawiające przebieg bitwy; karabiny, hełmy, mundury i inne drobne przedmioty; modele, dioramy, obrazy, flagi. W pomieszczeniu było wyjątkowo jasno. Usłyszał syk zamykających się za nim drzwi. Z tyłu wyczuwał obecność Janice.

Swą uwagę skupił na znajdującym się dokładnie naprzeciw kontuarze. Urzędnik o szczupłej twarzy, wąskich ustach i krótkich włosach, ubrany w ciemny garnitur uniósł się w oczekiwaniu. Houston podszedł wprost do niego.

— W czym mogę pomóc?

Houston dostrzegł w jego klapie znaczek Amerykańskiego Legionu Urzędników.

— Nie jestem pewien, jak... mój ojciec zginął tutaj — powiedział. — Nie wiem, jak odnaleźć jego grób. Czy są ułożone alfabetycznie? — Głos Houstona brzmiał tubalnie w muzealnym echu pomieszczenia.

— Nie, proszę pana. — Urzędnik pochylił się do przodu tak gorliwie zainteresowany, że przypominał Houstonowi dyrektora zakładu pogrzebowego. — Są ułożeni regimentami i kompaniami. Gdybym miał jego nazwisko, mógłbym odszukać ten grób.

— Nazywał się Stephen Houston.

— Czy miał drugie imię? Gdyby nazwiska się powtarzały.

— Proszę?

— Mogło być kilku poległych o tym nazwisku.

— Ach tak, rozumiem. Samuel.

Urządnik, w którego głosie czuć było południowy akcent, spojrział na niego z zainteresowaniem.

— Czy pan pochodzi z Teksasu? — wycedził.

— Nie, dlaczego pan tak sądzi?

— Przepraszam pana. To drugie imię. Sam Houston.

13

— Tak, rzeczywiście. Pochodzimy jednak z Indiany.

— Czy mógłby pan chwilę poczekać. — Urządnik pochylił się nad konsolą znajdującą się poniżej kontuaru.

Houston spojrział na Jan. Jasne, fluoryzujące światła brzęczały nieprzyjemnie. W skroniach czuł pulsowanie.

— Zapaliłbym jeszcze jednego papierosa — powiedział.

Poza nim palce stukwały w klawiaturę konsoli. Jan szperała w swojej torebce. Wtem Houston usłyszał zdziwiony teksański głos.

— To było Stephen Samuel Houston, proszę pana?

— Tak. — Wziął papierosa od Jan. Zapalił go i odwrócił się do urzędnika. Nie lubił takich spojrzeń, jakie zobaczył. Serce mu przyspieszyło. — O co chodzi?

— Gdyby mógł pan przeliterować, proszę pana.

— H-o-u-

— Nie, nazwisko znam. Pierwsze imię, proszę pana. Ja piszę je przez „ph” w środku. Czasami zamiast tego występuje „v”.

— Pisz je pan właściwie. — Żołądek Houstona płoń.

— Jest pan pewien, że tutaj został pochowany?

— Absolutnie.

— Może na innym cmentarzu?

— Nie, na tym.

— Jedną chwileczkę, proszę pana.

Urządnik odszedł sztywno w kierunku drzwi. Zapukał. Z wnętrza odpowiedział mu przytłumiony głos. Houston zobaczył, jak urzędnik wchodzi i zamyka drzwi.

— O co, do diabła, tu chodzi? — odezwał się do Jan. Jej zdziwione oczy poruszały się nerwowo.

— Domyślam się, że ten ich głupi komputer nie działa.

Gdy drzwi się otworzyły, Houston odwrócił się gwałtownie. Patrzył na starszego mężczyznę o kwadratowej szczęce, ciemnookiego, ubranego w blezer marynarki wojennej. Wsłuchiwał się w echo jego kroków.

— Panie Houston, nazywam się Andrews. Jestem tutaj nadinten-dentem. — Houston uściśnął jego dłoń nerwowo i niechętnie. — Mój asystent poinformował mnie, że przyjechał pan tutaj, by zobaczyć grób ojca.

— Tak.

— Nie może jednak znaleźć żadnego śladu świadczącego o tym, że pański ojciec był tu pochowany.

14

Houston otworzył usta ze zdziwienia.

— Sprawdzał dwukrotnie i nikt o takim nazwisku nie występuje w naszym komputerze.

— To niemożliwe.

— Nie całkiem, proszę pana. Bardzo starannie wprowadzaliśmy dane z naszej starej kartoteki do komputera. Ale jesteśmy tylko ludźmi i czasami błędy się zdarzają.

— Błędy? Czy coś takiego już się zdarzyło?

— Niestety tak. W zeszłym roku. I powtórnie, w zeszłym miesiącu. — Andrews wyglądał na zaniepokojonego. — Nasze stare kartoteki są na dole. Sprawdź je. Nie zajmie mi to więcej niż piętnaście minut.

— Proszę poczekać. Te inne groby. Czy znalazł je pan? Nadintendent już nie odpowiedział.

Houston chodził zdezorientowany. Najpierw sprawa zajęła nadin-tendentowi znacznie więcej czasu

niż obiecane piętnaście minut. Dziewięćdziesiąt minut. Potem, kiedy już wrócił, poprosił ich, by weszli do jego biura. Był niezadowolony.

Houston był również niezadowolony. Spojrzał na Jan, zgasił kolejnego papierosa i wszedł za nią do biura.

Pomieszczenie to przygniatało go. Małe, surowe i bez okien. Puste metalowe biurko. Trzy stalowe krzesła. Telefon na ścianie. Jaskrawe światła, nasilające ból głowy.

— Pewnie pan się domyśla — odezwał się Andrews. Houston zeszytywniał na krześle.

— Ale...

— Proszę — zanim pan zacznie się niepokoić — można to próbować wyjaśnić na kilka sposobów. Być może został pochowany na cmentarzu na północ stąd. To pięćdziesiąt mil.

— Nie, zginął tutaj, w tej bitwie.

— Zakładał pan naturalnie, że skoro tu zginął, to został też tu pochowany.

Andrews czekał. Houston pomyślał o tym ze złością. Opanował się ustępując.

! Tak, zakładałem.

15

—r- Wojsko jednak, szczególnie w czasie wojny, nie zawsze działa precyzyjnie czy logicznie. — Andrews ściągnął usta. — Wie pan, jak działają biurokraci.

— Tak.

— No więc w tym przypadku mogło być podobnie. Zamiast załatwić sprawę w najprostszy sposób, mogli pochować pańskiego ojca gdzie indziej.

— Więc — Houston z wysiłkiem ukrywał swoje rosnące zniecierpliwienie — niech pan zadzwoni na ten inny cmentarz.

— Już to zrobiłem. Właśnie czekamy na telefon.

Jednak odpowiedź nie była taka, jakiej Houston oczekiwał. Andrews odwiesił słuchawkę. Pokręcił głową stukając ołówkiem w blat biurka.

— Słuchajcie, można zwariować — wyrzucił z siebie Houston.

— Byłbym nieuczciwy, gdybym nie wspomniał o jeszcze jednej możliwości.

— Jakiej?

— Nie lubię o tym mówić. To może jedynie pana zdenerwować. Houston spojrzął z ukosa.

— Chciał pan powiedzieć: zirytować.

— Jest możliwe, choć to mało prawdopodobne, że pański ojciec został zidentyfikowany jako ktoś inny.

— Inne nazwisko?

— Dokładnie. Jeśli jego blaszka identyfikacyjna gdzieś zaginęła...

— Został pochowany tutaj z nazwiskiem Smith lub Jones? Głos Houstona podnosił się.

— Lub John Doe, nieznany, nie zidentyfikowany. W czasie bitwy czasami blaszki identyfikacyjne ulegają zniszczeniu, podobnie jak i ciała...

— Proszę — jęknęła Jan.

— Pani Houston, proszę mi wybaczyć. To nie są sprawy, o których lubię rozmawiać. Jest jeszcze inna możliwość: kiedy katalogowano plany cmentarza, zdarzył się błąd opuszczenia...

— Proszę jaśniej — przerwał mu Houston.

— Pański ojciec prawdopodobnie był tu pochowany, ale nie został wpisany do naszych dokumentów.

— Czy chce pan powiedzieć, że zgubiliście jego ciało?

Twarz nadintendenta zmieniła kolor najpierw na czerwony, potem

16

szary. Jego szczęka wydawała się jeszcze bardziej kwadratowa, a kości policzkowe wydatniejsze.

- Zostałem tutaj oddelegowany pięć lat temu. Nie wiem, co oeli uczynić moi poprzednicy, ale zapewniam pana, że ja dobrze wypełniam swoje obowiązki.

Houston wyczuwał gniew, tak jak i zapach ozonu w tym dusznym pomieszczeniu.

\_\_ Pete, pan Andrews chce nam pomóc — odezwała się zaniepokojona Jan.

Houston poruszył się na krześle. Potarł pulsujące czoło, potakując z zakłopotaniem.

— Tu nie chodzi o pana — powiedział. — Myślałem, no, o kimś innym... kimkolwiek.

Houston dostrzegł wściekle spojrzenie nadintendenta.

— Przepraszam — powiedział do niego. — Jestem wykładowcą. Powinienem wyrażać się ściślej. Przepraszam.

Wrogość w oczach Andrews'a zmieniła się w troskliwe spojrzenie. Pod ciemnymi oczami jego błyskotliwy intelekt rozważał możliwość przyjęcia przeprosin. Westchnął.

— Jestem cholernie zasadniczy — niech mi pan wybaczy. Służyłem w armii. Jako sierżant. Teraz pracuję w Departamencie Obrony. Jestem lojalnym pracownikiem. Nawet nie wiedzą państwo, jak nie cierpię przyznawania się do tych wpadek, zdarzających się w wojsku. Ludzie mówią: psikusy. — Pokiwał głową. — Proszę mi wierzyć, zrobię, co będę mógł. Już poprzednio czułem się nieswojo. Teraz odbieram to jeszcze boleśniej. Jakikolwiek głupi błąd tu zdarzył, to nie był to mój błąd. Nie powinienem siebie winić. A jednak... Co panu jest?

— Paskudny ból głowy. — Houston mrużył oczy przed oślepiającymi światłami. Ich brzęczenie było tak nieznośne jak borowanie zęba.

Poczekaj chwilę — powiedziała Jan, szukając czegoś w torebce, alazła metalowe opakowanie aspiryny i otworzyła wieczko. — dostało mi trochę kawy — przypomniała sobie.

Jołknął trzy pastylki, popijając gorzką kawą. Odstawił filiżankę, nknął oczy, czekając z nadzieją na ustąpienie bólu.

Obiecuję, że spełnię pańskie życzenie. Dowiem się, co się stało, touston podniósł powieki, spoglądając poprzez ostre światło w kierunku nadintendenta.

17

— Jest pan wykładowcą, panie Houston. Tak pan mówił? Czy mówił? Nie mógł sobie przypomnieć.

— Tak, w Indianie.

— W szkole średniej?

— W college'u. Dunston College. To prywatna szkoła koło Evansville.

— To prawie w Kentucky. Zainteresowanie Houstona wzrosło.

— Tak, skąd pan wie?

— Wychowałem się w Louisville. Nie byłem w domu od... no, od kiedy zostałem tu oddelegowany. Mówią, że smog jest jeszcze gorszy.

— Może pan wierzyć. m

— Postęp. Boże zachowaj nas. Uczy pan...?

— Literatury.

— Jest pan pisarzem? — Wzbudziło to jeszcze większe zainteresowanie Andrews'a.

— Opublikowałem cztery powieści.

— To pozwoliło panu na podróż za ocean?

Houston poczuł mrowienie w kręgosłupie. Coś stało się w jego żołądku.

— Pan nie zadaje tych pytań ot tak sobie. Ma pan powód. — Spoglądał wściekły na Andrews'a. — Jeśli pan sądzi, że sobie to wyobrażam, ponieważ piszę, zmyślam to...

— Nie, proszę pana. Wcale tak nie myślę. Ale proszę zostać jeszcze chwilę. Sądzę, że nie był pan przedtem we Francji.

— Gdybym był, przyjechałbym zobaczyć grób ojca.

— Lecz odwiedzenie grobu ojca nie było powodem pańskiego przyjazdu do Francji.

— Nie rozumiem.

— Kiedy oboje państwo planowali tę podróż, jej głównym celem nie był...

— Przyjazd na cmentarz? Nie, moja matka zmarła. Po pogrzebie musiałem wyjechać.

— I pomyślał pan, że skoro już tu pan przyjechał, to mógłby pan złożyć mu hołd.

— Ciągle myślałem o jej śmierci. Ale nie rozumiem. Skąd pan...

— Przyjechał pan bez przygotowania. Bez żadnych informacji,

18

óre mogłyby mi pomóc. Na przykład numer kolejny pańskiego ojca. y zna pan chociaż jego

stopień?

— Kapral.

— To już coś. Po powrocie do domu niech pan przeszuka rodzinne kumenty. Niech pan też zrobi kopię listu z Departamentu Wojny pańskiej matki i innych dokumentów, jakie się znajdują.

— One nie istnieją.

— Proszę? — Andrews zamrugął oczami ze zdziwienia.

— Matka spaliła wszystko, listy ojca, fotografie, pismo z Departamentu Wojny. Wszystko. Kochała go bardzo. Myślę, że się załamała. Próbowwała wszystko usunąć z pamięci. Cokolwiek mogło go przypominać, zostało zniszczone.

— Słucham pana, ale nie mogę zrozumieć.

— Już panu powiedziałem, bardzo go kochała.

— Nie — powiedział Andrews stanowczo. — Nie rozumiem, skąd bierze się pana pewność, że został pochowany właśnie tutaj.

— Ona mi powiedziała.

— Kiedy?

— Gdy trochę podrosłem. Kiedy zacząłem ją pytać, dlaczego nie mam ojca.

— Jest pan pewien swojej dziecięcej pamięci? — Twarz nadintendenta skrzywiła się z niedowierzaniem.

— Często o tym mówiła. Widzi pan, później żałowała tego, co zrobiła, że nie ma jego zdjęć ani listów. Stał się dla nas swego rodzaju legendą. Powtarzała o nim różne historie, słowo w słowo. Sprawiała, że

ibiecałem pamiętać każdy szczegół. „Peter” — ciągle pamiętam jej Iowa. — „Peter, chociaż twój ojciec zginął, on ciągle żyje, tak długo, jak długo go pamiętamy.”

Andrews postukiwał ołówkiem po biurku.

- On myśli, że zwariowałem! — odezwał się z Janice obok Citroena. Wiatr ucichł. Chmury świeciło mocnym blaskiem.

- Ależ nie — powiedziała Janice patrząc na niego zakłopotana. —

Houston. Stał też zniknęły. Słońce

19

A ty co byś zrobił na jego miejscu? Czy ten wojskowy sknera zmyśla, czy też ty po prostu nie pamiętasz?

— Przecież ci powiedziałem...

— Wierzę ci. Nie potrzebujesz mi udowadniać, jak dobrą masz pamięć. Widziałam, jak sobie radzisz bez notatek na wykładach. Ja nie mam potrzeby się przekonywać. Ale nadintendent tak. Dla niego fakt nie jest faktem, dopóki nie został opisany na papierze i dwukrotnie sprawdzony. Jeżeli chodzi o niego, zrobił dla ciebie wszystko, co mógł, zważywszy ilość informacji, jakie mógł uzyskać.

— Co oznacza, że sądzi, iż zwariowałem.

— Nie. Mylisz się.

Houston przeczeszał włosy palcami. Z zakłopotaniem spoglądał na przygniatający biały budynek.

— Dobra, przyznaję mu wiele racji. Może to ja się mylę. — Odwrócił się nagle do niej. — Ale nie dlatego, że nie pamiętam. To matka mogła zapomnieć.

— Nie możemy już jej zapytać.

— No i co teraz? — zapytał Houston, pełen bólu, niechęci i dezaprobaty. — Zostawimy to tak po prostu, jak jest?

— Możemy napisać po powrocie do Departamentu Wojny.

— Ale teraz jesteśmy tutaj. Gdzieś blisko grobu ojca.

— Jeśli odszukasz jakieś dokumenty, Andrews, być może, znajdzie ten grób, gdy tu znowu przyjedziemy. W końcu sam przedtem mówiłeś: co to za różnica? — Zamrugła oczami, jak gdyby nagle zdała sobie sprawę ze znaczenia słów, które wypowiedziała. — Zapomnij to ostatnie.

Houston zmierzył ją wzrokiem.

— Dla mnie, faceta w średnim wieku, nie ma to większego znaczenia. Do diabła, moje życie nie zmieni się, jeśli stanę nad jego grobem. Ale dla tego chłopca, który dorastał wśród wspomnień o ojcu... Cholera, co się ze mną dzieje?

— Nic. Jesteś sentymentalny. To nawet ciekawe. Houston uśmiechnął się do niej.

— Wiesz, co mówisz.

— Powinam. Wystarczająco długo jestem twoją żoną. Pocałował ją.

Spoglądając raz jeszcze na budynek, ujrzał w oknie wpatrzoną gdzieś w dal postać.

— To nie ja się myślę — zwrócił się do niej.

20

— Co?

— Nic, tylko... Ten cholerny ból głowy. Możesz poprowadzić?

Houston wsiadł do Citroëna. Pozamykali przedtem okna i teraz siedzenie było gorące, a powietrze stęchłe i lepkie. Gdy uchylił szybę, poczuł, jak jego myśli się rozjaśniają.

Jan wyjechała przez żelazną bramę. Skręciła w stronę krętej, wiodącej na wzniesienie szosy.

Chociaż czuł za sobą groby, nie odwrócił się, by na nie spojrzeć. Zajmowało go coś innego, ta uporczywa i dokuczliwa myśl, że było coś jeszcze, o czym zapomniał.

— Był jakiś Francuz — powiedział.

— Gdzie? Nie widziałam go — odpowiedziała.

— Nie. Nie tutaj. Był jakiś Francuz. Teraz sobie przypominam.

— Co sobie przypominasz?

— Francuz. Potem — w czterdziestym czwartym — matka mówiła, że dostała od niego kilka listów.

Teraz jego umysł stał się jasny. Głęboki, ciemny zakątek pamięci został odświeżony. Żołądek palił z podniecenia.

— Czy te listy zachowały się? — zapytała Jan.

— Wątpię. Jeśli spaliła inne rzeczy, to zrobiła to samo i z listami. Ale to nie szkodzi. Pamiętam, co o nich mówiła. — Ożywiał się. — Francuz napisał, że jego rodacy czują wdzięczność wobec wszystkich żołnierzy poległych w walkach o wolność jego kraju. Każdy mieszkaniec wsi wybrał jeden grób. Przyrzekli je doglądać, pielęgnować kwiaty. Każdy poległy żołnierz był nieomal bratem lub synem.

Twarz Jan przybrała wyraz dezaprobaty.

— Ten Francuz wybrał grób ojca.

— Nie rozumiem, jak to może nam pomóc.

— Powinien pamiętać. Możemy go zapytać, gdzie jest ten grób.

— Jeżeli jeszcze żyje i jeśli... To nie ma sensu. Nie wiemy, kto to jest.

— Ja wiem.

— Nie możesz ode mnie oczekiwać, że w to uwierzę...

— Pierre. Tak miał na imię. Dlatego je pamiętam. Pierre de St. Laurent.

— Wiesz, gdzie się zatrzymaliśmy. St. Laurent. Ale dlaczego miałbyś pamiętać jego imię? —

Spojrzała na niego.

21

— To proste. Matka zawsze mówiła: „Jedynym pocieszeniem, Peter, jest świadomość, że ten pan we Francji, który opiekuje się grobem ojca, ma na imię Peter. Tak jak ty, Pierre.”

Miasteczko rozciągało się po obu stronach spokojnej rzeki. Wczesnym popołudniem senne cienie osiadały na sklepach i domach, poprawiając samopoczucie Houstona. Uśmiechał się do sprzedawców kwiatów i owoców, do starszych mężczyzn pykających fajki w drzwiach swoich domów. Gdyby nie ruch uliczny, słupy telefoniczne i elektryczne przewody, byłby przekonany, że znalazł się w siedemnasjym stuleciu.

Jan prowadziła przez stary kamienny most. Poniżej dwie łodzie dryfowały leniwie. W jednej z nich jakiś mężczyzna i chłopiec łowili ryby. Przed sobą ujrzeni małomiasteczkowy rynek, gdzie wysokie drzewa kontrastowały ze skromnym, surowym obeliskiem — pomnikiem ofiar drugiej wojny światowej. Zamyślił się kierując wzrok, poprzez gromadkę kręcących się tu dzieciaków, ku tablicy



pamiętkowej na obelisku — spisu poległych z tego miasteczka.

— Nie wysiadasz? — zapytała.

Houston otrząsnął się. Zatrzymała się przy ich hotelu, zwróconym w stronę parku i nieco dalej przepływającej rzeki.

— Mogę, co prawda, przeczytać menu — powiedział. — Potrafię też odnaleźć męski wychodek. Nie sądzę jednak, bym był w stanie zadać właściwe pytania, nie mówiąc już o przetłumaczeniu odpowiedzi.

Skierowali się do frontowych drzwi hotelu. Wiele lat temu była to magnacka rezydencja. Teraz turyści jedzą i śpią tam, gdzie kiedyś arystokraci władali okolicą.

— W Europie wszystko widać z perspektywy — zauważyła Janice, kiedy tu przyjechali. — Ta budowla powstała, zanim odkryto Amerykę.

Podeszli do recepcji w jasno oświetlonym hallu. Houston, łamaną francuszczyzną, zapytał właściciela o możliwość wynajęcia tłumacza. Mężczyzna odpowiedział powoli:

— Monsieur powinien korzystać z okazji i pogłębiać znajomość języka. Tłumacz tylko rozleniwia. Przepraszam za impertynencje — dodał ciągle się uśmiechając.

Houston uśmiechnął się także. Właściciel odetchnął.

22

,\_\_ D'accord. Je sais. Mais nous... — Houston stracił rezon. —

Mamy pewną sprawę do załatwienia. Muszę rozumieć dokładnie. Precisement.

\_\_ To zmienia postać rzeczy. Gdyby monsieur był uprzejmy chwilę zaczekać...

\_\_ Jestem głodna — odezwała się Janice.

Pete powiedział właścicielowi, gdzie będą czekać.

W restauracji usiedli przy oknie, przez które widać było olbrzymie drzewa w parku. Zamówili białe wytrawne wino i zimnego kurczaka z sałatą.

Pete wyczuł czyjś cień. Podnosząc wzrok zobaczył stojącą przed nim kobietę.

— Pan Houston?

Miała trzydziestkę, może mniej, ale na pewno nie więcej. Wysoka, szczupła; ciemne i długie włosy, pociągające oczy; pełne usta, spokojny i głęboki głos.

— Mój ojciec jest właścicielem tego hotelu. Mówi, że potrzebuje pan tłumacza.

Jej nadejście było tak nieoczekiwane, że przez kilka chwil Houston nie zauważył, iż mówiła po angielsku bez żadnego obcego akcentu.

— Tak, to prawda.

— Jeśli mogłabym w czymś pomóc.

— Proszę usiąść. Napije się pani wina?

— Nie, dziękuję. — Siadając, wygładziła spódnice. Nosiła sandały i żółty sweter z podwiniętymi rękawami. Złożyła ręce na kolanach i czekała.

— To jest Janice — powiedział Houston. — Ja mam na imię Peter. Podali sobie ręce.

— Simone — przedstawiła się.

— Twój angielski jest godny podziwu.

— Studiowałam zarządzanie hotelami w Berkeley w latach sześćdziesiątych. Kiedy zaczęły się rozruchy studenckie, wróciłam do Francji.

A więc się myliłem, pomyślał. Nie miała trzydziestki. Miała więcej niż trzydzieści pięć. Nigdy bym nie pomyślał. Wyjaśnił, czego potrzebuje, chociaż unikał wspomniania o tym, co wydarzyło się na cmentarzu.

— Chce więc pan podziękować temu człowiekowi — wtrąciła Simone — za dogładanie grobu pańskiego ojca.

23

— Byliśmy tu niedaleko. Pomyślałem, że chociaż tyle mogę zrobić. Simone zmarszczyła brwi.

— Trzydzieści siedem lat.

— Wiem. Być może nie żyje.

— Nie o to chodzi. Jeśli żyje, trudno będzie go odnaleźć. Wielu ludzi pochodzi tutaj ze starych

rodzin, których nazwisko wywodzi się od nazwy miejscowości St. Laurent. Potomków tych Laurentów, którzy się tutaj osiedlili. Mógłby pan z takim samym skutkiem szukać w Ameryce kogoś o nazwisku Smith lub Jones. Tu jednak chodzi o Pierre'a de St. Laurenta. To pomaga uściślić problem. — Zastanawiała się przez moment. — Proszę chwilę poczekać. — Wstała zgrabnie, z arystokratyczną gracją i wyszła.

— Pociągająca — zauważyła Janice. ^

— Doprawdy? Nie zwróciłem uwagi.

— Lepiej jedz lunch, głupcze, zanim wpakujesz się w tarapaty. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Skończyli pić kawę, zanim nadeszła

Simone.

— Sprawdziłam miejscową książkę telefoniczną — powiedziała. — To zadziwiające, ale nie ma żadnego St. Laurenta z takim imieniem. Gdybyśmy byli w Stanach, moglibyśmy sprawdzić miejscowy spis ludności. Ale tutaj takiego nie mamy.

— Czy nie ma innego sposobu? Simone wyglądała na zmartwioną.

— Co teraz? — zapytał Houston.

— Jest jeden człowiek, który być może będzie mógł wam pomóc. Houston wykrzywił twarz widząc jej niechęć.

— Jest już stary. Nie czuje się dobrze. Ale wie wszystko o tej miejscowości.

Houston podniósł się.

— Poszukajmy go.

Nozdrza Houstona rozchyliły się pod wpływem kamforowego dymu. Okna były zasłonięte. W pokoju panowała ciemność, z wyjątkiem żaru promieniującego od palącego się pod kominkiem pniaka.

Sędziwy kapłan siedział na krześle przy palenisku. Był to ojciec

24

Devereaux. Słabowity i pomarszczony, prawie skurczony, którego rzadkie włosy przypominały Houstonowi pajęczą sieć. Zakaszłał z głębi piersi; powtarzało się to dosyć często i za każdym razem wywoływało ból. Spod derki, którą był opatulony, wyciągnął zmiętą, lecz obszerną chustkę i wytarł nią usta. Był w stanie zebrać siły jedynie na krótkie, powolne zdania. Jego głos był cienki i słaby, prawie bezgłosny, tak że Houston — chociaż nie znał języka — nachylił się bliżej.

— Tak dawno temu. Tyle się wydarzyło. — Odwracając się od kapłana, Simone tłumaczyła.

— Powiedz mu, że doceniam jego wysiłek. Powiedz też, że wszystko, co pamięta, może nam pomóc — prosił Houston. Simone przetłumaczyła na francuski. Kapłan odpowiedział.

— Przypomina sobie człowieka, którego szukasz.

W tym momencie Houston spojrzał w kierunku Janice, próbując opanować gwałtowne podniecenie.

— Ale bardzo mu przykro. Nie może ci pomóc.

— Dlaczego? — zapytał Houston. — Jeżeli pamięta.

— Przepraszam, ale człowiek, którego poszukujesz, był wtedy młody. On sam był młody. Za dużo się wydarzyło.

Houston zamarł. Coś jest nie tak.

— Jesteś pewna, że on rozumie?

— O, doskonale.

— To dlaczego...? Słuchaj, zapytaj go o tego człowieka, którego szukam, czy nadal mieszka we wsi?

Simone wyjaśniła. Kapłan powoli pokiwał głową.

— O co tu chodzi? — nalegał Houston. — On albo nie wie, albo nie chce powiedzieć.

Ojciec Devereaux zakaszłał. Przetarł ogromną chustką usta i zamknął oczy. Houston zachnął się z wyrazem współczucia. Simone mówiła krótko, po czym starzec, biorąc pod uwagę jego stan, wygłosił niemal elaborat.

— Coś zaczynam rozumieć — powiedziała Jan, ale Houston czekał z niecierpliwością na tłumaczenie Simone.

— Mówi, że nie ma pojęcia. Nie wie, gdzie ten człowiek się podziewa i czy w ogóle żyje. Co

więcej, nie chce wiedzieć. Zdaje sobie sprawę, że w tym przypadku nie wypełnia swych obowiązków, lecz prosi Boga o wybaczenie. Jako pasterz powinien dbać o wszystkie

25

swoje owieczki, ale ten człowiek jest mu obojętny. Powinien kochać stworzone przez Boga dusze, ale nie musi lubić człowieka, który je gubi. Iskra trzasnęła w palenisku.

— Nie rozumiem — odezwał się Houston.

Ksiądz znowu zaczął mówić. Jego głos osłabł. Nagle zakaszłał tak mocno, że aż grzechot przetoczył się przez żołądek Houstona.

— Mówi, że musi odpocząć. Nie może odpowiadać już na żadne pytania.

— Ale...

— Jest jeszcze coś. Mówi, że wszystkiego o tym człowieku dowiedział się w konfesjonale. Wiele lat temu; dzisiaj dużo się zmieniło. On jednak ciągle pamięta, że jedzenie mięsa w piątek jest śmiertelnym grzechem, podobnie jak niepójście na niedzielną mszę, jak rozwód — przerwała na chwilę. — Pamięta, jak mógł odprawiać mszę po łacinie. Cieszy się, że umrze, zanim kolejne zmiany znużą go zupełnie. Lecz wszystko to, przynajmniej w jego przypadku, niczego nie zmieniło. Nie złamie tajemnicy spowiedzi.

Houston skupił uwagę na księdzu. Zaszuszona twarz, z upiornie tłącymi się oczami, spoglądała w jego kierunku. Houston westchnął i powoli pokiwał głową.

Ojciec Devereaux odwrócił się do Simone i z nieco większym zaangażowaniem mówił coś do niej prywatnie. Jego ton był prawie rodzicielski. Chociaż Houston próbował nadażyć za tym, co ksiądz miał jej do powiedzenia, to przyprawiający o mdłości słodki kamforowy dym odwrócił jego uwagę. W końcu dał sobie spokój.

Jan gapiała się, zaszokowana, zmieszana i zniechęcona, trudno jej było coś powiedzieć. Ksiądz zamilkł. Simone ukłękła i ucałowała jego dłoń. Pobłogosławił ją. Pomogła mu wstać. Pete podziękował, choć nie bardzo był pewien za co.

— Bóg wam dopomoże — odpowiedział ojciec Devereaux po francusku. Wsparł się na sofie, nieco dalej na krześle, po czym powłócząc nogami i pokaszując wyszedł z pokoju.

Na zewnątrz przenikniętej kamforą plebanii Houston wdychał popołudniową świeżość ogrodu.

— Co teraz? — zapytał.

— Miejscowy urząd — zaproponowała Simone. Podeszli do żelaznej furtki w ogrodowym murze.

26

— Ten ostatni fragment. Nie przetłumaczyłaś — powiedział Houston.

— To była sprawa osobista.

— W hotelu wahałaś się, czy nas tutaj przyprowadzić.

Skinęła głową. Houston pociągnął furtkę i przepuścił je przodem.

— Słyszałaś, jak mówił o rozwodzie — powiedziała. Teraz z kolei on pokiwał głową.

— No więc, kiedy wyjechałam do Berkeley, wyszłam za męża. Dokuczał mi. Wszystko to jakoś nie trzymało się kupy.

Więc to nie rozruchy studenckie spowodowały jej powrót do Francji. To przez zrujnowane małżeństwo i rozwód.

— Mówi, że powinnam się wypowiadać i że będzie się za mnie aodlił.

Suterena ratusza została zbudowana tuż nad rzeką. Wilgoć przenikała wszystko. Uginająca się drewniana podłoga, obskurny, lepki kontuar, dokumenty zgromadzone w drewnianych pudłach, ułożonych w sterty na rzędach półek zajmujących całe pomieszczenie; wszystko to wydzielalo wilgotny, cuchnący odór.

Houston przyglądał się urzędnikowi spoglądającemu swoimi wąskimi oczkami gdzieś do tyłu i przeczącemu stanowczo głową. Przypominał mu jednocześnie sierżanta i księdza powtarzających: „Nie, monsieur”. Był już po pięćdziesiątce, otyły i jakby zaniepokojony. Na lunch zjadł parówki. Houston wyczuwał ziejący od niego zapach czosnku zmieszany z fajkowym dymem i zwiędziałym winem.

Rozumiał jego niepokój. Byli tutaj już od godziny. Poprosili go o odszukanie nazwiska Pierre'a de St. Laurenta w miejscowych rejestrach podatkowych, lecz bez rezultatu. Poprosili więc o przeszukanie listy okolicznych właścicieli ziemskich. I tam nazwisko to nie figurowało.

— Est-il mort? — zastanawiał się urzędnik, lecz natychmiast pożałował tego, co powiedział.

Wyglądał tak, jakby celowo ugryzł się w język z powodu sugestii, która mogła oznaczać dalszą pracę — przeszukiwanie aktów zgonu, cofając się wiele lat wstecz. Westchnął

i zaczął znosić pudła na kontuar. Chociaż Houston dobrze wiedział,

27

że tylko urzędnicy mają wgląd do akt, ten jednak z wdzięcznością przyjął pomoc.

W rezultacie całą robotę zostawił Houstonowi, Janice i Simone. Strzelił szelkami, założył ręce na swej pasiastej koszuli i kołysał się na obcasach to w przód, to w tył. Co jakiś czas, ponad głową Houstona, spoglądał na zakurzony ścienny zegar.

Pete nie bardzo umiał mówić po francusku, ale potrafił czytać. Z tymi papierami jednak miał kłopoty. Wiele dokumentów pozlepiało się razem i nieostrożny ruch ręki mógł je łatwo uszkodzić. Atrament, w miarę cofania się przez kolejne roczniki, stawał się coraz bledszy, a tajemnicze bazgroły powypisywane były różnymi rękami. Zarówno on, jak i Janice często pytali Simone o ich znaczenie. Lata osiemdziesiąte, siedemdziesiąte, sześćdziesiąte. W każdym pudle dokumenty ułożone były alfabetycznie, ale wszyscy Laurentowie zebrani byli razem, zupełnie przypadkowo, bez zwracania uwagi na ich imiona. W tej paskudnej suterenie, bez okien, z kilkoma bladymi, dyndającymi pod sufitem żarówkami, Houstonowi znowu zaczął dokuczać ból głowy. Zauważył, że był obserwowany.

— Napiłabym się — powiedziała Jan.

— Dużo tego — odpowiedział. — Przejrzeliśmy co najmniej połowę. Boże, więcej niż połowę. — Mylił się. Zostały jeszcze tylko trzy pudła. Wziął 1953. Simone 1952, a Jan 1951.

— Gdzie jest rocznik 1950? — zapytał Houston. Urzędnik był najwyraźniej zakłopotany.

— Qu'est-ce que c'est?

Simone przetłumaczyła. Urzędnik rozpoczął długi wywód.

— To ostatni — powiedziała Simone, zwracając się do Houstona.

— Co?

— Dokumenty kończą się na roku 1951. On ma rację. Zupełnie zapomniałam.

— Ale dlaczego?

— Spłonęły. Teraz sobie przypominam. W pięćdziesiątym pierwszym roku. Byłam jeszcze dzieckiem, ale, pamiętam, matka wzięła mnie, bym zobaczyła. Ogień sprawił, że było jasno jak w dzień.

— Ratusz?

— Stary, ale solidny, przyzwoity ratusz. Nie jak ten przebudowany magazyn. Nikt nie wie, jak to się stało. Ktoś zostawił papierosa? Może krótkie śpięcie? Kto to może wiedzieć? W każdym razie został

28

całkowicie zniszczony. Matka pozwoliła mi patrzeć, aż stałam się tak senna, że musiała mnie zabrać do domu. Rano wróciliśmy, ale nie było już nic oprócz szkieletu. Przez miesiące, przechodząc tamtędy, czułam spaleniznę.

— Coś chyba się jednak zachowało.

Spojrzała tylko na niego.

7

Szli wzdłuż brukowanej ulicy. Niebo było pomarańczowe, lecz tutaj budynki zasłaniały zachód słońca, wywołując przedwczesny zmierzch. Houston spoglądał poprzez cienie w kierunku rzecznej mgły, zawieszanej ponad drzewami za przeciwległym krańcem ulicy.

— Przynajmniej spróbowaliśmy — powiedziała Jan. Idąc z nią ramię przy ramieniu, skinął apatycznie pochłonięty Pierre'effl St. Laurentem.

— To tak, jakby ten człowiek zniknął.

— W Ameryce powiedziałbyś, że spróbowałeś trafić z dystansu — powiedziała Simone — ale zbyt dużo czynników było przeciwko tobie.

— Ktoś musi go pamiętać — powiedział. Jego głos wyrażał napięcie i zirytowanie.

— Niekoniecznie — odrzekła Simone. Houston spojrzał na nią.

— Kiedy wojna się skończyła, wiele miejscowości było tak zniszczonych, że pamięć o tym, co się stało, była nieznośna — powiedziała zwracając się do niego. — Ludzie, którzy stracili swoje domy, którzy pochowali rodziców, małżonków, dzieci, zdecydowali się na rozpoczęcie życia na nowo, gdzie indziej. Jako Amerykanin nie rozumiesz tych spraw. Mielście szczęście, że nie było u was wielu wojen. Tu, we Francji, rzadko mamy pokój. Wojny ciągnęły się przez całe stulecia. — Przerwała, jej oczy posmutniały. — Przeprowadzka. To trudno wyjaśnić. Wyobraź sobie waszą wojnę secesyjną. Georgia po rzezi Shermana. Nie ocalał żaden dom na farmie. Nie pozostawiono ani jednego rosnącego źdźbła trawy. Kompletna ruina. A teraz wyobraź sobie, że odwiedzasz Georgię trzydzieści siedem lat później. Szukasz człowieka o pospolitym nazwisku, który mieszkał w pewnej miejscowości leżącej na drodze przemarszu Shermana. Czy miałbyś nadzieję

29

na jego odnalezienie? Czy byłoby to dziwne, twoim zdaniem, że nikt go już nie pamięta?

— Musi być jakiś sposób.

— Czy twoje zobowiązanie jest aż tak silne? Musisz mu podziękować?

Houston nieomal się jej nie zwierzył, lecz na szczęście coś się w nim zamknęło. Jakaś niechęć przeszkadzała mu. Wyjaśnił to sobie jako brak siły do wspomnień. Jego głębokie emocje, hamowane tak długo, były potencjalnie zbyt bolesne.

— Myślę, że to punkt honoru. Simone, zdziwiona, zmarszczyła brwi.

— Możemy jutro pójść na policję. Jan była zaskoczona.

— Dlaczego?

— Ponieważ jesteście aż tak zdeterminowani.

Houston czuł się wyczerpany. Był szczęśliwy, gdy opuściwszy wąską, brukowaną ulicę dotarli do chodnika naprzeciw parku. Cienie zniknęły. Stał w jasnym świetle zachodzącego słońca. Ponad parkową ciszą unosiła się pastelowopomarańczowa, rzeczna mgła.

— Jak u Cezanne'a — powiedziała Jan.

Czemu więc smutek z lat dziecinnych ma zakłócać teraźniejszość? — pomyślał. Jestem tutaj. Kraj jest piękny. Jedzenie wspaniałe, ludzie przyjaźni. Dlaczego coś z dawnych czasów zakłóca mój spokój? Tu i teraz — to jest istotne. I wino — pomyślał. O tak, wino.

— Napijmy się — powiedział. — Simone, zjadłabyś kolację z nami?

— Dziękuję, ale ojciec mnie potrzebuje. Za długo mnie nie było. Może innym razem, zanim wyjedziecie.

— Więc jutro.

— A policja?

— Nie, myślę, że nie. Wątpię, czy mogliby nam pomóc. — Dłoń Jan tkwiła w jego dłoni. Poczuł potrzebę uwolnienia się. — Ile jestem ci winien? Nieznani twojej stawki.

— Mój angielski potrzebuje praktyki. Nie ma o czym mówić.

Liczyła, jak się domyślał, że nie będzie nalegał. Zmęczenie przytłumiło w nim pragnienie odnalezienia ojcowskiego grobu. W końcu zrobił wszystko, co było możliwe — przekonywał się. Co za różnica, że się nie udało. Żadna. Zupełnie. Zobaczenie grobu spowodowałoby jedynie litość nad sobą samym.

30

Weszli do hotelu, gdzie odwrócił się do Simone, by jej podziękować.

Mie było już jednak okazji. Właśnie podszedł jej ojciec, nieskazitelnie ubrany, ze złotą dewizką, zwieszającą się z kamizelki. Zrównoważony) rystokratyczny, z uprzejmymi i czarującymi oczami. Simone wyjaśniła, gdzie była.

Twarz starszego pana zbladła.

— Comment? — Zwrócił się w kierunku Houstona^ zachynając od — Quoi? W ślosie brzmiała ostrożność i zakłopot^ żołą<lek Houstona zapłonał.

— Pardon?

— Pierre de St. Laurent? — W oczach starszego pana pojawił się szok, głos wyrażał zdumienie.

— Oui.

Starszy pan mówił coś do Simone. Zdania przelatywały tak szybko, że Houston nie mógł zrozumieć ani słowa. Simone zrobiła niezadowoloną minę.

— Co?

— Ojciec żałuje, że go znał. Chciałby ci pomóc, ostrzec, zaoszczędzić wiele wysiłku i kłopotów, które mogą się pojawić

8

Musieli czekać. Chociaż starszy pan był zdecydowany jmu pomóc, musiał jednak dopilnować interesu i wieczornego posiłku z wyraźną niechęcią zostawił Jan i Houstona.

— Później — powiedział po francusku. — Musimy o^ym porozmawiać później. — Już miał odchodzić, gdy nagle, strLpiony> szybko się odwrócił. — Długo — rzekł, a następnie dodał — l °hguement. Jest wiele spraw, których nie rozumiecie.

Wielkość hallu powodowała, że Houston czuł się wyją^o^ mary. Na skórze poczuł mrowienie.

Pojawiła się w nim ś>ia(jomo^; ze wszystko zaczyna się od początku. Simone wychodziła,

— Zaczekaj — powiedział do niej.

— Muszę pomóc ojcu.

Pete i Janice zostali sami. Przytłumione odgłosy z restauracji wydawały się upiorne. Czuł się w jakiś sposób odi^iowany, O(j. separowany od polerowanych belek i ścian pokrytych boazerią.

31

— ...był diabłem. — Głos Monsarda hipnotyzował. Mówił po francusku; Simone tłumaczyła. — Nie, to ważne, by być wiernym — ciągnął Monsard. — Żaden człowiek, żaden dorosły człowiek nie powinien zachowywać się tak jak on. Był dwudziestojednoletnim

Zaszumiła winda. Kabina opuściła się, rozchyliły się metalowe miast okazał się duży, ładnie urządzone - kilka starannie dobranych drzwi. Wysiadł z niej gość w wieczorowej marynarce i czam ntyCZnych krzesel, lampy i stoły. Proste, eleganckie, drogie. Największe krawacie. Minął ich kierując się w stronę restauracji. Przeszedł wrażenie na Houstonie wywarły^ delikatne tkaniny i łagodne cienie, wystarczająco blisko Houstona, by ten mógł wyczuć kosmetyczny Brandy była najlepsza, jaką kiedykolwiek pił. Nalewając trunek do pudel - o zapachu bzu. W tej samej chwili Houstonowi wydało się, delikatnego kieliszka, słyszał kuranty zegara stojącego na kominku -że widzi go z dużej odległości, jakby przez odwrotną stronę lunety, dziesiąta, a potem dziesiątąjrzędzi.

Nierzeczywisty, pomyślał.

- Co jest grane? — odezwał się do Janice.

- Peter Lorre.

- Co?

- Agent w biurze podróży nie wspomniał o żadnej intrydze, kiedy chłopakiem. Lecz młodość nie może usprawiedliwić jego postępowania, dawał nam plan podróży

To diabeł. - Monsard zwolnił nieco. - Czterdziesty czwarty. Jesteście

- Musieliśmy wywołać jakiś lokalny skandal. . a młodzi, by to docenić. - Użył vous nie tylko jako gest szacunku,

- Coś poruszyliśmy, to pewne. I co teraz zrobimy? - Spojrzeli l» chcac ^rańŁ> że Aoi^l \*>

.również ^imone ' Jamc?l ~ ^ na swoje dżinsowe ubrania, nie mając ochoty na ich zmianę przed możecie sobie wy^brazle' tak Jak Ja' co to ^ za czasy- H^tel b? jedzeniem. Zmusili się jednak do wejścia na górę i włożenia czegoś baza operacyjną Niemców. W tym właśnie pokoju niemiecki generał bardziej stosownego, po czym wrócili do restauracji. Ciastko było prowadził posiedzenia sztabu, przygotowując taktykę walk, z ahantami. doskonałe, lecz Houston nie zwracał na nie takiej uwagi, na jaką Monsard przerwał Zaważył. « kiellszek Houstona był pusty zasługiwało. Czuł ucisk w żołądku, jak gdyby oczekiwał pilnego wi?c nachylił S1? ku memu l nalal nowa porcJf- H

°USton zapaW telefonu, który był zawsze odwlekany. Zniecierpliwieni, ociągali się PaPierosa> me spuszczać oczu z twarzy Monsarda.

z wypiciem kawy, lecz właściciel nie nadchodził. Simone także znikła. " Oficerowie niemieccy stołowali się tutaj, w restauracji, którą Wyszli z hotelu na spacer. Mijali żółte latarnie uliczne, wdychali dzUB« Powadzę. Skonfiskowali wszystkie lepsze domy wzdłuż rzeki chłodną mgłą znad rzeki. Gwiazdozbiory wisiały nad nimi, ciemne, na kwatery dla swolch Podoficerów. Żołnierze obozowali wszędzie, krystaliczne w Parku 1

na polach. Na każdego mieszkańca przypadały trzy tuziny

Kiedy wrócili do hotelu, Simone czekała wraz z ojcem w recepcji. Niemców- Gdziekolwiek się spojrzęło, widać było ich mundury, hełmy. Oboje byli spięci i sztywni, gdy do nich podchodzili. Do tego czasu Ich czoł^ działa' icn" smar d° kafabinów! wżCdzie można §° W0 stosunki pomiędzy właścicielem a Houstonem były takie jak pomiędzy ^ZUa Spahny- Pot l ucos zJ^załego... meokreślonego, co później sprzedawcą a klientem. Teraz jednak gospodarz stał się przyjacielski, Stał° f^?asne' a W° ,obawa zarówno przed Niemcami! Jak J przed wręcz osobiście zaangażowany. mieszkańcami miasteczka.

- Jacques Monsard - przedstawiła go córka. Imię to, niewąt- cz. ff ^TT^ V&™ ^^ ^ TM wspomneme ° tamtych pliwie, dobrze pasowało do tego niewysokiego starszego mężczyzny c-Odetchnął.

o arystokratycznych manierach. Houston uściśnął jego dłoń, po czym 7 ~ Brako^ało Jedzfia dla mieszkańców, a Niemcy nie byli dobrze został z Imrhww\*. 7anmS7,nv „a Bnw Kra,,Hv An iLn zaoPatrzem. Zęby walczyć, musieli jesc, więc przeszukiwali nasze kurtuazją, zaproszony na szklaneczkę brandy do jego T ' M , y' Z J | ? r 7 ^ • T\*r

-o anartamentu aomy. Znaleźli ukryte zapasy. Nic nam me zostawili. Ludzie głodowali.

Nie mieliśmy siły, by obsługiwać niemieckich oficerów tak, jak tego został, z

prywatnego apartamentu.

Były to dwa mieszczące się na parterze, na tyłach hallu, pokoje, gdzie tabliczka, po francusku, informowała: wstęp wzbroniony. Houston nigdy nie widział, co mieści się za drugimi, zamkniętymi ^ ^z Pierwszy Monsard popił. Trzymając łyk brandy na języku, drzwiami, ale domyślał się, że sypialnia. Pokój wypoczynkowy nato- ^^^-^ z oczami pełnymi goryczy' W przeszłe °braZy-

32

33

— Pierre de St. Laurent — powiedział. współpracował z Niemcami.

Dlaczego? — dodała. — Ryzykowanie Włosy na karku Pete'a zjeżyły się.

życiem\* by pomóc aliantom, nie miało żadnego sensu.

— Chodziliśmy razem do szkoły. Byliśmy przyjaciółmi. Często sj, — Qu'est-ce que c'est? —

Monsard zapytał Simone. razem bawiliśmy i żalowaliśmy, że nie byliśmy braćmi. Był wysoki

Odpowiedziała mu i pokiwała głową z zakłopotaniem, i silny, przystojny, podziwiany przez

wszystkie miejscowe dziewczyny — Qu\*- est l"°Sl<hue-

Obawiałem się jego przewagi. Poderwał wiele dziewczyn, obiecując i,, Tłumaczenie Simone

wypełniło przerwę, jakby pojawiając się małżeństwo. Postrach ojców. Jak straciłem do niego

zaufanie? z równoległego wymiaru.

rr iiiiji 'titr r> — Lecz brak logiki jest jedynie pozorny. W rzeczywistości miało

To jest zatem ten lokalny skandal, pomyślał Houston. Rozpust; ' ... ,-,

,-

. , . . \ J if .to sens. Nie podejrzewając go o

poprzednią zdradę, uznaliśmy jego

w mieście. Nic dziwnego, że ksiądz był tak zgorszony. Houston słuchaj ^ boJerstwo. Jakże

czciliśmy go j podziwialiśmy. Fetowano bez słowa. Znowu jego szklanka opróżniła się i znowu  
Monsard jgL ^ §i m idoleM Mia} jatkowe powodzenie  
napelml. Pokój wypełniał dym. J 6, .

v • u i i • i | - i u dziewczyn.

— Krążyły pogłoski o ukrytej gdzieś w miasteczku żywnosc, Stafszy pan popił brandy;  
wpatrując się w oknoJ w czerń nocy;

Późną nocą - Niemcy uwielbiali terroryzować śpiących ludzi - \_ była ekranem z migającymi  
obrazami. Na zewnątrz Houston przetrząsnęli pałac. Znaleźli schowek za ukrytymi drzwiami w  
piwnicjusłyszaljakis ostry; zwierzęcy skowyt. Pomyślał, że to nocny ptak a rankiem na moście, na  
oczach wszystkich zagnanych tam mieszkańzakonczył polowanie sukcesem. Nagle poczuł chłód i  
nawet kolejny ców, rozstrzelali całą rodzinę, nawet dwoje dzieci. Potem zrzucili icllyk brandy nie  
zdołał go ogrzać.

ciała z mostu, pozwalając im dryfować z prądem rzeki. To było jasne \_ o tak, Pierre był cwany —  
mówił Monsard. — Obawiał się że ktoś im doniósł. W jaki bowiem sposób mogliby tę kryjówkę  
talzapewne, że go podejrzewamy i planujemy zemstę. Jakkolwiek by szybko odnaleźć? Tym  
informatorem był Pierre, chociaż wtedy jeszczebyło, chcąc zabezpieczyć się przed oskarżeniem,  
musiał zademon-o tym nie wiedziałem. Czyn ten był tak nikczemny, że nie mogłenstrować swą, nie  
podlegającą wątpliwości, lojalność. Być może Niemcy sobie wyobrazić, kto mógłby to zrobić.  
Mniejsza o to, że ci, co ukrylnie byli dostatecznie hojni. Może liczył, że alianci zapłacą więcej, tę  
żywność, byli egoistami, że nie chcieli się z nikim dzielić. To innyZ chciwości poszukiwał bardziej  
szczodrego pracodawcy. Nie wierzę całkiem inny grzech, inna sprawa. Informator, współpracując z  
NiemJednak, by alianci mu zapłacili. Amerykanie szanują altruistyczne cami, popełnił znacznie  
cięższy grzech. motywy. Uważali, że Francuz powinien zdradzić

Niemców w imię

Nadeszli alianci — kontynuował starszy pan. — Kierując się mwolności- Wyobrażam sobie, jak  
Pierre był zawiedziony. Lecz coś mi północ wprowadzili Niemców w błąd. Niemcy sądzili, że nikt  
ich u naimówi, że mogło być jeszcze inaczej. — Oczy starszego pana pociemnię zauważył.

Próbowali przebić się, atakując z zaskoczenia. Nifl"^^ Jakby oburzone i zatrwożone. — Całkiem  
inne wyjaśnienie, wiedzieli jednak, że ktoś ostrzegł aliantów. Niemcy walkę przegraliSzalone-  
Odrażające. Zawsze intrygowało mnie, jak mógł przejść tak chociaż straty po obu stronach były  
olbrzymie, niewyobrażalne. ła!wo linie niemieckie i z tą samą łatwością powrócić. Być może  
— Alianci? Ale kto ich ostrzegł? — Głos Houstona podniósł się.^!1 mcy zapłacili mu za  
podrzucenie informacji aliantom. W innej

— Tak — powiedział ojciec Simone. — Domyśla się pan. bitwie, pięćdziesiąt mil na  
północ stąd, alianci ponieśli klęskę. \_\_ Pierre?

Amerykanie przegrali z powodu informacji o planach aliantów, które

— Przedarł się w nocy przez niemieckie linie. Ryzykował — mogll^ lc? wcześniej zdobyli. Na  
pewno słyszeliście o ruchu oporu. Ja też go zobaczyć alianccy wartownicy. Jednak dotarł do celu.  
Opowiedzia\* m byłem, tak jak i Pierre. Kiedy alianci zdobyli ten hotel i kiedy swoją historię.

Wrócił nie zauważony.

Amerykanie przygotowywali swe plany w tym

właśnie pokoju, we-

Jan przerwała ciszę.

Van° ^° pomocy członków naszego

ruchu. Powierzyli nam ważne,

— Dlaczego? — Starszy pan spojrział z dezaprobatą. — JeśJJa\* n°wili, zadanie — infiltrację linii  
niemieckich w celu oszacowania

34

35

ich sił. Zrobiliśmy to. To było duże osiągnięcie, ale nasza informac okazała się błędna. Alianci,  
przygotowując się do ataku, zorientowj się, że zostali oszukani. Ściągnęli posiłki. Jestem pewien, że  
to Piec był informatorem. Albo znowu zmienił stronę, albo przez cały czas b niemieckim agentem.  
Według mnie to przez niego krew tysięcy lud polała się na tej ziemi. Był wyjątkowym egoistą, bez  
względu j konsekwencje. Dbał tylko o siebie.



— Nie chciałbym być nietaktowny — odezwał się Pete — ale ja ma pan dowód?

Simone przetłumaczyła.

— Dowód? — Twarz starszego pana skrzywiła się z odrazą. . Zniknął tego ranka, kiedy alianci zostali pobici. Spakował wszystk co miał, i wyparował. Mógł być tylko jeden powód. Tylko o wyjątkowo ohydneho mogło wywołać tak silny strach przed naszym odwetem, że uciekł.

Pete spoglądał w stronę hallu, gdy winda zaczęła unosić ich w górę. Czuł się tak odrętwiały, wyczerpany, że przez moment miał wrażenie iż to nie on unosi się w górę, ale posadzka hallu opada w dół. Zamku oczy. Tracąc orientację, oparł się mocno o ścianę windy. Powtórny zawrót głowy oddalił się. Choć problemy z głową minęły, z niepokojem zauważył, że jest spocony.

— Czy nie wypiliśmy za dużo? — zapytała Jan. — Prawie się zmordowałeś tą brandy.

Houston zebrał siły, by uchylić powieki. Przed sobą ujrzał korytka. Kiedy winda zatrzymała się delikatnie, jego żołądek powrócił na swoje miejsce. Wziął oddech i odepchnął się od ściany.

— Muszę się wyspać — powiedział. — Powiniennem więcej zjeść. Dotarł do drzwi windy, otworzył je i słysząc zgrzyt metalu zatrzymał się.

Spojrzał na Jan z cierpieniem i zakłopotaniem w oczach.

— No więc słuchaliśmy go przez dwie godziny. Jest zupełnie przekonany, nie sądzisz? Lecz jeśli byś mnie teraz zapytała, mógłbyś powiedzieć, że jedyną rzeczą, której jesteśmy pewni, jest fakt, że jej przyjaciel zniknął któregoś dnia z pola widzenia. Nie wiemy, dlaczego zniknął. Monsard jedynie się domyśla.

— Teraz wiemy jeszcze coś — powiedziała. — Zanim zniknął, odwiedził księdza. Wypowiadał się.

Umysł Houstona odprężył się, po czym znużenie ogarnęło go ponownie.

— Jeśli jego spowiedź i zniknięcie mają coś ze sobą wspólnego, to ja nie widzę tego związku — powiedział. — Nie potrafimy udowodnić powiązania.

— Dla mnie to jasne.

— Bo nie jesteś katoliczką. Z pewnością nam, amerykańskim protestantom, spowiedź wydaje się niezwykła. Lecz nie katolikom, tutaj we Francji i nie w czterdziestym czwartym. Ci ludzie proszą księdza o spowiedź przez cały czas. W czasie drugiej wojny, otoczeni śmiercią, robili to dwa razy częściej. — Houston uświadomił sobie, że ciągle trzyma uchwyt drzwi windy. Puścił go i cofnął się tak, by Janice mogła wyjść pierwsza. Ona jednak pozostała w windzie.

— Nie to mam na myśli — powiedziała. Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

— Więc co?

— St. Laurent nie był świętoszkiem. Lubił dziewczyny. Wciągał je i siebie samego w kłopoty. Monsard wspominał kilka skandali.

Houston skinął głową.

— Czy sądzisz, że wypowiadałby się z takiego grzechu? — zapytała Jan.

— Wiedział, że tego, o czym wszyscy wiedzieli, nie ukryje przed księdzem. Przyznanie się do tego, że lubi kobiety, nie zraniłoby go wcale.

— To prawda. Ksiądz mógł go wysłać do piekła. Lecz jaki cel miałyby spowiedź bez wyjawienia wszystkich grzechów, szczególnie

o którym ksiądz wiedział już wszystko. Czy grzech lubieżności mógł zaszokować ojca Devereaux?

— Na pewno nie. Księża znają ludzką naturę. Do takiego grzechu się przyzwyczajeni.

— Dobrze więc — powiedziała Jan z zacięciem w oczach. —

jaśnij mi, co tak zraziło ojca Devereaux, że do dzisiaj pamięta tę

wiedź i pogardza tym młodym człowiekiem, który przyszedł do

po odpuście grzechów. — Houston czuł się tak, jakby winda

36

37

spadała. Musiał wydostać się na korytarz. Janice wyszła za niego, trzymając go pod ramię. — I coś jeszcze — powiedziała. — Sposób, w jaki opisuje go Monsard. Nie sądzę, żeby Pierre był aż tak

religijny. Mogę się jedynie domyślać, ale wątpię, by miał zwyczaj" chodzić do spowiedzi. Tym razem jednak poszedł do księdza i powiedział mu wszystko.

— Ale dlaczego?

— Ponieważ Pierre de St. Laurent śmiertelnie się bał. Prosił

o odpuśczenie grzechów, zanim coś okropnego mu się przydarzy. — W ciszy korytarza spoglądali na siebie. — Ojciec Devereaux, jedyny człowiek, który zna sekret — ciągnęła Jan. — I właśnie to, a nie grzech lubieżności, na pewno powstrzymuje go od mówienia.

Houston wpatrywał się w nią. Odgłos dzwonka windy zaskoczył go. Ktoś pod nimi naciskał guzik, lecz winda nie ruszała się. Houston pociągnął metalową kratę, zatrząskując zamek. Liny szczęknęły, silnik zaszumił i klatka zjechała w dół.

— Obudzimy wszystkich — powiedział. Poszli wzdłuż korytarza. Houston słyszał, jak winda dotarła do hallu i jak zatrzymał się silnik. Słyszał otwierającą się na dole kratę. Wydawała taki sam odgłos jak paznokcie drapiące po tablicy. Potem silnik ruszył znowu.

— To głupie — powiedział Houston. — Dlaczego się czegoś obawiam? To tylko ktoś, kto późno wraca, by się przespać.

— Teraz mnie straszysz — rzekła Jan.

Gdy dotarli do swych drzwi, winda zatrzymała się na ich piętrze. Houston grzebał w kieszeni próbując odszukać klucz. Drzwi windy otworzyły się nagle. Houston spojrzał w głąb korytarza. Nieomal nie parsknął śmiechem.

Gość w czarnym krawacie i wieczorowej marynarce. Ten sam, który roztaczając wokół siebie zapach bzu minął Houstona w hallu, potknął się teraz o próg windy, spoglądając kaprawo w kierunku Jan

i Houstona. Zamykając kratę stracił równowagę i zatoczył się w drugi koniec korytarza.

— To zbyt wiele jak na moją wyobraźnię. — Houston uśmiechnął się i pocałował Jan.

— Chcesz tu błaznować?

Wyszczерzył zęby i przekręcił klucz. Weszli do pokoju. Wewnątrz panował mrok, z wyjątkiem słabego światła z korytarza, rzucającego na podłogę cienie ich sylwetek.

— Tak naprawdę nie obchodzi mnie, co zrobił St. Laurent.

Wszystko, co chcę wiedzieć, to gdzie...

Zapalił światło i nagle zatrzymał się w pół zdania.

10

Z wytrzeszczonymi oczami patrzyli na łóżko. Leżał na nim, wsparty na poduszkach i spoglądający w ich kierunku, jakiś mężczyzna.

Po trzydziestce, z kwadratową szczęką, cienkim nosem i krótkimi, ciemnymi włosami zaczesanymi starannie z prawej na lewą stronę. Wyglądał na chorego. Być może to kilkudniowy zarost powodował, że jego twarz wydawała się szara. Miał na sobie ciemne ubranie — sweter, wełniane spodnie, podgumowane buty.

Houston, zaskoczony, wpadł w panikę. Zbyt wiele myśli kłębiło się jednocześnie. Jan ścisnęła mocno ze strachu jego rękę. Walczące ze sobą instynkty podpowiadały — krzyknąć o pomoc, uciekać z Jan, chwycić za słuchawkę, stawić czoło facetowi. Wola Houstona zawirowała jak koło zamachowe. Nagle koło to zahaczyło o coś, zacięło się i zamarło. Stał jak sparaliżowany.

- Proszę zamknąć drzwi — odezwał się mężczyzna głębokim i chłodnym głosem. Słowa były angielskie, lecz akcent wyraźnie obcy, chociaż nie francuski.

Tego było już za dużo. Houston miał świadomość, że stoi bez ruchu, że gapi się, że nie oddycha, podczas gdy krew dudniła w jego skroniach.

— Proszę — powtórzył mężczyzna. — Zamknijcie drzwi.

— Nie — powiedziała Jan.

Adrenalina naciskała. Zmuszony do działania, lecz bez żadnej klarownej dyrektywy Houston zamknął drzwi, zanim zrozumiał, co robi.

Pete — odezwała się Jan, próbując przytrzymać drzwi. Houston jednak uniósł dłoń, by ją powstrzymać. Z nienawiścią spoglądał na mężczyznę.

~~ W porządku, zamknąłem.

ęczyzna, leżąc na łóżku, oszacował go, po czym odetchnął Powoli.

38

39

ocz\.

wnj

— Dobrze byłoby, aby miał pan, do cholery, jakieś wytłumacz, nie — rzekł Houston.

— Dzwonię na policję — odezwała się Jan. Przemaszerował z godnością przez pokój.

— Nie robiłbym tego, pani Houston.

W chwili gdy brała do ręki słuchawkę, mężczyzna wysko z łóżka. Oczy Jan powiększyły się ze strachu. Cofnęła się gwałto pod ścianę. Mężczyzna przycisnął widelki telefonu i wyrwał słucha z jej ręki.

Pete skoczył do przodu.

— Zabieraj się, do cholery — trzymaj łapy z daleka od nie Rozwałę ci ten pieprzony telefon...

Mężczyzna odwrócił się w jego stronę, telefon uniósł jak maczugi Houston z przerażeniem wpatrywał się w jego oczy, tak zimne i nif czułe, jakich nigdy nie widział. Nagle zatrzymał się. Rozjuszony -cofnął się.

— Niech pan nie komplikuje sprawy — odezwał się mężczyzna.

— Niech mi pan powie, czego, u diabła, pan chce. Mężczyzna odłożył telefon.

— Myślałem, że to będzie oczywiste. Tego samego co pan. Pierre' de St. Laurenta.

Nazwisko zabrzmiało jak moneta wrzucona do automatu hi raczej jak zgrzytający po szkle diament.

Usunęło natomiast wszelki inne domysły.

— Pan wie, że go szukamy?

— Wszyscy wiedzą — odpowiedział.

— Ale jak...?

— Ten urzędnik, u którego przeglądaliście dokumenty. Ma nudr życie. Urozmaica je plotkami.

Dwoje Amerykanów narobiło mu spór zamieszania. Nazwisko de St. Laurent nie mówi mu nic, lecz star mieszkańcy pamiętają je. Po trzydziestu siedmiu latach nagle przypon nienie tego nazwiska to lokalna sensacja. Nic dziwnego, że wie o waszych poszukiwaniach.

— To nie daje panu prawa, by...

— Pani Houston, niewygodnie pani. Czemu pani nie usiądzie Porozmawiajmy. — W głosie mężczyzny wyczuwało się akcent bardzi zbliżony do brytyjskiego niż amerykańskiego.

Houston spojrzał na Jan, której oczy wyrażały raczej ostrożność

40

strach. Zachowując dystans, łukiem podeszła do krzesła. Przez nent wydawało się, że spróbuje dopaść i otworzyć drzwi. Po chwili jednak usiadła.

- Czy jest pan kimś w rodzaju policjanta? — odezwał się Pete. \_\_ No, powiedzmy, osobą mającą pewien interes w tej sprawie.

f]jc więcej. Nie róbmy jednak z tego większej tajemnicy niż to konieczne. Też go szukałem. — Dlaczego?

\_\_ Nie mogę panu powiedzieć. To delikatna sprawa. Osobista.

\_\_ Nie chce nam pan powiedzieć. Oczekuje pan natomiast naszej pomocy?

Mężczyzna zaśmiał się, lecz bez radości i odprężenia. Śmiech brzmiał jak kaszel gruźlika.

— Pan mnie źle zrozumiał. To ja oferuję panu pomoc. W swoich poszukiwaniach zabrnięliście w ślepy zaułek. Mogę wam pomóc się z niego wydostać.

— Jak i dlaczego? Mężczyzna spojrzał z ukosa.

— Dlaczego? Ponieważ moje wysiłki nie przyniosły rezultatu. Być może świeże spojrzenie pozwoli panu zauważyć szczegóły, które ja pomiąłem. A jak? Dzięki adresowi. Miasto nazywa się Roncevaux. Rue Gabriel. Sto trzynaście.

— On tam mieszka?

— Proszę więcej nie pytać. Wie pan wszystko, co trzeba.

— A jeśli go znajdę?

— Powie mi pan.

— Ale jak pana znajdę?

— Ja sam przyjdę.

Mężczyzna ruszył powoli w kierunku drzwi.

— Proszę pamiętać. Roncevaux. Rue Gabriel. Sto trzystaście. — Przekręcił klamkę. — Pani Houston. Panie Houston.

Robiąc ukłon, wysliznął się na zewnątrz.

Drzwi zatrzasnęły się. Pete spojrzał na Jan. Zerwał się i podbiegł do drzwi. Otworzył.

Korytarz był już pusty.

41

11

— Pete, dajmy temu spokój.

— Co?

— Boję się.

Houston, skupiając uwagę na zbliżającym się zakręcie, nie miał okazji, by na nią spojrzeć. Citroen sprawnie wziął zakręt, po czym popędził wzdłuż prostej szosy. Szyba była opuszczona. Czuł zimną, świeżą, poranną wilgoć. Odrywając wzrok od pól i ogrodzeń, Houston dostrzegł pobladłą twarz Jan.

— Ja też się boję — powiedział. — Nie znaczy to jednak, że się cofnę.

— Jesteś uparty.

— Tak, do diabła, masz rację, jestem. Co więcej, jestem wściekły. Wstałem wczoraj licząc, że zobaczę grób ojca. Tymczasem gdziekolwiek się ruszę, trafiam na jakiś dziwny ruch dookoła. Dowiedziałem się, jakie to różne przyczyny przeszkadzają w odnalezieniu grobu. Na cmentarzu Andrews był nieomal przekonany, że zwariowałem. Spotkałem księdza, który nie chciał mi nic powiedzieć. Urzędnika, u którego akta kończą się na pięćdziesiątym pierwszym roku. Monsarda, który snuje fantastyczną historię o czterdziestym czwartym. A w końcu ten wkradający się facet, który ucina sobie drzemkę na naszym łóżku i uważa się za nocnego posłańca.

— Ciągle uważam, że powinniśmy pójść na policję.

— Pomyśl tylko. To stało się w nocy. Być może policja nigdy nie odnajdzie tego faceta. A nawet jeżeli go znajdą, mogą go co najwyżej oskarżyć o drobne wykroczenie. Nie ma najmniejszego śladu włamania. Sprawdziliśmy nasze rzeczy i niczego nie brakuje. W takiej sytuacji ci z policji będą chcieli wiedzieć, co on tam robił, o czym rozmawialiśmy. Wyobraź sobie ich reakcję, jeśli powiemy im prawdę. Znikający grób. Znikający w czterdziestym czwartym mieszkaniowiec miasteczka. Potraktują mnie tak, jak zrobił to nadintendent. Pomyśl, że zbzikowałem.

— Czułabym się bezpieczniej, gdybyśmy im powiedzieli.

— Kto mówi, że jesteśmy w niebezpieczeństwie? Nikt nam nie groził. Poza tym musielibyśmy pozostać na miejscu w czasie icipielstwa. Za dziesięć dni odlatujemy do domu. Chciałbym wyjaśnić tę głupią sprawę i cieszyć się resztą naszych wakacji.

— Nie, jest coś jeszcze.

Citroen, szumiąc delikatnie, pokonywał dwupasmową szosę. Słońce wznosiło się i grzało coraz mocniej. Houston spoglądał na pola z obu stron widząc farmerów przy pracy. Wzruszył ramionami.

— Dlaczego sądzisz, że jest coś jeszcze?

— Właśnie przyznałeś, że się boisz.

— Bo coś kołacze mi się po głowie. Myśl, że ciągle brakuje

wyjaśnienia. Jeśli Pierre de St. Laurent był choćby w połowie takim egoistą, jak sugeruje Monsard, to powiedz mi, dlaczego tracił czas na pisanie listu do mojej matki, dlaczego obiecywał, że zaopiekuje się grobem ojca, a potem nagle zniknął. Jestem pewien, że odpowiedź na to pytanie jest prosta. Nie usnę spokojnie, dopóki jej nie usłyszę. Obawiam się jednak, że nie będzie prostej odpowiedzi, a nawet żadnej odpowiedzi.

— W porządku, obiecaj mi. Wpatrywał się w nią.

— Nie będę narzekać — powiedziała. — Nie będę nic mówiła, pojedę z tobą. W Roncevaux zaczekam, kiedy pójdziesz się dowiedzieć. Lecz jeśli nic nie znajdziesz, musisz mi obiecać, że dasz sobie z tym spokój i zabierzesz mnie stąd...

— ...do pasjonujących, podniecających miejsc. — Houston zaczął się śmiać. — Właśnie to robie. Hej, zabieram cię na pełną przygód wyprawę.

— Prowadź — roześmiała się Janice.

Nagle z bolesnym, wręcz skręcającym przerażeniem usłyszał jej krzyk. Kurczowo nadepnął na pedał gazu. Citroen skoczył do przodu z wciskającym go w fotel przyspieszeniem. Drżącymi rękoma kręcił kierownicą. Samochód zбочzył ostro w prawo, potem w lewo, po czym Houstonowi udało się go opanować.

Spojrzał na Jan tak szybko, jak mógł. Jej oczy wyrażały panikę, wielkie, czarne i bezdenne. Twarz była skrzywiona, zamarta, biała. Jej krzyk zmienił się w beznadziejny jęk.

Musiał patrzeć, gdzie jedzie. W chwili gdy dźwigary starego mostu izały się bliżej, Houston usłyszał obok siebie łoskot. Z lewej. Słyszał | tyłu. We wstecznym lusterku ujrzał nadjeżdżającego tira.

iszczona osłona przeciwsłoneczna zasłaniała twarz kierowcy.

Teraz tir uparcie pędził obok niego, czarny, ogromny. Jego ryk był głośny, że Houston ledwie słyszał krzyk Jan. Mimo to wyczuwał Panikę. Oba wozy zbliżały się do mostu z jednym pasem ruchu.

42

43

Był wąski, z ciężkimi dźwigarami po każdej stronie. Gdy z przerażeniem wpatrywał się w niego, odniósł dziwne wrażenie, jakby przenikał przez tunel o wydłużającej się perspektywie. Uderzając po drodze w znak drogowy, nie musiał odczytywać francuskiego napisu, by wiedzieć, że odpowiada angielskiemu „NO PASSING”.

— Co jest, do cholery, z... — Nie zdążył dokończyć. Tir zbliżył się do citroena usiłując zepchnąć go z drogi. Tam jednak nie było już żadnej drogi. Tuż z prawej zagradzał ją szereg sosen. Za nimi otwierała się przepaść aż do rzeki.

— Pete!

Tir uderzył w citroena. Metaliczny, głuchy zgrzyt wstrząsnął samochodem. Houston zbyt późno pomyślał o hamulcach. Widok wjazdu na most, zwężającego się jak szyjka butelki, był paraliżujący. Wszystko, co mógł zrobić, to kierować. Tir ponownie grzmotnął w citroena. Poczul wstrząs. Jego drzwi wybrzuszyły się do wewnątrz. Gdyby nie zбочzył, uderzyłby w most. Miał wizję rozbijającego się wozu oraz siebie i Janice wylatujących przez przednią szybę.

Houston nie zauważył, kiedy zmienił kierunek. Tir wjechał wprost w zwężenie jezdni prowadzącej na most. Houston, już w stanie nieważkości, utkwil wzrok w bezkresne niebo. Spadający samochód zaczął się pochylać do przodu. Houston ujrzał przeciwny brzeg rzeki, po czym samochód obrócił się jeszcze bardziej. Houston gapił się w spienioną wodę.

Próżnia. Cisza. Wdzierające się powietrze. Nie miał już szansy na dociśnięcie pasów.

Nieoczekiwanie poczul dziwną euforię, ukojenie, cichy spokój.

Chociaż piana na powierzchni wody wyglądała miękko, samochód uderzył o jej powierzchnię, jak gdyby rąbnął o beton. Wstrząs rozchylił Houstonowi szczęki. Odrzut zacisnął\*! ponownie, przycinając język. Wysunął gwałtownie rękę przed Jan chcąc ją osłonić.

Dławiąc się zaczął coś bełkotać. Nie mógł nic dojrzeć. Nie mógł oddychać. Nie mógł się ruszyć. Stracił poczucie równowagi. Po chwili zdał sobie sprawę, że jest odwrócony do góry nogami. Płuca buntowały się przeciwko wodzie, którą się zachłystywał. Czul, że im więcej kaszlał, tym większy strumień wody wdzierał się do krtani. Oczy miał otwarte, lecz wnikająca w nie woda była gorsza niż ślepotą. Tonął pomyślał, że traci świadomość.

Z trudem odpiął pas bezpieczeństwa. Nigdy go mocno nie zaciskał

44

Szarpnął drzwi, lecz ani drgnęły. Poczul, jak za nim poruszyła się Jan. Rzucił się do okna — było otwarte, przypomniał sobie — jak gdyby niebo ponad nim było jedynym celem, jakiego kiedykolwiek pragnął, pas bezpieczeństwa zaczepił się w oknie. Noga zaklinowała się w kierownicy. Kopnął i nagle poczul, że jest wolny. Ramieniem zawadził o skałę. Porwał go prąd. Unosił się ku górze, kiedy coś eksplodowało w jego piersi, a ciemność stawała się coraz głębsza.

Słyszał mroczne, głuche echo brzmiące w uszach.

Musiał natychmiast odetchnąć. To takie proste. Konieczne i instynktowne. Odetchnął akurat w momencie, gdy wypływał na powierzchnię. Wynurzył się w jaskrawym słońcu, w zimne, słodkie, czyste, orzeźwiające powietrze.

Napełnił płuca, starając utrzymać głowę ponad nurtem. Rozejrzył się dookoła za Jan. Jezu, ona tam została!

Houston odczekał chwilę i jeszcze chwilę. Ponieważ prąd znosił go w dół rzeki, nie mógł już dłużej zwlekać. Biorąc oddech i pokonując słabość, zanurkował.

Jego żołądek skurczył się gwałtownie. Zgiął się wpół, uderzając głową o kolana. Przenikliwie zimno wody sparaliżowało go, uśmierzając jednocześnie ból. Wtedy ujrzał postać w aureoli i wiedział, że to był jego ojciec.

12

Całkiem inaczej wyobrażał sobie śmierć. Nie była ponura ani przerażająca. Była delikatna, cicha i łagodna. Mając ojca za przewodnika, Houston nie obawiał się niczego. Miał do niego tyle pytań. Popłakując zauważył, że patrzy w górę, tak jakby znowu był małym chłopcem. Ukochany ojciec stał nad nim, choć jego otoczona aureolą twarz była niewyraźna. Jakby pozbawiona rysów. Kiedy ogarnięty zaloną ciekawością podniósł się i stanął na palcach, aby ujrzeć ją wyraźniej, rozłościła go czyjaś ręka z tyłu opadająca na jego ramię, ciągnęła go. Zrzucił ją, lecz ona uchwyciła jeszcze mocniej. — Puście lnie! — krzychał wściekły. Zatrzymywany, posunął się w kierunku ojca. Teraz jakieś inne dłonie dołączyły się, ciągnąc za ramiona i przytrzymując w pasie. Szarpnął się wymachując rękami. — Puście unie! — wrzasnął histerycznie. Obraz był zamazany. Oczy miał pełne

45

łez. — To mój ojciec! Czy nie rozumiecie tego! — Lecz dłonie nadal nie puszczały. Przytrzymując, naciskały mocno, by go położyć. — Pomóż mi! — krzyknął do ojca błagalnie, lecz ten spoglądał na niego obojętną, niewyraźną twarzą. — Nie pozwól, by się to powtórzyło! — lamentował Houston. Ojciec jednak przyglądał mu się bez wyrazu. Wzruszając ramionami uniósł prawą dłoń, kiwnął nią z wolna, w niemym pożegnaniu, po czym odwróciwszy się powoli odszedł. Jego postać malała, w miarę jak się oddalał, ginąc we mgle. — Musisz mi pomóc! — krzyknął Houston. — Jesteś moim ojcem! — Nie miał do niego żalu. Wszystkiemu winne były trzymające go ręce. Odwrócił się, wściekły bezgranicznie, pragnąc udusić tego, kto go trzymał.

Ostre światła padały na niego. Jakieś hałasy przelewały się ponad nim. Spróbował zasłonić oczy, zatkać uszy. Ktoś jednak trzymał go, przyciskając ręce. — Ty skurwysynu! — wrzasnął Houston. Nagle zrozumiał, że była to Jan, i przypomniał sobie, jak próbował ją ratować. Żal po utraconym ojcu zastąpiła radość, że przeżyła. — Udało ci się — mówił. — Chryste, nie masz pojęcia, jak się o ciebie martwiłem! — Stała tuż obok, nachylając się nad nim. — Jan, kocham cię.

Jej włosy jakby ściemniały, twarz była teraz bardziej pociągła, a oczy smutniejsze. To nie była Jan, a jednak ją znał.

— Proszę, powinieneś odpocząć — odezwała się kobieta. Zobaczył, że przytrzymywała jego dłonie. Wykręcił je, by się uwolnić.

— Musisz odpocząć — powiedziała. — Pozrywasz bandaż. Nadwerężysz zebra. — Poczul ucisk na czole i klucie w piersi. Ból przeniknął go jak żądło szerszenia.

Jezu — rozejrzył się w męczarniach — lekarze, pielęgniarki. Nie mógł jednak zrozumieć, co mówili. Francuski. Tak. Mówili po francusku.

— Gdzie jest Jan?

W pokoju zapanowała cisza. Houston przyglądał się uważnie kolejnym twarzom. Nagle zatrzymał wzrok na kobiecie, którą znał. To nie była Jan.

— Simone?

Skinęła głową ze smutkiem w oczach. Houston przełknął łzy.

— Jan? — Simone potrząsnęła głową z wyrazem żalu.

— Nie! — krzyknął. — Nie! To niemożliwe! — Simone wciąż

patrzyła na niego. Mroźny strach ścisnął mu serce. Przepęniała go narastająca panika. Zerwał się z łóżka.

— Powiedz mi, gdzie ona jest!

pokój eksplodował ruchem. Lekarze i pielęgniarki rzucili się ku niemu. Houston szarpał się z nimi usiłując się wyrwać.

— Jan! Gdzie?

Uklucie szpilki. Nie, to zastrzyk. Z lewej, pielęgniarka. Podskórny, wniknął w ramię. Poczł strumień cieczy docierający do krwi.

— Nie! Jan! Ja muszę...

Oszołomienie. Dłońmi objął głowę. Opadł na łóżko. Simone pochylała się. Podciągnęła kołdrę aż pod jego brodę. Jej twarz zniekształciła się, wydłużyła, zafalowała, jak gdyby znalazła się pod wodą.

— Będę przy tobie — powiedziała.

W wyobraźni widział zalewającą go wodę. Usłyszał odległy, dręczący krzyk. Ogarnęła go ciemność. Utonął.

Część II

13

Trawił go żal. Nie obchodziło go to, gdzie był i jak długo leżał nieprzytomny, ani to, jak paskudnie był ranny. W tych przepelnionych rozpaczą dniach przekonywał samego siebie, że w rzeczywistości nic się nie stało, że Jan żyje, że był to tylko koszmarny sen. Lecz pamięć była uparta, a żal nie do zniesienia. Był pewien, że jego umysł załamie się. Nie mógł wytrzymać tych męczarni. Raptem coś pękło. Smutek sparaliżował go, wysysając siłę, nadzieję i wolę życia. Łzy zniekształciły wszystko. Wydawało mu się, że sufit faluje.

Leżał na łóżku, w ciemnościach. Usłyszał wdzierającą się wodę. Grzmi?

Burza.

Noc. Uliczne światła oświetlały strumienie deszczu spływające po szybach, rzucając na sufit ich mozaikowe cienie.

Oszołomiony tym, Houston odniósł wrażenie, że znalazł się pod wodą. Jednocześnie zdawał się patrzeć w dół z przyprawiającej o zawroty głowy ogromnej wysokości. Jego umysł nie mógł znieść tak przeciwstawnych perspektyw. Pałaca żółć ruszyła z żołądka; zdusił wymioty.

W świetle błyskawicy ujrzał pokój: drewniane ozdoby na ścianach, ciężkie staroświeckie biurko, olbrzymia rozłożysta sofa.

Zagrzmiało. Z prawej strony otworzyły się składane drzwi. Światło wniknęło do wewnątrz.

Wypełnił je cień kobiety. Nie była to jednak pielęgniarka i nie był to szpital. Słyszał trzask ognia pod kominkiem dobiegający z sąsiedniego pokoju.

Kobieta podeszła do niego. Jej postać była ledwie zarysowana, rvsy nieokreślone. Przypomniawszy sobie sen, poczuł się zdezorientowany, zdziwiony tym, jak unosiła się w wodzie.

Obserwował ją. Żołądek rozpalil się. Mój Boże, tak, to była Jan! Serce przyśpieszyło gwałtownie.

Nagle — skurczyło się. Stała nrofilem do okna. W kolejnym błysku Houston rozpoznał jej twarz.

— Simone? — Jego głos pełen był cierpienia.

Odwróciła się zaskoczona, spoglądając z ciemności w jego stronę.

Dławiąc łzy, otarł opuchnięte oczy.

— Myślałem, że to... — Nie mógł wymówić imienia Jan. W tym przemożnym cierpieniu gardło zacisnęło się.

Simone przyglądała się mu w skupieniu. Zapaliła lampę w rogu pokoju. Jej ciepłe światło odbijało się w niewiarygodnie czystym i głębokim zwierciadle, oprawionym w migoczącą złotymi plamkami ramę.

Przymrużył oczy, zmieszany. W gardle czuł suchy język.

— Gdzie ja jestem?

— W hotelu. W pokoju mojego ojca.

Podeszła do niego. Zerwała zakrętkę na butelce z wodą, nalała do szklanki, po czym, podtrzymując jego rękę, pomogła mu pić. Woda wywoływała uczucie mrowienia, była słodka i chłodna.

Nabrzmiały język zaczął ją absorbować.

— Nie tak dużo od razu — powiedziała. Na ustach czuł ostre pieczenie.

— Byłem w szpitalu.

Opadł na poduszkę. Jego stwierdzenie było również pytaniem. Nie był pewien, czy znajdował się tu naprawdę, czy też śnił.

— Lekarze poza opieką nie mogli nic więcej zrobić. Ojciec powiedział, że moglibyśmy zająć się tobą w domu. Czuje się do tego zobowiązany. Ma poczucie winy.

— Z powodu tamtego człowieka w naszym pokoju?

— To dom ojca. Odpowiada za swoich gości.

— Nie mógł w żaden sposób tego przewidzieć. Nie powinien siebie winić... Ale podziękuj mu w moim imieniu, — Deszcz chłostał okna. — Powiedz mi o wszystkim, co się stało.

— Mielśmy nadzieję, że ty nam powiesz — odpowiedziała. — "mer znalazł cię na brzegu rzeki.

Myślał, że nie żyjesz, ale kiedy

Przyjechał ambulans, lekarz zdołał cię odratować. Policja przeszukała e i znaleźli miejsce, gdzie uderzyłeś w balustradę mostu. Ekipa

48

49

nurków odnalazła twój samochód. — Potarła ramię, spoglądając w kierunku okna.

— I?

— Tak mi przykro. Twoja żona jeszcze tam była. Zamknął oczy.

— W radiu słyszeliśmy o waszym wypadku. Ojciec nie mógł wyjechać, ale nalegał, bym pojechała do ciebie. Resztę znasz. Jak tylko to było możliwe, zabrałam cię tutaj. Lekarz cię odwiedza. Byłeś rannj w głowę. Przeżyłeś mały wstrząs mózgu i miałaś połamane żebra. Czujesz pewnie bandaż, który je utrzymuje.

— Ktoś zepchnął nas z drogi — powiedział przypominając sobie. Spojrzała na niego. — Tir. Duży, czarny, prostokątny tir. Most by) jednopasmowy, a ten skurwiel próbował nas wyprzedzić. m

— Policja prosiła o rozmowę z tobą.

— To nic nie da. Nie zapamiętałem numeru. Nie znajdą tego tira.

— Ktoś pijany, śpieszył się?

— Nie. To było celowe. Znieruchomiła.

— Ktoś zrobił to rozmyślnie. — Houston spojrzał pełnymi wściekłości oczyma.

— Ciagle ci się coś kręci. Twój umysł cię jeszcze zawodzi.

— Nieznajomy ukrywał się w naszym pokoju. Mógłby zadzwonić lub przesłać wiadomość. Lecz on przyszedł do nas w tajemnicy. Nie mogę tego nawet udowodnić, że był naprawdę. Kiedy opisałem tego człowieka, twój ojciec nie rozpoznał go. Czy pytał w mieście?

— Nikt nie zna takiego mężczyzny.

— W porządku. Więc ten nieznajomy wysłał nas do miasta odległego o sto mil stąd. Po drodze mieliśmy wypadek. Gdybym zginął, nigdy nie dowiedzielibyście się, jak to się stało. Ale ja przeżyłem i mogę ci powiedzieć, że to nie był wypadek. Ten kierowca chciał zepchnąć nas z drogi. To było zaplanowane. Nie było żadnego powodu, by ten tir musiał nas wyprzedzić.

— Ale to nie ma sensu. Kto chciałby was zabić? Dlaczego?

— Pierre de St. Laurent. — Houston wyczytał w jej spojrzeniu obawę, że zwariował. — Tak, wiem — powiedział. — To był" trzydzieści siedem lat temu. Kogo więc obchodzi, co się wtedy stało

Kogoś jednak obchodzi. I to bardzo.

— Musisz odpocząć.

- Nie, słuchaj. Obiecuj mi. Zabierzesz mnie tam. Do Roncevaux. Chcę zobaczyć, kto mieszka pod tym adresem.

— Nie mogę cię zachęcać do...

— Obiecuj.

— Porozmawiamy o tym później. — Patrzyła zakłopotana w kierunku okna.



— O co chodzi? — zapytał Houston.

— To nie jest odpowiedni moment.

— Mów dalej.

— Muszę cię o coś zapytać. Choć nie chciałabym. — Houston spojrzał na nią z dezaprobatą. — Musisz załatwić pewne sprawy. — Houston nie rozumiał. — Twoja ambasada poczyniła pewne ustalenia. Twoja żona ani ty nie macie rodziców ani dzieci. Nie było nikogo, kto mógłby podpisać dokumenty.

— Po co?

— Muszę cię zapytać, gdzie chcesz ją pochować.

— Boże. — Houston znowu nie mógł powstrzymać łez. Płakał. Płakał. Wydawało mu się, że nigdy nie przestanie.

14

Trumna powoli opuszczała się poniżej podłogi. Wzdrygnął się. Coś pod nim zahurkotało. Trumna zniknęła. Zapadnia trzeszcząc podniosła się do poziomu podłogi. Zatrzasnęła się. Turkot ucichł. W pomieszczeniu zapanowała cisza.

Powiedział do siebie: nie myśl, co stanie się dalej. Raptem usłyszał, czy też tylko wydawało mu się, dziwny, bardziej złowieszczy szum pod nim: coś huczało jak piec.

Musiał wyjść. Odwrócił się od purpurowych, aksamitnych draperii, °d wysokich do pasa słupków połączonych linami, otaczających miejsce, gdzie stała trumna. Jego buty skrzypiały po podłodze.

Simone, w czerni, stała tuż za nim z ojcem ubranym w żałobny roJ- Houston spojrzał na nich, napinając mięśnie policzków. Podszedł ° niego szef tego przybytku, złożył kondolencje.

— Gdyby mógł pan przyjść jutro rano... Potakując głową Houston wymamrotał:

— Dziękuję panu. — Żal i ucisk w gardle sprawiły, że głos mu się

50

51

załamał. Wzrok zmętniał. W pomieszczeniu zrobiło się szaro. Obawia się, że zemdleje. Zachwiał się, przechylając w kierunku Simom Uchwyciła jego rękę. Monsard podtrzymał go z drugiej strony. Pomog mu wyjść.

W jakiś nieokreślony sposób obawiał się przejścia przez korytar; Nagle drzwi otworzyły się.

Wpadające słoneczne światło oślepiło go Oszołomiony, opuścił głowę, by osłonić oczy. Stopnie, chodnił w końcu murawa. Osunął się na betonową ławkę zwieszając głów pomiędzy kolanami.

— Zaraz mi przejdzie — odezwał się do nich.

Jednak rozpacz dręczyła go nadal. Był pewien, że jego serce teg nie wytrzyma.

Niespodziewanie ktoś objął go mocno. Houston spgjrzał poprze łyzy. To Simone usiadła otaczając go ramieniem. Szloch przenikał jeg ciało.

— Musisz zrozumieć. Tak chciała Jan.

— Nie potrzebujesz mi tego wyjaśniać.

— Zmusiła mnie, bym jej obiecał. Cóż więcej mogłem zrobiei Muszę uszanować jej wolę.

Kremacja. — Houston zacisnął pięść i jęknął. — Jeśli pochowam ją we Francji, to co zrobię w domu? Żeb zobaczyć jej grób, musiałbym przyjechać tu, do Francji. — Zakrj oczy. — Co, jeśli pochowam ją w domu? Powinienem polecieć z ni i być może nigdy tutaj nie wrócić. — Nabrał powietrza, by odetchną

Simone odsunęła się nieco. Jej głos był łagodny.

— Czy to źle? Zważywszy, co się tu stało, nie sędzę, byś chciał t miejsce ponownie zobaczyć.

— Muszę zostać — odrzekł.

— Dlaczego?

— Ponieważ ktoś chce powstrzymać mnie przed zadawaniem pytań. Jeśli wyjadę, osiągnie to, co zamierzał. Nie dam mu tt satysfakcji.

Spojrzała na niego z dezaprobatą.

— Więc wciąż wierzysz...

— Że Jan została zamordowana? Absolutnie.

— Przecież policja robiła dochodzenie. Nie da się tego potwierdzić! Sprawdzili adres, który im dałeś. Nikt o nazwisku St. Laurent tam nigdy nie mieszkał. Szukali tego tira. Chodzili nawet po sklepach z częściami\* licząc na to, że jego bok był gdzieś reperowany. Nie znaleźli go.

52

Założę się, że zdziwiliby się, gdyby istniał. Widziałaś, jak na niego patrzyli. Uważają, że histeryzuję lub że byłem pijany albo po prostu straciłem panowanie nad samochodem i kłamię o tirze, by ukryć swój błąd.

Zaprzeczyła głową.

— Wierzą ci. Samochód został uderzony i zepchnięty.

— To było coś więcej. Ja to wiem. Nie wyjadę stąd, dopóki nie

Howiem się, dlaczego moja żona zginęła. Była śliczna i taka dobra. Kochałem ją. Ten gnojek zapłacił za to, co jej zrobił. — Ostry jak stal ton własnego głosu zaskoczył go. Wściekłość przewyciężyła żal. Nie chciał tego. Była nieprzyjemna, lecz opanowała go całkowicie.

Monsard powiedział coś po francusku. Simone odpowiedziała, po czym spojrzała na Houstona.

— Ojciec ma rację. Nie widzę co...

Nie bardzo wiedziała, jak dokończyć. Houston popatrzył na nią.

— Mów dalej — powiedział.

— Jeśli nie liczysz na policję, sądząc, że nie wysilają się zbyt, to nie wiem, co możesz osiągnąć na własną rękę. Jesteś sam i wybac mi, ale chyba nie wiesz, co robisz.

Houston uśmiechnął się gorzko.

— I najwyraźniej wszystko jest w porządku, a ten, kto prowadził tego tira, nie próbował mnie zabić. Będę robił to, co do tej pory. Będę dalej pytał i szedł tam, gdzie zaprowadzą mnie odpowiedzi. Jestem już blisko, do cholery. To pewne.

— Jeśli masz rację — nie chciałabym cię urazić udając, że ci wierzę — jeśli jednak masz rację, wystawiasz siebie na niebezpieczeństwo. Być może następnym razem nie będziesz miał tyle szczęścia.

Zacisnęła zęby.

— Chcesz znać prawdę? Powiniennem się bać. Czuję się jednak tak bardzo pusty i wściekły, że nie obawiam się niczego. Mam nadzieję,

że on znowu spróbuje. W ten sposób sam się odkryje. Będę miał szansę chwycić go za gardło.

Simone skrzywiła się.

— Moja żona nie żyje. Mam tylko dwie możliwości do wyboru. } pojechać do domu i zamartwiać się w nieskończoność, albo 'lecieć' sobie, że została zamordowana, i próbować wyjaśnić Zego. Co byś zrobiła? Jeśli wrócę do domu, jeśli nie spróbuję... —

8° oczy błękały: — Pomóż mi.

53

15

Chociaż budynki były stare, a architektura typowo europejska, Roncevaux przypominało Houstonowi przemysłowe miasta, które znał z zachodniej Pensylwanii. Nawet topografia była podobna. Gęsto zadrzewione, pofałdowane wzgórza, z płynącą między nimi brudną, umierającą rzeką — a w środku wąskiej doliny Roncevaux przykryte od wzgórza do wzgórza przemysłowymi wyziewami. To była ta część Francji, której unikał. Od śmierci Jan jednak wspomnienie poprzednich krajobrazów się zatarło i teraz to francuskie zadupie pochłaniało go całkowicie. Powiedziano mu, że głównym produktem tutejszego przemysłu jest papier, i teraz rzeczywiście czuł zjełczały, przykry odór celulozowej papki. Kątem oka spoglądał na budynki, kamienne fasady oblepione popielatym nalotem. Zaczęły mu łzawić oczy, podrażnione pyłem opadającym z powietrza. Podniósł szybę i obrócił się w stronę Simone.

Prowadziła swojego, starej daty, białego renault. Pytała go przed wyjazdem, czy chce prowadzić, ale żebra wciąż dokuczały, kiedy unosił ręce lub energicznie się poruszał. Co więcej, myśl o prowadzeniu samochodu wywoływała niepokój — „pietra”, jeśli dobrze zrozumiała amerykański slang. Podczas gdy ona manewrowała w dużym tłoku, on śledził mapę. Nawet główne ulice były

wąskie, a szare budynki nieomal przygniatały. Houston przyglądał się kolejnym znakom drogowym. Było już południe, a gęsta mgła ciągle przesłaniała słońce.

— Wyobrażasz sobie, jak tu się żyje — odezwał się.

— Co gorsza, nie mają żadnego wyboru. Żałujesz, że przyjechałeś? Zamiast odpowiedzieć, wskazał na skrzyżowanie.

— Tu, w lewo. Widzisz ją? Skinęła w stronę znaku: Rue Gabriel. Gniew odżył. Już wkrótce, pomyślał.

Skręciła za rogiem w stronę starej części miasta. Odnosił wrażenie, że budynki przechylają się. Zniszczone. Drewniane, zbutwiałe i rozpadające się.

Houston wzdrygnął się. Stary człowiek na ulicy wyglądał na wykolejonego i schorowanego zarazem. Nie było zbyt wiele numerów na budynkach. Pięćdziesiąt pięć. Potem osiemdziesiąt trzy, dziewięćdziesiąt i dziewięćdziesiąt sześć. Sfatygowane napisy wisiały nad wejściami. Serce zabiło mu mocniej, gdy zobaczył sto trzystaście.

54

Simone przejechała przed nim.

— Czekaj.

— Muszę znaleźć miejsce do zaparkowania — odpowiedziała. Spojrzał do tyłu, chcąc zorientować się, czy w budynku są

mieszkania. Były tam stare kamienne schodki z drewnianym daszkiem. Okna na trzecim piętrze wyglądały na całkowicie zamalowane. A może nigdy nie były myte? Przed nimi z postoju ostro wycofała ciężarówka. Nieomal zaczęła o zderzak renault. Kiedy Houston odruchowo cofnął się w fotelu, Simone zahamowała gwałtownie, skręciła ostro kierownicę i wprowadziła samochód idealnie na miejsce opuszczone przez ciężarówkę.

Podziwiał jej zręczność. Wykonała niezbyt elegancki gest w kierunku ciężarówki. Mimo woli uśmiechnął się. Spojrzała na niego zdziwiona i roześmiała się również.

— Uczyłam się jeździć w San Francisco — wyjaśniła.

— Chyba na ciężarówkach do przewozu bydła. Dobrze, że nie siedzę za kółkiem.

— Lepiej go zamknijmy. W tej dzielnicy będziemy mieli szczęście, jeśli go nie obrobiją do naszego powrotu.

— Czuję się, jakbym wrócił do domu. — Chciałby znowu tam być, nie wyjeżdżać nigdy do Francji i nie zabierać tu Jan

— Zbladłeś — zauważyła zmartwiona Simone.

— Pomyślałem, że nie jestem gotów. — Wysiadł z samochodu i zamknął go. — Sprawdźmy ten budynek. Miejmy to już za sobą.

Czekał niecierpliwie, kiedy obchodziła samochód, aby do niego dołączyć. Ruszyli wzdłuż zaśmieconej ulicy. Minęli trzech podejrzanych typów cmokających na Simone. Dotarli do sto trzynastego

Houston spojrział w górę na nieprzejryste okna, przeniósł wzrok w kierunku ciemnej czeluści pod spróchniałym gankiem, wziął oddech i wszedł po schodach.

W głębi ganku znajdowały się zakurzone drzwi. Przekręcił klamkę.

Otworzyły się z traskiem. Weszli w nie oświetlony korytarz. Poczuli adór winnego zacieru, pleśni i, jeśli się nie mylił, moczu. Po prawej ronie otworzyły się drzwi. Wychodzący z nich łysy, nie ogolony ężczyzna zapinał właśnie rozporek. Za nim Houston ujrzał dwa, spuszczone łańcuchem, kible.

Mężczyzna zatrzymał się zaskoczony. Zafrasowany, wyszczerzył w szerokim uśmiechu.

55

— Pardonnez, madame. — Houston zrozumiał. — Nie słyszałem państwa.

— Taccepte. — Mówiła szybko po francusku. Nie ogolony mężczyzna odpowiedział równie szybko.

Houston czekał w niepewności. Simone odwróciła się.

— To budynek z biurami. Mówi, że jest tu dozorcą. Obawia się, że z powodu wielu wolnych lokali

budynek zostanie wkrótce sprzedany, Straci pracę. — Mężczyzna w dalszym ciągu uśmiechał się nerwowo. — Myśli, że jesteśmy tu, by kupić ten dom — ciągnęła Simone.

— Zapytaj go.

— St. Laurent? — Simone powtórzyła. — Pierre de St. Laurent?

— Ach, oui. Je le connais. Houston poczuł nagle żar w żołądku.

— Czy on mówi, że go zna? — Starał się panować nad głosem. — Przecież policja twierdziła, że St. Laurenta tu nie było.

— Le nom. Je connais le nom. Quarante et un. — Facet pokiwał głową z zapalem, wskazując na znajdujące się w głębi schody. — Il a loue quarante et un.

— Simone, mów szybko.

— St. Laurent wynajął pokój numer czterdzieści jeden. Na górze.

— O Boże, on go widział? — Houston nie wiedział, za którym impulsem iść najpierw — popędzić na górę, czy poczekać i zdobyć więcej informacji.

— Avez-vous lui vu? — zapytała Simone. Dozorca odpowiedział. Simone zwróciła się do Houstona. — Nie. Mówi, że dostaje instrukcje od pośrednika. Otrzymał pismo polecające mu, by zostawił biuro otwarte, a klucz położył na biurku. Teraz otrzymał inną instrukcję, w sprawie zmiany nazwiska na drzwiach biura. Listonosz przynosi paczki do niego.

— Czy jest na górze? — zapytał Houston.

— Est-il ici?

— Jamais — odpowiedział dozorca, po czym coś dodał.

— Co? Simone wyjaśniła.

— Mówi, że St. Laurent nigdy tu nie bywa. Biuro nigdy nie wymaga sprzątan. I paczką również nietkniętą.

— Co jest, do diabła? — Houston ruszył w kierunku klatki schodowej. Drżał z emocji.

56

— Peter?

Słyszał za sobą kroki, ale nie zawracał sobie głowy, by się obejrzeć. Ściskając poręcz balustrady, wchodził po dwa stopnie naraz. Schody

:szczały, a balustrada chybotwała się. Na samej górze zwisająca, niecała na żółto żarówka rozjaśniała długi korytarz.

— Peter?

Odwrócił się w końcu. Simone podążała za nim.

— Była tu policja — odezwał się — i nic nie znaleźli. Nie rozumiem tego. To dowodzi, że jednak miałem gościa tamtej nocy.

— Nigdy w to nie wątpiłam.

— Ale będziesz moim świadkiem, kiedy pójdziemy na policję. Nigdy nie powiązałbym tego miejsca z St. Laurentem, gdyb<sup>^</sup> mi ktoś nie powiedział, gdzie go szukać. Przyjechałaś tu ze mną i widzisz, jak trudno je znaleźć. Musiałem mieć wskazówki. Ktoś niusiał mnie tu skierować.

— Powiedziałam, że ci wierzę.

Rozmawiając posuwali się coraz wyżej. Weszli natrzecie piętro. Tu już nie było żadnego oświetlenia; ciemność sprawiła, że Houston się zawahał.

W końcu czwarte. Dotarli na czwarte piętro.

16

Zatrzymał się. Panowała tu cisza, chociaż z zewnątrz dobiegały przytłumione odgłosy ulicznego ruchu. Wyczuwał zacier i pleśń. Stopniowo, w miarę jak oczy przyzwyczajały się do ciemności, korytarz wydłużał się. Gniew przewyciężył niepokój. Ruszył dalej.

Numer czterdziesty pierwszy znajdował się w przeciwnym końcu korytarza. Rzucił okiem na napis — IMPORTATIONS, ST. LAU-RENT — odbity na matowej szybie.

Houston zapukał. Nie było żadnej odpowiedzi. Ponownie zapukał. Tym razem, nie usłyszawszy odpowiedzi, ujął klamkę. Simone dotknęła jego dłoni.

— Jesteś pewien? — zapytała. — Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, Najdziesz się w niebezpieczeństwie.

— Oboje — odpowiedział. — Myślałem o tym. Słuchaj, lepiej tu poczekać.

57

— Chyba żartujesz. Jeśli myślisz, że zostanę tu sama...

— Muszę to zrobić. Jestem to winien Jan. — Houston popchnął drzwi. Zaskrzypiały na zardzewiałych zawiasach i odsłoniły jednopokojowe biuro. Były tam dwa okna z matowymi szybami. Żadnych innych drzwi.

Houston wszedł do środka. Poczł uścisk dłoni Simone na ramieniu, lecz nie obejrzał się. W skupieniu rozglądał się. Z lewej strony pokój był pusty. Z prawej dostrzegł obskurną, drewnianą szafę. Przeszukał szuflady; były puste.

Naprzeciw sfatygowane biurko ze śladami po szklankach i butelkach na blacie. Na biurku telefon i trzy małe, ostemplowane przez pocztę pakunki. Przyglądając się im, Houston obszedł biurko.

Wszystkie miały adres: PIERRE DE ST. LAURENT. Podniósł jedną.

— Ciężka. — Potrząsnął nią. — Nic się w niej nie rusza. Ciekawe, co jest w środku.

Odłożył pakunek i podniósł słuchawkę. Pokiwał głową w chwili, gdy usłyszał sygnał centrali.

— Działa. Ktoś musi go używać.

To było wszystko. Poza jednym rozeschłym, obitym skórą krzesłem nie było tu niczego więcej.

— Co robimy? — zapytała.

— Chciałbym wiedzieć, co jest w tych paczkach.

— Chcesz je otworzyć?

— Nie, nie chciałbym tu zostawić żadnych śladów. Na drzwiach jest napisane coś o imporcie. Ale wątpię w to. To biuro nie służy do robienia interesów.

— Więc do czego?

— Nie wiem. Może plajta. Miejsce, gdzie można zostawić i odebrać korespondencję.

— Lub paczki?

— Być może. Chociaż paczki mają stemple sprzed kilku dni. Jeśli to coś w środku jest wartościowe, to dlaczego nikt ich nie odebrał. — Houston potrząsnął kolejną paczką. — Może heroina lub pieniądze. Do diabła, równie dobrze mogą to być i książki. — Ściągnął usta. — Może nic takiego.

— Biuro też nie było zamknięte — odrzekła.

— Przypuśćmy, że są bezwartościowe. Cholera — zaklął — nie wiemy nic więcej ponad to, czego dowiedzieliśmy się na dole.

58

— Mam myśl. — Przyglądał się jej. — Ciągłe jesteś zdecydowa-  
1  
zapytała.

1

Skinał głową.

— Możemy poczekać w pustym biurze na dole. Jeśli ktoś przyjdzie paczki, pójdziemy za nim. Może to być St. Laurent. Może ktoś, kto do niego pójdzie.

Uśmiechnął się z aprobatą.

— Simone, to — przerwał w pół zdania. Jego uśmiech rozplynął się. Zaniepokojony, odwrócił się nagle w stronę drzwi. Kroki zaskrzypiały gdzieś w głębi korytarza. Wchodząc do biura, drzwi zostawili otwarte. Simone cofnęła się. Houston przemknął za biurko. Z korytarza wejrzał dozorca.

— Ca va bien? — Jego oczy zdradzały niepokój.

Houston, rozumiejąc go, odetchnął. No jasne, facet pewnie sprawdza budynek. Niepokoi się, że tu siedzimy. Obawia się utraty posady.

— Wyjaśnij mu, że jesteśmy importerami — powiedział do Simone — że wrócimy, kiedy ktoś tu będzie.

Przetłumaczyła i zaczęli powoli wychodzić. Dozorca czekał, aż przejdą.

— Mer ci — powiedział Houston. Szli wzdłuż korytarza.

— Na razie — zawołał do dozorca. — Plus tard. Doszli do schodów.

- Nie możemy teraz czekać w tym pustym biurze — odezwał się do niej. — Będziemy musieli

znaleźć inny sposób.

Zaczęli schodzić w dół. Dozorca wszedł do biura, jakby sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu. W biurze za nimi odezwał się telefon. Houston przerwał w pół zdania i odwrócił się.

- Simone, zaczekaj. Słuchaj. Tłumacz, co mówi.

— Może nie odebrać. !§>

Telefon ucichł. Cisza. Houston czekał w napięciu. Nie widząc dozorey usłyszeli:

— Qui?

ksplozja rozsadziła ściany. Dach zapadł się. Korytarz zniknął, much rzucił Houstona do tyłu, przyklejając go do ściany. -Upadł bezwładnie, jęcząc po uderzeniu o schody. Simone krzyczała, ł dym i cierpki, ostry, gryzący zapach. Było gorąco. Kawał ściany ^alił się tuż obok.

59

Coś, wijąc się, spadło na niego. Przerażony stwierdził, że to I Simone. W gwałtownych błyskach płomieni zobaczył na niej krew, na sobie również.

Krzyknął. Piekący żar był coraz bliżej. Stoczyli się w dół schodów, na trzecie piętro. Spoglądając w górę, ujrzał ogarniające wszystko płomienie.

Kaszłąc od dymu, czuł przygniatający go żar. Ubranie rozgrzewało się. Obraz przed nim wirował.

— Musimy — zaczął, lecz dym i kaszel nie pozwoliły mu dokończyć.

Potykając się schodzili po szczątkach klatki schodowej. W pewnym momencie z ledwością utrzymali równowagę. Po chwili przewrócili się przed spadającym, płonącym kawałkiem stropu.

Trzymając się resztek poręczy schodzili dalej.

Przynajmniej próbowali. Poręcz, już przedtem niepewna, poddała się i wylądowali, uderzając twardo, na kolejnym piętrze. Houston jęknął z bólu, który przeszył całe jego ciało. Płomienie pozostały wysoko ponad nimi.

— Nic ci się nie stało? — zapytał.

Simone, blada na twarzy, potakiwała. Miała dość sił, by wstać. Ruszyli w dół. Po minucie kaszłąc opuścili budynek. Na parkingu opadli na maskę samochodu. Tłum gęstniał. Ludzie ruszyli na ratunek. Poprzez huk płomieni na górze Houston usłyszał przeraźliwe zawodzenie szybko zbliżających się syren.

17

— Od rana zaczniemy przetrząsać to rumowisko — powiedział inspektor — chociaż oceniając rozmiary zniszczeń podejrzewam, że nie znajdziemy zbyt wiele.

Siedzieli w wąskim pomieszczeniu z siedmioma biurkami. Obok Houstona dwaj policjanci rozmawiali zawzięcie przez telefony. Houston rozcierał ramię spoglądając w ich kierunku.

— Czy już lepiej? — zapytał inspektor.

— Boli.

— Z pewnością.

Sanitariusze z ambulansu zabrali Simone i Houstona do szpitala-

60

kkie oparzenia. Kontuzje. Szok. Simone zwichnęła nadgarstek;

ouston miał przesunięty obojczyk. Bandaże dookoła jego0 zra-

onych wcześniej żeber osłabiły uderzenie. Był kompletnie obolały, od stóp do głów.

Przyprawiony o zawrót głowy zabiegami, którym został poddany, nie zauważył, kiedy dzień zmienił się w wieczór. Nie pamiętał też, jak dostał się

. szpitala na policję. W istocie był tak rozbity, że nie zwrócił uwagi, kiedy

inspektor przedstawiając się jako Alfred Bellay uczynił to po angielsku.

Zaskoczenie na twarzy Simone zaciekało go. Nagle zreflektował

się, badał wzrokiem tego wysokiego, szczupłego, przystojnego i dobrze

ubranego mężczyznę.

— Czy pan mówił po angielsku? — zapytał.

— Dlatego zostałem do pana przydzielony. Jak tylko strażacy zorientowali się, że jest pan Amerykaninem, poprosili mnie o pomoc. Wiele lat temu, w Paryżu, współpracowałem z Brytyjczykami i musiałem poznać ten język.

Myśli Houstona stały się bardziej klarowne. Facet miał około trzydziestu pięciu lat. Jeśli, będąc młodszy, rozpoczynał karierę w Paryżu, to widocznie nadepnął komuś na odcisk, skoro wylądował w Roncevaux. Boże, kto chciałby tu żyć?

Alfred Bellay odezwał się.

— Więc podejrzewa pan, że to była bomba?

— Nie potrafię sobie nic innego wyobrazić.

— Może ulatniający się gaz?

— Nic nie czułem.

— A pani? Zaprzeczyła głową.

— Więc sądzi pan, że w paczkach był materiał wybuchowy?

— Sprawdziliśmy w tym pomieszczeniu wszystko, ale paczek nie otwieraliśmy. Gdzież indziej mógłby być?

— Zadzwoił telefon.

— Tak.

— Dozorca wszedł do pokoju, by go odebrać.

— Zgadza się.

— Podniósł słuchawkę, rozmawiał i... — Bellay podniósł ręce \* geście sugerującym eksplozję. — Dokładnie. — W takim razie mamy dwie możliwości. Bomby eksplodowały

\*, 61

w tym momencie przypadkowo, bez specjalnego powodu, lub stało się to dokładnie wtedy, kiedy powinny były wybuchnąć, zdetonowane za pomocą zdalnego sterownika. Sam telefon nie musiał być detonatorem. Gdyby tak było, pierwszy dzwonek wystarczyłby. Jak pamiętam,, mówił pan, że zadzwonił dwa razy. Pete skinął głową.

— W takim razie ten, kto dzwonił, czekał, by się upewnić, że ktoś jest w biurze. Kiedy usłyszał głos w słuchawce, nacisnął guzik i zdalne sterowanie wyzwoliło ładunek.

Houston domyślał się tego wszystkiego, nie chciał jednak niczego sugerować, obawiając się reakcji Bellaya.

— Nie wyjaśnił mi pan, co oboje tam robiliście — powiedział Bellay.

— Chcieliśmy spotkać pewnego człowieka.

— Proszę? — zapytał Bellay. — To staje się już męczące, proszę pana. Zadaję pytania, a pana odpowiedzi są ciągle zdawkowe. Ktoś, kto nie jest wplątany w tę historię, byłby bardziej rozmowny. Pan wie więcej, niż pan mówi.

— No, powiedz im — odezwała się Simone. Bellay spojrział na nią, unosząc brwi.

— Więc pani też mówi po angielsku. Skinęła głową.

— Przynajmniej to, jeśli nic więcej, łączy nas troje. No więc co? Proszę dalej, do końca.

— Ktoś chce nas zabić — powiedział Houston.

— To wydaje mi się oczywiste. Dlaczego?

— Szukamy pewnego człowieka. Pierre'a de St. Laurenta. Zniknął w czterdziestym czwartym.

Pewien facet sugerował, że możemy go znaleźć w tym biurze.

— Co za facet? Co sugerował?

— Nie wiemy. Nie podał nazwiska. Zostawił wiadomość i wyszedł.

— I dlatego tu przyjechaliście.

— Najpierw próbowałem przyjechać tu z żoną. Mieliśmy wypadek. Żona zginęła.

Bellay patrzył na niego zaskoczony.

— Biorąc pod uwagę to, co się stało, sądzi pan, że było to zaplanowane?

— Jestem tego pewien.

62

- Ja nie byłem pewna — wtrąciła Simone. — Teraz jednak dzam się z Peterem. Ktoś próbował go zabić. Chciał przeszkodzić, w odnalezieniu St. Laurenta.

— Do czego St. Laurent jest tak panu potrzebny? — zapytał Bellay. Badał Houstona surowym wzrokiem.

— To dziwna historia — odpowiedział. — Mój ojciec był żołnierzem. Zginął w czterdziestym

czwartym. Ten St. Laurent opiekował e jego grobem. Chciałbym mu po prostu podziękować. Kiedy Houston skończył, opuścił wzrok na kratkowaną wykładzinę. Nie wiedział, czemu ciągle kłamał, czemu nie wspomniał, że szukał grobu. To zbyt osobiste, zbyt skomplikowane, pomyślał. Nie, coś jeszcze. Obawiasz się tego. Nie chcesz z tym walczyć.

— To chwalebne — stwierdził chłodno Bellay. — Nagle jednak okazuje się, że on nie chce tych podziękowań. Mówi pan, że St. Laurent zniknął w czterdziestym czwartym?

— Tak, i im więcej takich ścieżek znalazłem, tym bardziej byłem zdecydowany go odszukać. Wtedy ten nieznajomy wysłał nas tutaj i...

Bellay zmarszczył brwi.

— Czy coś jeszcze?

— Mówię panu prawdę.

— Ale z pewnością rozumie pan mój punkt widzenia. Ten wypadek był bez sensu. Dlaczego St. Laurent próbuje pana zabić?

— To właśnie mnie denerwuje. Nie wiem.

— Alfred?

Bellay odwrócił się do dwóch policjantów, którzy przez cały czas prowadzili rozmowy telefoniczne. Jeden zaczął z nim rozmawiać.

— Qui? — odpowiedział.

Rozmawiali po francusku. Simone wyraźnie zaciekało to, co słyszała.

Bellay zwrócił się do Houstona.

- Cały zespół budynków ma wspólnego zarządcę. Sprawdził ' swoich dokumentach. Właścicielem tego, który spłonął, jest Verlaine

Enterprises, ale oni nigdy nie słyszeli o St. Laurencie. Zarządca Potwierdza jednak, że St. Laurent rzeczywiście wynajął to biuro.

— Więc może nam dać opis tego człowieka.

- Nie jest to, niestety, takie proste. St. Laurent przeprowadzał tysiące swoje transakcje telefonicznie i przez pocztę. Płacił gotówką

Zsyłaną listem.

63

Houston jęknął, po części z powodu przestających działać środków znieczulających, co powodowało gwałtowny ból, po części z powodu kolejnej porażki. Znowu Pierre de St. Laurent mu się wymknął.

— Kiedy? — zapytał.

— Proszę? — powiedział Bellay zdziwiony.

— Biuro. Kiedy je wynajął?

— W tym miesiącu. Jedenastego.

— To trzy dni temu.

— Dlaczego to takie ważne? Houstona rzuciło z wściekłości.

— Jan już wtedy nie żyła. Skurwysyny!

— Peter, masz dowód. — Simone usiadła sztywna, jakby połknęła kij.

— Na co? — zapytał Bellay.

W głosie Houstona brzmiał gniew.

— Kiedy ten facet wysłał nas tutaj, nie mógł wiedzieć, że St. Laurent urzędował w tym biurze.

Nie było wtedy nawet wynajęte, Nie musiało być. Nie sądzili, że kiedykolwiek tu dotrzemy. Kiedy dowiedzieli się, że żyję, liczyli, że będę ciągnął to, co zacząłem, Oczekali, aż policjanci sprawdzili budynek — wtedy wynajęli biuro i czekali. Cholerne skurwiele. Obserwowali, kiedy wejdę do budynku. Zadzwonili do biura przekonani, że odbiorę telefon. Musieli się upewnić, że jestem w biurze.

18

Houston prowadził gdzie popadnie, ciągle spoglądając we wsteczne lusterko. Skręcił w lewo, potem w prawo, bez istotnego powodu. Objechali cały kwartał. Przyśpieszył. Zwolnił. Kiedy w końcu był



już przekonany, że nikt za nimi nie jedzie, wy dostał się na główną szosę wylotową z Roncevaux i dodał gazu.

— Ta droga prowadzi poza miasto — powiedziała zdziwiona Simone.

— Wiem.

— Ale hotel, który nam wskazał Bellay, został w tyle, przy innej drodze.

— Dlatego właśnie jadę tą drogą.

64

— Więc nie zgubiłeś tam kierunku? Gdy tak skręcałeś chaotycznie te wszystkie ulice? O fiożę.

— Teraz rozumiesz. Nie pomyślą, że opuścimy miasto tak szybko, jesteśmy ranni- Byłoby rzeczą naturalną, gdybyśmy spędzili tam noc. Ile czasu upłynie, zanim nas ktoś odnajdzie?

— Mogliśmy wpisać się w hotelu pod innymi nazwiskami.

— To jedynie utrudni im zadanie. Nie uniemożliwi. Jeśli zostalibyśmy tutaj, prawdopodobnie znaleźliby nas.

— Moglibyśmy poprosić Bellaya o ochronę.

— Zaufałabyś facetowi z ochrony? Nie znalazłbyś go, nie moglibyśmy stwierdzić, czy ktoś nie przebrał się za niego, by nas oszukać. Nawet gdybyśmy mu zawierzyli, ten zdecydowany nas zabić gość i tak znalazłby na to sposób. Nie mamy innego wyboru. Musimy wyjechać. Kiedy polowaliśmy na St. Laurenta, ktoś polował na nas. Następnym razem sprawdzi wszystko dokładnie. Zrobi to tak, że nikt nigdy nas nie znajdzie.

Przeniknął ją dreszcz.

— Nie mów tak.

- Muszę ci to uświadomić — walczymy o nasze życie.

Silne strumienie światła drogowych ukazywały przed nimi pustą, trójpasmową drogę. Pete rzucił okiem na znak drogowy.

— Wiesz, co to za miasto?

— Nigdy o nim nie słyszałam — odpowiedziała.

- Może oni też. Dziesięć kilometrów. Spróbujmy. Mam dość jazdy. Ramię strasznie mi dokucza.

- Ja mam spuchnięty nadgarstek. W ogóle nie mogę prowadzić — powiedziała.

rzerzucił na dwójkę. Walcząc z bólem, skręcił kierownicę. Obolałe f opierało się. Renault przemknął obok przydrożnego rowu i, icając ciemność swymi światłami, skierował się na wschód, wzdłuż zwirowej drogi.

— Simone, wybacz mi.

— Co?

— Że cię w to wszystko wplątałem.

Nie musiałam jechać z tobą. Mówiłeś mi, że Jan została ordowana, ale sądziłam, że fantazjujesz. Zlekceważyłam to.

Aleja wiedziałem, że to nie żarty. Wiedziałem, że to ryzykowne.

n tak wściekły, że nie zdawałem sobie sprawy, na jakie niebezpieczeństwo narażam i ciebie. Nie powinienem nigdy prosić cię o pomoc.

zemsty

— Teraz to nie ma znaczenia. Jestem tutaj. Wybrałam. Powiedzmy, że oboje popełniliśmy błąd. To jednak niczego nie zmienia.

— Słuchaj, jest szansa. Mogłabyś zostawić mnie w tym mieście. Chociaż, kiedy wrócisz do domu... Obawiam się. Może będzie szedł za tobą — powiedział.

Nic nie mówiła, ale usłyszał jej westchnienie.

— No, być może nie dzisiaj, kiedy jesteś ze mną. Ale może się domyślać, że też coś wiesz. Może się obawiać niebezpieczeństwa z twojej strony. Rozstajemy się, czy też razem stawimy mu czoło?

— Houston czekał, lecz nie odpowiedziała.

Wpatrywał się w coś poza światłami samochodu. Prawie natychmiast ujrzał małe domki, kawiarenkę, stację benzynową. Parę światła. Żadnych ludzi. Jeden samotny samochód zaparkowany wzdłuż, ulicy. Zanim się spostrzegł, już był za miastem, przed nim znowu rozciągała się ciemna

okolica. Zawrócił, naprężając dokuczające z wysiłku mięśnie i ruszył w kierunku, z którego nadjechali.

— Simone, nie odpowiedziałaś mi.

— Jestem wściekła.

— Prosiłem cię już o wybaczenie.

— Nie na ciebie. Jestem wściekła, przerażona i nie lubię, gdy mi ktoś grozi. W Stanach, po ślubie, robił to mój mąż. Chciał mnie kontrolować. Kiedy go zostawiłam, ścigał mnie. Terroryzował. Dwukrotnie próbował mnie zabić.

— Jezu.

— Wróciłam do Francji. Złożyłam sobie obietnicę. Nigdy więcej nie będę żyła w strachu. Nie poddam się prześladowającemu wrazeniu, że ktoś czyha na mnie za krzakami. Nie wyrzeknę się mojej wolności i nie będę się zawsze czołała, kiedy usłyszę nadchodzące kroki. Teraz to moja walka. Też chcę powstrzymać tego drania.

19

Hotel — tak brzmiał napis na szyldzie, lecz budynek wyglądał raczej jak pensjonat w Stanach.

Bardzo stary, z dala od głównego skrzyżowania. Dookoła rozciągały się zupełne ciemności.

Zaparkował samochód w zaułku za jakimiś krzakami. Kiedy zamilkły już wystraszone okoliczne koty, przeszli w kierunku ulicy.

66

Budynek hotelu był ciemny i cichy. Houston zapukał do drzwi. Odpowiedzi nie było.

Zapukał raz jeszcze. Po ostatnich wydarzeniach drżał z wyczerpania. Sinione zagłębiła się w cień, chowając się przed światłami przejeżdżającego samochodu.

Zapukał po raz trzeci. W końcu światło się zapaliło. Jakiś cień kuśtykał korytarzem w kierunku drzwi. Przez wąskie okienko wyjrzała stara kobieta w obszernym szlafroku i workowatej szlafmocy. Pociągnęła drzwi, otwierając je z trzaskiem, po czym spojrzała na nich nieufnie.

Wszystko załatwiła Simone. Jak się Houstonowi wydawało, rozmawiała wystarczająco długo, by wynająć pokój. Jednak starsza pani marudziła, że ją obudzili, i chyba wyczuła, że oboje są różnej narodowości. Zrodziło to w niej wątpliwości, czy byli małżeństwem.

Houston skinął głową, zapewniając ją.

Gdyby nie byli, zauważyła, musiałaby wynająć im oddzielne pokoje.

Pete zrozumiał.

Nie interesowało jej to, czy żyją w grzechu, lecz to, że wynajmując dwa pokoje, zarobi dwa razy więcej.

Nie mogli ryzykować nocy w oddzielnych pokojach. W końcu Simone rozwiązała problem godząc się zapłacić podwójnie za jeden pokój, na co starsza pani z satysfakcją skinęła głową.

Zabrali swoje torby i weszli dalej. Houston zapłacił, a kobieta bez ceremonii wskazała im pokój i prowadzące tam schody. Wchodzili wykończeni.

— Minęła się z powołaniem — zauważył Houston. — Powinna sprzedawać samochody.

— Powiedziała, że śniadanie jest o szóstej.

— A więc liczy, że je prześpimy, ona zaś nie będzie musiała go przygotowywać. Cofam, co powiedziałem. Ona powinna być politykiem.

Weszli do środka. Pokój był gustownie urządzone i czysty, choć 'był duży. Mosiężne łóżko miało miękkie materac z dołkiem 'rodku. Odstawiwszy bagaże, Houston wypróbował je. Simone zamknęła drzwi.

- Mam nadzieję, że nie czujesz się skępowana — odezwał się. — Ie ma innego wyjścia. Musimy się podzielić.

- Zauważyłam, że komuś tu bardzo chciało się spać. Jest tylko 'olem, kto zajmie łóżko, a kto krzesło.

67

— Chcesz rzucać monetą?

— Myślę, że skorzystam z moich kobiecych przywilejów i zaoferuj ci krzesło.

— Tego się obawiałem. — Rozejrzał się dookoła. — Tu nie n^ łazienki.

— Podwójna cena, a ty oczekujesz łazienki? Jesteś marzycielem. Houston uchylił drzwi i wyrzwał na zewnątrz.

— Jest, tam dalej. No, ponieważ śpię na krześle...

— Idziesz pierwszy do łazienki. Tego się domyślałam. Roześmieli się oboje. Raptem uprzytomnili sobie, jakie okoliczności przywiodły ich tutaj, i spoważnieli.

— Nie będę tam długo siedział — powiedział.

Wziął torbę i wyszedł z pokoju. Kiedy wrócił w piżamie i szlafroku, zauważył, że Simone też była już przebrana. Gdy wyszła, znalazł i w szafce koc i usadowił się na krześle. Coś jednak nie dawało mu! spokoju. Był pewien, że coś przegapił.

Simone wróciła. Odstawiła torbę i zamiast położyć się w łóżku, I usiadła na brzegu i patrzyła w jego stronę.

— Bellay miał rację.

— W czym?

— Nie powiedziałeś prawdy — odrzekła.

— Mylisz się.

— Nic podobnego. — Na jej twarzy malowało się skupienie. — I Od początku coś podejrzewałam. Wyglądało na to, że nie możesz się doczekać spotkania z St. Laurentem, by mu podziękować.

— Opiekował się grobem ojca. Jestem mu to winien. Co w tym dziwnego?...

— On tego nie robił.

— Co?

— Zniknął w czterdziestym czwartym. Nigdy nie wypełniał złożonej twojej matce obietnicy. Nie jesteś mu nic winien.

Pete poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Coś wzbierało w nim i paląc jednocześnie pograżało się.

— Dałam spokój tym sprzecznościom — ciągnęła. — Uważałam, że musisz mieć powody, by nie mówić mi o prawdziwych motywach. To nie była moja sprawa, myślałam. Lubię cię. Byłam ciekawa \ Pomagałam ci.

— Simone, nigdy nie myślałam...

68

— Pozwól mi dokończyć. Potem zginęła twoja żona. Współczułam z tego powodu. W przeciwieństwie do niektórych moich rodaków, bic Amerykanów. Odrzuciłam wątpliwości i pomagałam ci dalej. eraz jednak ktoś chce zabić i mnie. Nie winie cię o to. Mówiłam już, 3 był mój wybór, jeśli nawet nieświadomy, to jednak mój. Zostałam. Lecz dopóki będę w to zamieszana, bądź ze mną szczery. Cały czas, jak tu jechaliśmy, czekałam na jakieś wyjaśnienie, ale ty mi nie ufasz, nie chcesz powiedzieć prawdy. Nie mogę już dłużej czekać. O co tu, do diabła, chodzi?

Pete wpatrywał się w nią. Czuł w sobie niepokój, wywołany nie tyle niebezpieczeństwem, w którym tkwili, lecz innym rodzajem obaw przyczajonych w ukryciu, a zagrażających jego wewnętrznej równowadze. Było to jak skradające się po cichu złośliwe zwierzę. Próbował to zignorować, udając, że tego nie było, wmawiając sobie, że jego obawy nie mają żadnego uzasadnienia w rzeczywistości.

Teraz jednak czas nadszedł. Zwierz warczał w ciemnościach.

— W torbie — odezwał się — mam trochę brandy.

DDRzucił koc, wstał z krzesła i sięgnął do torby. Otworzywszy ją, znalazł butelkę. Rozejrzał się dokoła, nie dostrzegł jednak żadnej szklanki.

- Będziemy musieli pić z butelki. — Odkręcił zakrętkę i podniósł butelkę do ust. Przełknął mrużąc oczy, po czym podał ją Simone.

zyjmując ją zaskoczyła go. Spojrzała na etykietę, uniosła butelkę i pociągnęła spory łyk. Houston przyglądał się jej krtani, drżącej przy przełykaniu. Odstawiła butelkę na podłogę pomiędzy nimi.

— Prawda — odezwała się. — Tylko ją odwlekasz. )bserwował ją, nie mając ochoty na zwierzenia. W końcu, jakby przełamując wewnętrzne opory, jego umysł drgnął.

- To przez ojca. Nie mogę znaleźć jego grobu. — Słowa zawisły w powietrzu. rzetrasnął marynarkę, znalazł pudełko i zapalił papierosa. Simone była zdezorientowana.

— Co to ma wspólnego...

Moja matka zawsze mi mówiła, że został pochowany na ntarzu wojskowym w pobliżu waszego miasteczka. — Mirtfo \*u w klatce piersiowej zmusił się, by mówić dalej. — Od kiedy echałem do Francji, uważałem, że powinienem złożyć mu hołd. le> do cholery, nigdzie nie ma wzmianki, że był tam pochowany. Nie

69

\*

mogłem tego zrozumieć. Wtedy przypomniałem sobie, że ten Pierre de St. Laurent napisał do mojej matki i obiecał opiekować się grobem ojca. Sądziłem, że jeśli z nim porozmawiam, to powie mi, gdzie ten grób jest.

Była kompletnie zagubiona.

— I to jest...? Wierzysz w to, że twoja żona zginęła i dozorca, i nieomal my oboje, ponieważ ktoś nie chce dopuścić, byś odnalazł grób ojca?

— Nie. Ty to tak przedstawiasz, że faktycznie to brzmi głupio.

— Więc co?

Houston zaciągnął się dymem.

— To nie takie proste. Rozsądek za każdym razem sugeruje, by to w sobie zdusić. To znaczy, jest to tak niesamowite, że jeśli okaże się prawdą, to...

— Peter. — Jej oczy błęgały. — To nie może być bardziej niesamowite niż to, co już się stało.

Powiedz mi — mówiła. — Zaufaj mi.

Houston skinął głową.

— Musisz to zrozumieć, nigdy nie znałem ojca. Zginął mniej więcej wtedy, gdy ja się urodziłem. Matka go podziwiała. Opowiadała mi, jaki był mądry, jaki przystojny, jak nas kochał. Był wysoki, silny, dobrze znał się na samochodach i umiał śpiewać jak gwiazda opery. Był dla nas kimś świętym. Przez cały czas, jak dorastałem, widziałem ojców moich kolegów i zazdrościłem im. Wiedziałem, że nie mogli być tacy wspaniali jak mój, ale oni żyli i pragnąłem z całego serca, by jeden z nich był moim ojcem. Zapytałem matkę, czy kiedykolwiek wyjdzie znowu za mąż. Odpowiedziała: „Nigdy nie znajdę takiego jak twój ojciec” — i nie znalazła. Do śmierci pozostała sama.

Wypuścił dym. Simone sięgnęła po butelkę i wypila łyk. Zmarszczyła czoło.

— Dzieci są tak pomysłowe — mówił Houston. — Nazwijmy to fantazją, dziecięcą obawą przed utratą poczucia bezpieczeństwa. A może powinniśmy nazwać to nadzieją. — Pokiwał głową. — Za-czałem marzyć. Wkrótce marzenia te pojawiły się w moich snach-Pociągało mnie to.

Zastanawiałem się nad tym. Wyobrażałem sobie różne — nie wiem — scenariusze, jak mówią dorośli. A może on nie zginął? Być może stracił pamięć i nie wiedział, że ma żonę i syna. Lub może tak. Przypuśćmy, że został okaleczony tak okropnie, że nie

70

iał ukazać nam swojej brzydoty. Albo gorzej, to najczarniejsza ożliwości. Nic mu się nie stało, ale postanowił nie wracać do domu, avwił nas, odwrócił się do mnie plecami i pozwolił dorastać samemu.

Houston nieoczekiwanie poczuł w oczach łzy, a w gardle gorycz.

iół papierosa, tak jakby chciał zdusić swój żal, mając nadzieję, że 'l przypalanych palców wyrwie go z tego stanu.

- Peter — odezwała się łagodnie. Wstała i podeszła do niego. Położyła dłonie na jego ramionach. Trząsł się i chociaż czuł zapach jej perfum, nie mógł się przemóc, by unieść wzrok.

— To tak jak mówiłem — powiedział nie otwierając oczu. —

Dzieci mogą mieć różne pomysły.

Ręce Simone mocno obejmowały jego ramiona.

— Myślisz, że twój ojciec jeszcze żyje? — Jej głos pełen był napięcia, niedowierzania i czegoś jeszcze — jakiegoś dziwnego lęku.

— Wreszcie chłopiec porzucił swoje fantazje. Dorósł. Teraz jednak okazuje się, że ojciec nie został pochowany tam, gdzie opowiadała matka, że Pierre de St. Laurent zniknął z pola widzenia i...

Chryste, chcę wiedzieć, o co tu chodzi! Jeśli to, co mówiła matka o jego grobie, nie jest prawdą, to co jeszcze nią nie jest? Ile jeszcze spraw, które uważałem za oczywiste, okaże się innymi, niż sądziłem. Jedynym człowiekiem, który to wie, na pewno jest St. Laurent i ten, który obawiając się, że go odnajdziemy, już dwukrotnie próbował mnie zabić. I zabił moją żonę, i...

Głos Houstona załamał się. Przyciągnęła go do siebie i przytuliwszy jego twarz do piersi uciszała. Oboje znieruchomieli na odgłos pukania do drzwi.

Odwrócili się zaniepokojeni. Teraz pukanie było mocniejsze.

Simone podeszła do drzwi. Wycierając oczy, Houston przyglądał się jak je uchyla. Zebrał się w sobie na wszelki wypadek.

Usłyszał głos starszej pani.

• Simone mówiła coś. Kobieta odpowiedziała. Jej kroki oddaliły się, szurając po schodach.

Simone zamknęła drzwi.

— Mówi, że nie pozwalamy jej spać. Pokiwał głową.

~ Wlazła w samą porę. Jeśli ja będę tak sprytny, to znajdę odpowiedź.

71

Podeszła bliżej przyglądając mu się. Nachyliła się i pocałowała go w policzek.

— Znajdziemy Pierre'a de St. Laurenta — powiedziała. — W taki i czy inny sposób znajdziemy odpowiedzi na wszystkie twoje pytania. J

Sen nadszedł szybciej, niż się tego spodziewał. Kiedy Simone F wyłączyła światło, usłyszał, jak posuwa się w swoich nocnych pantoflach w stronę łóżka. Słyszał szelest zdejmowanej poduszki i pościeli, i którą się okrywała.

Odpląnął i zasnął. We śnie znowu był na rue Gabriel 113. Wyszedł z biura razem z Simone.

Widział, jak dozorca wchodzi do środka. | Znowu słyszał dzwonek telefonu. Eksplozja rzuciła go w dół schodów. I Poczł spadającą na niego Simone. Podniósł ją i nagle ujrzał jej głowę w groteskowym skrucie i kawałek drewna wielkości pięści, wbity w jej czoło. Nie żyła. Boże, zabił ją! Najpierw Jan, teraz Simone. Już I dwukrotnie. Krzyknął tak, że Simone spojrzała na niego martwymi oczami. Krzyczał dalej. Uciekał w popłochu.

— Peter!

Szarpał się z obejmującymi go rękami.

— Pete, to nic! To tylko senny koszmar!

Drżąc, uchylił powieki i wpatrując się w obejmującą go Simone zerwał się z krzesła.

— Dwukrotnie — powiedział przejęty.

— Pete, już po wszystkim. To był sen.

— Raz, a potem znowu.

Czuł, że dostał gęsiej skórki. Szukając kontaktu, odwrócił się w jej stronę w momencie, kiedy rozbłysło światło.

— To zdarzyło się dwukrotnie — powiedział do niej bez tchu.

— Tak, wiem. Wypadek, potem bomba. O to ci chodzi?

— Nie o tym myślę. — Skojarzenie to wstrząsnęło nim, jakby doznał szoku. W końcu odnalazł brakujący szczegół. — Dwukrotnie. I To zdarzyło się już przedtem dwukrotnie. Tam, na cmentarzu. I W zeszłym miesiącu też ktoś poszukiwał grobu swego ojca. Ten sierżant nie mógł go odnaleźć. I w zeszłym roku. Powiedział, że teraz • było tak samo.

Houston wpatrywał się w szeroko otwarte oczy Simone.

— O Boże — wyjęczała — brakuje jeszcze jakichś grobów?

72

20

Błyskawicznie zmienił bieg. Renault zawył sunąc pod górę, po czym minawszy wierzchołek przyśpieszył. Przerzucił na trójkę.

— Jest. Wstrzymała oddech.

— Nigdy tego nie widziałaś?

— Nie chciałam. Boże, ile matek i synów!

— Dziesięć tysięcy.

— Och — jęknęła. — To przerażające.

Zwolnił przed żelazną bramą i wjechał na parking. Hamulce zapiszczały, kiedy gwałtownie zatrzymał się przed znakiem: AMERYKAŃSKI POMNIK WOJENNY.

Ruszyli w kierunku szerokiego, niskiego budynku. Houston popchnął drzwi, przytrzymał je, by mogła przejść, po czym wszedł za nią. Minawszy dioramy w środku pomieszczenia, dostrzegł chudego, wysokiego urzędnika za kontuarem.

Wyglądał jak robot uruchamiany przez stukot nadchodzących kroków. Wyprostował się.

— Słucham pana? Panie... Houston? Co u pana słyhać?

— Nadintendent.

— Jest zajęty, proszę pana, w swoim biurze.

— Proszę go zawołać.

— Jeśli znalazł pan jakieś informacje, wystarczy, że mi je pan przekaże.

— Powiedziałem, chcę rozmawiać z Andrewsem.

Urzędnik najwyraźniej się obraził. Wzruszając ramionami, odwrócił się w stronę drzwi nadintendenta.

Nie musiał pukać. Były otwarte.

Opięty szelkami Andrews wyszedł odwijając rękawy. Jego mięśnie rozsadzały świeżą, czystą koszulę.

— Przepraszam, panie Houston. — Rozłożył ręce. — Niczego się nie dowiedziałem.

— Ale ja tak — odpowiedział Houston.

Andrews badał go wzrokiem. Spojrzał zdziwiony na Simone.

— Moja żona... — Houston przełknął ślinę. — Ona nie żyje. Ta Pani mi pomaga.

Andrews znieruchomiał.

73

— Nie żyje? Ale...

— Nie chcę o tym mówić. — Głos Houstona brzmiał gniewnie, łamiąc się jednocześnie. — To zbyt bolesne. Jakoś niechcący w coś wdepnąłem. Mam kilka pytań do pana.

— Zrobię wszystko, co będę mógł — odpowiedział Andrews.

— Kiedy byliśmy tu z żoną, powiedział pan, że błędy czasem mogą się zdarzyć.

— Tak, to prawda. Wojsko nie jest doskonałe.

— Podał pan dwa przykłady.

— Ja nie...

— W zeszłym roku ktoś inny przyjechał tu w poszukiwaniu grobu ojca, ale go nie znalazł.

— To prawda.

«,

— Podobnie stało się w zeszłym miesiącu, tak pan mówił. Potrzebuję ich nazwiska.

— Ale dlaczego? — Czoło nadintendenta pokryły głębokie zmarszczki. Pochylił się do przodu. — Sugeruje pan...

— Proszę, potrzebuję te nazwiska.

— ...że jest jakiś związek i że jeśli znajdziemy jeden grób, to znajdziemy i pozostałe.

— Nie wiem. Domyślam się. Czuję jednak, że coś w tym jest. Przypadek? No, może. Ale...

— Chwileczkę.

Houston obserwował nadintendenta znikającego w swoim biurze.

Chwila ta przypominała mu pierwszą wizytę tak intensywnie i Jan stojącą tuż za nim, że oszołomiony tą myślą sądził, iż wystarczy odwrócić głowę, by ją ujrzeć.

Zamiast niej stała Simone. Przepełnił go bolesny smutek.

— Jeffrey Hutchinson. — Andrews wrócił z kartką papieru w ręku. — Tego drugiego nazwiska

nie mogłem odnaleźć. W zeszłym miesiącu zostawił swój numer telefonu i adres, na wypadek gdybym odszukał grób.

Houston wyjął portfel.

— Zapłacę, jeśli pan do niego zadzwoni, albo spróbuję znaleźć miejski telefon.

— Proszę? Nie...

— Jeśli był w zeszłym miesiącu, to miał czas wrócić do domu. Muszę z nim porozmawiać.

74

— Ale po co? Powiedział mi wszystko.

— Myślę, że o czymś zapomniał. Andrews wpatrywał się zdziwiony.

— Jest pan przekonany, że coś jest nie tak, że wszystko to łączy się w jakiś sposób?

— Jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić. Andrews myślał przez chwilę.

— Przez kabel transatlantycki. W Stanach jest noc.

— Więc pewnie śpi. To dobry moment, żeby go złapać w domu. Andrews spojrzął na niego.

— Wie pan co? Umówmy się. Jeśli to wszystko okaże się kolosalną bzdurą, pan zapłaci Departamentowi Obrony za rozmowę. Jeśli ma pan rację, to zachowa pan pieniądze w kieszeni.

— Nie obchodzą mnie pieniądze. To, czego chcę, to porozmawiać z nim.

Andrews skinął głową.

— W moim biurze.

Houstonowi znowu wróciły wspomnienia z pierwszej wizyty. Jak wchodził do biura nadintendenta, tuż za Janice. Teraz miał przed sobą Simone. W tym czasie wszystko się zmieniło. Znowu czuł gniew i żal.

Światłówki nadal buczały monotonicznie w wąskim pokoju. Andrews podniósł słuchawkę ze ściennego aparatu; wskazał dwa metalowe krzesła.

— To zajmie trochę czasu. Houston powstrzymał go.

— Proszę poczekać.

Ręka Andrews'a zawisła, gotowa wybrać numer.

— Dlaczego?

— Zanim pan zacznie... O, proszę o ten kawałek kartki. — Houston chwycił z biurka ołówek, coś napisał, poskładał kartkę i odłożył ją na biurko.

— Po co to? — zapytał nadintendent.

— Muszę coś panu udowodnić.

Andrews nie rozumiał. Wlepił oczy w Houstona. W ich głębi czaił się niepokój. Wybrał numer.

— Dobrze by było, aby to wszystko miało jakiś sens — powiedział. Mówił coś przez telefon.

Houston podziwiał jego doskonały francuski.

75

— Jeśli są wolne połączenia — mówił po angielsku Andrews, wyjaśniając Houstonowi. Palcem postukiwał o ścianę. Znowu przeszedł na francuski. — Qui?... Ach, merci — a do Houstona — mamy szczęście.

Houston czekał.

— Tak? Pan Hutchinson? — Andrews rozpoczął. — Wiem, jest zbyt wcześnie na telefon, ale...

nadintendent Andrews, proszę pana. Z cmentarza wojskowego, na północ od St. Laurent, we Francji... Zgadza się... Nie, proszę pana, nie mam nowych wiadomości... Zdaję sobie z tego sprawę, proszę pana. Przepraszam, że pana obudziłem. Proszę chwilę poczekać. Jest ktoś, kto chce z panem porozmawiać.

Już z daleka Houston słyszał buczenie w słuchawce. Andrews, krzywiąc się od tego dźwięku, oddał ją Houstonowi.

— Dobrze, że to pan będzie musiał z nim rozmawiać.

Pete podjął słuchawkę. Przydźwięk znikł. Coś klapnęło na linii. Gdzieś w tle słyszał jakąś rozmowę na innej linii. Zaczął wyraźnie.

— Panie Hutchinson, nazywam się Peter Houston. Nie zna mnie pan, więc nie musi pan sobie

przypominać, gdzie się spotkaliśmy.

— Chryste, czy pan wie, która jest godzina? — Głos w słuchawce brzmiał zdecydowanie.

— Tak. Myślę, że koło piątej, gdzie pan mieszka?

— Za piętnaście! Obudził pan żonę i dzieci! Nie sędzę, by miał pan jakieś rewelacje. Sierżant mówił, że nic nowego nie ma! Co jest, do diabła? Żarty sobie stroicie dzwoniąc i budząc ludzi za oceanem? Na miłość boską, co to wszystko...

— Przepraszam, że sprawiliśmy kłopot. Muszę jednak zadać panu pytanie, panie Hutchinson.

Odpowiedź, być może, nic nie da, ale może też pomóc zlokalizować grób pańskiego ojca. Musiałem się z panem skontaktować natychmiast.

— Kim pan, u diabła, jest? Z armii?

— Nie. Nie potrafię tego teraz wyjaśnić. Proszę pozwolić mi na jedno pytanie.

— Cokolwiek, byle jeszcze pospać! Czy pan wie — pracuję na dwa etaty! Ja...

— Panie Hutchinson, czy pańska matka dostała kiedykolwiek list od jakiegoś Francuza? Gdzieś w czterdziestym czwartym. Ten Francuz mógł pisać o wdzięczności dla tych, którzy zginęli wyzwalając jego ojczyznę. W rewanżu mógł obiecywać opiekę nad grobem pańskiego ojca.

76

— Czy to jest pana pytanie? Kto pamięta tak odległe czasy? — Ja, pomyślał Pete. Czy ty naprawdę chcesz odnaleźć grób ojca?

— Więc nie pamięta pan?

— Oczywiście, że nie! Byłem wtedy dzieckiem! Gwałtowny ucisk w gardle Houstona począł słabnąć.

— Chryste, obudził pan moją matkę! — Hutchinson ciągnął dalej. — Właśnie idzie! Zerwał pan na nogi cały dom!

— Panie Hutchinson, proszę ją zapytać. Serce Houstona przyspieszyło znowu.

— Zapytać o co?

— O tego Francuza.

— Och, po... niech pan nie odkłada słuchawki. Chwileczkę! Houston usłyszał lekki stuk słuchawki odkładanej na twarde podłoże. Słyszał płacz małego dziecka i zniekształcone odgłosy dalekiej rozmowy.

Hutchinson zaczął mówić niespodziewanie.

— Dostała list. Czy to panu wystarczy?

— Nie, muszę znać jego nazwisko.

— Och, na miłość...

— Proszę. Ona jest obok. To zajmie parę sekund. Proszę zapytać. Znowu przytłumione odgłosy rozmowy.

Dziecko nie płakało już. Zniekształcona rozmowa skończyła się. Wszystko, co słyszał, to pomruk linii transatlantyckiej.

— Chyba sobie poszedł i zostawił tu mnie — powiedział do Andrews i Simone. — Chce się odegrać, zwiększając koszt rozmowy.

Spojrzał na zegarek. Minęła minuta.

— Bawi się. Odłożę i spróbuję jeszcze raz.

Kiedy już chciał odwiesić słuchawkę, Hutchinson wrócił.

— Pierre de St. Laurent. Zachowała list. Czy to wystarczy?

— Panie Hutchinson, nie może pan sobie wyobrazić. Dziękuję panu. — Houston nieomal roześmiał się z zadowolenia. — Oddaję słuchawkę nadintendentowi. Niech mu pan powie to, co i mnie.

— To szaleństwo.

— To tylko chwilka. — Nerwowym ruchem ręki przywołał Andrews. — Proszę słuchawkę. Simone podeszła zaniepokojona.

— Domyśla się pan? — zapytała. Ale Andrews już rozmawiał.

— Pan Hutchinson? Tak, proszę podać to nazwisko. — Andrews

77



zmarszczył brwi, jak gdyby nazwisko, które usłyszał, było niewybrednym przekleństwem. — Tak, dziękuję panu — powiedział i spojrzał gniewnie w stronę Houstona. — Nie jestem pewien, czy to ważne. Jeśli tak, to proszę oczekiwać szybkiej wiadomości.

Andrews, spoglądając na Houstona, odwiesił słuchawkę.

— Przyjmijmy, że nie jestem dzisiaj w najlepszej formie — powiedział — że wolno myślę od chwili, gdy zwlokłem się z łóżka. Pańska reakcja ewidentnie wskazuje, że coś pan odkrył. Jeśli tak, to znaczy, że ja to przeoczyłem. To nazwisko nic mi nie mówi.

— Jak ono brzmi?

— St. Laurent. Pierre de St. Laurent.

— W porządku. — Głos Houstona był silny, triumfujący. — Niech pan zobaczy tę kartkę.

— Ciekawe. — Andrews przerwał zdanie i podniósł złożoną kartkę. Houston słyszał oddech Simone. Obserwował, jak zaskoczona

i zakłopotana twarz Andrews wyziera z kartki: PIERRE DE ST. LAURENT.

— Ale jak... skąd pan wiedział?

— Mam nadzieję, że ma pan czas — odpowiedział Peter.

— Na co?

— Na najdziwniejszą historię, jaką pan kiedykolwiek słyszał.

21

Minęła godzina. Urzędnik przyniósł zapasowe wkłady do ekspresu, a popielniczka wypełniła się niedopałkami. W głosie Houstona rosło znużenie, a Simone uzupełniała inne szczegóły. Przez cały ten czas Houston obserwował oczy nadintendenta i ich reakcję. Początkowo wyrażały niewiarę. Przez chwilę były zaciekawione. Historia, którą mu opowiadali, wywołała w nich szybko zdziwienie, szok, a w końcu zaskakujące zrozumienie skutków.

— Jeśli pan się nie myli... — Wyglądał tak, jak gdyby jego uporządkowany świat nie mógł ogarnąć tego szaleństwa. — To nie może być prawda. To niemożliwe. Boże, jak coś takiego mogło się zdarzyć?

— Jak i po co? — dopowiedział Pete. — Musimy sprawdzić wasze rejestry.

78

— Nie ma w nich tego, czego pan szuka. Nie może być. Jeśli to wszystko prawda.

— Ma pan dalekopis? Andrews skinął głową.

— W tym samym pokoju gdzie nadajnik radiowy.

— To, czego szukamy, musi być w aktach.

Z dłońmi na biurku Houston nachylił się w kierunku przybladłego na moment Andrews. Ten, zdecydowany, ściągnął usta i wstał szybko, odsuwając krzesło.

— Chodźmy.

Wyszli z biura. Minęli kontuar, zbliżając się do przeciwległych drzwi z umieszczonym, zarówno po francusku, jak i po angielsku, napisem: NIE WCHODZIĆ.

Andrews pchnął je, pozwalając im wejść. Znaleźli się w czystym, białym hallu ze świetłówkami umieszczonymi pod sufitem. Pierwsze drzwi: łazienka. Następne: magazyn. Trzecie drzwi: pomieszczenie łączności.

Houston dostrzegł radio, dalekopis i kilka dużych przyrządów, których przeznaczenia nie mógł się domyślić. Urzędnik usiadł przy dalekopisie.

— Jestem wykończony.

— Po co tyle wyposażenia na cmentarzu? — zapytał Houston.

— Wszystko po to, byśmy byli gotowi do trzeciej wojny światowej. Bez sensu.

— Może kiedyś tego użyjecie. Mimo woli Andrews uśmiechnął się.

— Mam nadzieję, że jeszcze wiem jak. — Houston wyczuwał obawę, z jaką Andrews zasiadał do eksperymentu.

Wystukał kilka liter. Dalekopis odpowiedział, drukując coś, co wyglądało jak szyfr.

— Jest połączony z naszym głównym biurem europejskim — wyjaśnił Andrews. — Tamtejszy operator właśnie odpowiedział, że mnie odbiera.

Andrews napisał następnie: ŻĄDAM POŁĄCZENIA ZE STANAMI.

Dalekopis wydrukował: ŻĄDANIE POTWIERDZONE. POWÓD. Pauza i znak zapytania.

— Lepiej zrobię to porządnie.

79

Kiedy Houston czekał zniecierpliwiony, Andrews napisał tekst: DANE NA CMENTARZU NIEKOMPLETNE. POTRZEBNE INFORMACJE DO ZLOKALIZOWANIA GROBU ZAGINIONEGO ŻOŁNIERZA.

— Będą musieli wysilić mózgi. Jeśli tego nie rozumieją, pozbędą się kłopotu, spychając go na kogoś innego.

Pauza. Dalekopis wystukał: ŻĄDANIE POTWIERDZONE. ŹRÓDŁO W STANACH?

Andrews potarł podbródek.

— Cholernie dobre pytanie.

— Niech pan rozpocznie od kartotek przydziałów w okresie drugiej wojny światowej. Kto był w tej samej jednostce — powiedział Houston.

Andrews skinął, wyprostowując się i stukając jednocześnie w klawiaturę.

Maszyna odpowiedziała.

— Połączyliśmy się — stwierdził Andrews. — Rozmawiamy ze Stanami.

Oddech Houstona przyspieszył.

— Będą nas przelaczać tam i z powrotem po całym kraju. Po różnych biurach. W końcu znajdziemy te kartoteki.

Zajęło to pół godziny. Houstona zaszokowało to, że poszukiwania dotarły ostatecznie do bazy wojskowej w pobliżu miasta, w którym chodził do szkoły, w Indianie.

— Byłem tam przez tyle lat i musiałem przyjechać do Francji, by poznać jej przeznaczenie.

Andrews ożywił się.

— Dobra. Zaczynam od początku.

Houston poczuł w gardle gorzki ucisk widząc nazwisko, które wystukiwał Andrews: STEPHEN SAMUEL HOUSTON. PRZYDZIAŁ. DRUGA WOJNA ŚWIATOWA. Andrews skończył.

W odpowiedzi nadeszło: PRZESZUKIWANIE KARTOTEKI.

Czekali. Piętnaście minut. Dwadzieścia pięć. Gardło piekło od papierosów.

— Czemu to tak długo trwa? — niecierpliwił się Houston.

— To była wielka wojna — odrzekł wzruszając ramionami Andrews.

Odezwał się klekot dalekopisu: ODPOWIEDŹ NA PYTANIE

80

0 PRZYDZIAŁ. STEPHEN SAMUEL HOUSTON. Pauza. TRZECIA ARMIA.

— Patton — powiedział Houston nie rozumiejąc rosnącego w nim napięcia.

DRUGA DYWIZJA PIECHOTY. TRZYNASTY REGIMENT. DRUGI BATALION. KOMPANIA

D. Pauza. PIĄTY PLUTON. — Jednego mamy. Spróbujmy drugiego — odezwał się Andrews

1 zabrał się do pisania: BARDZO DZIĘKUJĘ. MAM DRUGIE PYTANIE. PRZYDZIAŁ.

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA.

Spojrzał w dół na kartkę, na której Hutchinson zostawił imię swego ojca. Napisał: PAUL ANDREW HUTCHINSON.

Czekali. Tym razem krócej. TRZECIA ARMIA. DRUGA DYWIZJA PIECHOTY. TRZYNASTY REGIMENT. DRUGI BATALION. KOMPANIA D. Pauza. PIĄTY PLUTON.

Szyję Houstona przeszył chłód.

— Są takie same.

— Sądził pan, że nie będą? — odezwał się Andrews.

— Myślałem, że zwariowałem. Miałem nadzieję, że się myliłem! Dwa zaginione groby! Pierre de St. Laurent związany z każdym z nich! A teraz dowiadujemy się, że mój ojciec i ten Hutchinson służyli w tej samej kompanii! Do diabła, w tym samym plutonie!

— To zbyt duża zbieżność. Ma pan rację — powiedział Andrews. — Nie lubię tego. Co jednak teraz zrobimy? Czy mam zakończyć? Ma pan jeszcze jakieś pytania?

— Panie Andrews — odezwała się Simone. Zdziwieni, odwrócili się w jej stronę. — Proszę ich

zapytać, czy mogą chwilę poczekać — powiedziała.

Patrzyli na nią obaj. Jej gładka, zaokrąglona twarz, z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi, wyglądała bardziej uroczo niż kiedykolwiek. Houston wpatrywał się w jej pełne usta, ściągnięte w namyśle.

— O co chodzi? — zapytał Andrews.

— Nie znam się na wojsku — odpowiedziała. — Proszę mi to wyjaśnić. Te wszystkie kategorie. Czy w tym tkwi wyjaśnienie?

— Właśnie. Armia, potem dywizja, regiment, batalion, kompania i na końcu pluton.

— Jak duży jest pluton? — Andrews wzruszył ramionami.

81

— Różnie. Około pięćdziesięciu ludzi.

— W czasie wojny?

— To zależy od strat. Uwzględniając nawet uzupełnienie, możemy przyjąć, że nie miały pełnego stanu. Szacując ostrożnie, powiedzmy trzydzieści. Mogło być mniej, ale przyjmijmy trzydzieści. Dalej mamy kolejny podział. Na oddziały. Po połowie. Powiedzmy, że było piętnastu ludzi w każdym z nich.

— W takim razie proponuję zrobić dwie rzeczy. Najpierw sprawdzimy, w którym oddziale był ojciec Petera i ten Hutchinson.

W pokoju panowała cisza.

— I?

— Skontaktujemy się z krewnymi pozostałych ludzi z oddziału i dowiemy się, ilu z nich poległo pod St. Laurent.

— I nie mają grobów — dodał Pete i nagle przeraził się.

22

Pracowali przez cały dzień. Ponieważ w pomieszczeniu radiowym nie było okien, nie zauważyli, kiedy nadszedł zmierzch. Houston odnosił wrażenie, że znajdował się w bezruchu, że dzień i noc były częściami zapomnianego, utraconego, innego wymiaru.

W końcu nie wytrzymał. Wyszedł na zewnątrz.

Zmierzch był piękny. Stojąc przy renault Simone, usłyszał jej kroki tuż za sobą. Nie odrywał wzroku od wzgórz, pól, złotych zbóż, sadów. Wpatrywał się horyzont.

Po chwili odwrócił się do niej.

— Wiesz, wydaje mi się, że gdybym zapragnął z całej mocy, to zamykając oczy ujrzałbym, jak Andrews wskazuje mi grób ojca. Jak dziękuję mu i składam ojcu hołd. Potem życie toczy się tak, jak powinno. Znowu w domu. Znowu nauka i pisanie. Razem z Janice do późnej starości. Jak gdyby wystarczyło się skoncentrować i pomyśleć, aby to wszystko mogło być.

Sfrustrowany odetchnął z nostalgią. Simone nie odpowiedziała. Przyglądała mu się, jak gdyby aż do tej chwili nie dostrzegała go w rzeczywistości. Potem jej usta drgnęły leciutko, być może w smutnym uśmiechu, wzruszyła ramionami, przysunęła się nieco, po czym ujęła jego dłoń, delikatnie ją ściskając. Wrócili do budynku.

82

— Wszystko jest tutaj — powiedział Andrews, kiedy weszli do klaustrofobicznego pomieszczenia. Odwrócił się do nich, wskazując zadrukowane kartki rozłożone na biurku. Jego głos nie zdradzał jednak sukcesu.

Houston wziął się w garść. Zmarszczki na twarzy nadintendenta mówiły wszystko, czego się wkrótce dowiedział.

— Proszę pokazać — powiedział.

— Na tej kartce są nazwiska wszystkich ludzi z tego plutonu. Zakreśliłem je. Poniżej są nazwiska z drugiego oddziału. Miałem nosa. Piętnastu ludzi.

— Ojciec. Tu jest Hutchinson.

Chociaż inne nazwiska nic Houstonowi nie mówiły, przeczytał listę do końca.

— W porządku, co dalej? — powiedział.

— Teraz ta lista na dole, tu miałem trochę kłopotów przy poszukiwaniu krewnych. Moi

zwierzchnicy mogliby zakwestionować tyle transatlantyckich rozmów. Mam znajomego w Stanach. Jest mi winien co nieco, więc zadzwoniłem do niego i to on wykonał całą tę robotę. Musiałem obiecać, że zapłacę jego rachunek telefoniczny, ale to nie jest istotne. Najważniejsze, że robotę wykonał.

Houston nie przynaglał go. Każdy z nich przyjmował całą tę historię na swój sposób. Teraz była to historia nadintendenta. Pozwolił mu opowiedzieć swoją wizję.

— Piętnastu ludzi w drugim oddziale — powiedział Andrews. — Rozumie pan, mówimy o tych, którzy żyli przed bitwą.

— Rozumiem. I co z nimi?

— Zginęli, do cholery.

— Co? Wszyscy? — zapytała Simone.

— Co do jednego. Cały ten przeklęty oddział.

— Jezu Chryste — jęknął Pete.

— Nie jestem specem od statystyki, ale nie mogę uwierzyć, by walka była tak koszmarna, że nikt z nich nie ocalał. Oczywiście czytałem broszury wydawane na ten temat. To nie był piknik, ale nie był to również dzień inwazji. Dla sprawdzenia prześledziłem raport o bitwie. Cały ten materiał jest tutaj, możemy więc otrzymać odpowiedź od naocznych świadków. Straty osiągnęły średnio trzydzieści procent. Niektóre jednostki miały podobne, inne przeszły prawie nie tknięte. W porządku, średnio trzydzieści procent. Czy oddział ten był wobec

83

tego tak pechowy, że stracił nie tylko czterech czy pięciu ludzi, ale wszystkich? Sto procent strat? Houston miał kłopoty z oddychaniem.

— Niech pan dokończy.

— Sprawdziłem tiasze kartoteki i znalazłem dokładnie to, co powinienem, jeśli sytuacja byłaby normalna. Z tych piętnastu znalazłem na naszym cmentarzu sześciu.

— A pozostali?

— Niech pan mi powie. Pańskie domysły mogą być równie dobre jak moje. Dzwoniłem na cmentarz oddalony o pięćdziesiąt mil stąd. Ani śladu. Ciała po prostu zniknęły. A teraz najważniejsze. Kazałem sprawdzić opis przy każdym z piętnastu nazwisk. Tych sześciu pochowanych tutaj opisano jako poległych w walce. Pozostałych, uznano za zaginionych. Nigdy nie udało się udowodnić, że faktycznie zginęli.

— Dezerterzy? N^yśli pan, że uciekli? — zapytała Simone.

— A cóż innego 3nogę wymyślić?

— Czy nie było dochodzenia?

— Można by się założyć, że było — powiedział Andrews. — Ale tu, we Francji, w czasie wojny było tyle spraw, a mało czasu, że dochodzenie mogło t\*yć szybko zaniechane. Boże, wystarczy pomyśleć

0 tym lecie. W czerwcu inwazja, a we wrześniu wyzwolona była prawie cała Francja. Wiele operacji oczyszczających, armie poruszające się wszędzie. W tym całym rozgardiaszu wszystko mogło się zdarzyć. Jeśli jednak zdezerterował i, to gdzie uciekli? I dlaczego? Mieli więcej szans pozostając w jednostce. Tak mogli myśleć ci, którzy prowadzili dochodzenie i odłożyli sprawę. Założę się, że gdyby pański ojciec pokazał się przed dor^nem, zostałby aresztowany. Jestem pewien, że od tej chwili pańska niańka i pan byliście pod obserwacją.

W myślach Housmton ujrzał dom, w którym mieszkał. W drzwiach spostrzegł matkę i siebie samego w chwili, gdy wychodzili na ganek;

I kiedy już ten brzdąc^ szedł razem z nią wzdłuż ulicy, ktoś wysunął się z innego domu i ruu.szyl za nimi. Nigdy nie zrozumiał dziecięcego świata, w którym żył . Jego prostota została naruszona.

— To ciągle nie odaje odpowiedzi — powiedział Houston. — Jeśli zdezerterowali, to gd^ zie, na Boga, poszli? I dlaczego?

Myślał, że głowa mu pęknie.

— Niczego w istc^cie nie udowodniliśmy.

84

— Myli się pan — powiedział Andrews. — Rodzina każdego z tych zaginionych otrzymała list.

— Z Departamentu Wojny?

Andrews uśmiechnął się z grymasem na twarzy.

— Od Pierre'a de St. Laurenta.

23

Słyszeli w ciemności kościelny dzwon. Jeszcze nie dotarli do St. Laurent, ale regularne, odległe jego uderzenia niosły się przez noc. Gwiazdy błyszcząły wyraźnie. Ból głowy nie ustępował. Uchylił szybę samochodu i owiało go chłodne powietrze. Dźwięki dzwonu brzmiały donośnie nawet z tej odległości.

— Msza, o tej porze? — zdziwił się i spojrzał na fosforyzujące cyfry swojego zegarka. — O północy?

— Dziś nie ma żadnego święta — zauważyła Simone. Houston liczył w milczeniu od jednego do czterech. Przy pięciu

usłyszał znowu nisko wibrujący dźwięk dzwonu. Odliczał znowu, mrużąc tym razem. — Pięć — dokładnie, gdy uderzył dzwon. Słyszała go.

— O co chodzi?

— Dzwon uderza co pięć sekund. Stale, regularnie. Może to nie z kościoła. Czy jest tam zegar wybijający godziny?

— Nie. Ludzie w miasteczku chodzą wcześniej spać. Taki hałas budziłby ich. Nie znieśli tego.

— W takim razie musi być jakiś powód, coś ważnego, co usprawiedliwia naruszenie tego zwyczaju.

— Jakiś alarm?

— Ale co mogłoby...

— Pożar?

Houston przycisnął pedał gazu. Renault skoczył do przodu. Simone nadal nie mogła prowadzić z powodu zwichniętego nadgarstka. Mimo e ramię zeszytywniało, a zębra dokuczały, Houston zignorował ból i skręcał ostro serpentyną, przebijając światłami ciemności. Jechał tak szybko, że czerń nocy sprawiała wrażenie ściany, w którą za moment ueli uderzyć. Rozglądał się po rozgwieżdżonym niebie. Nie mógł ostrzec ani ognia, ani nawet łuny nad czarnym horyzontem.

85

— Powinniśmy już coś widzieć — powiedział. — Jesteśmy prawie na miejscu.

— Jeśli to nie pożar, to co?

— Zaraz się, cholera, dowiemy.

Bicie w dzwon nie ustawało, było coraz głośniejsze, w miarę jak renault mijał pierwsze zabudowania miasteczka — domy, potem sklep. W wielu oknach paliło się światło.

— W każdym razie — odezwał się Houston — jeśli ten dzwon obudził tylu ludzi, to obudził też księdza. Nie mam zamiaru czekać do jutra. Muszę się z nim zobaczyć teraz. Nie może nam tym razem odmówić. Mamy tyle dowodów. Musi zrozumieć, że to ważniejsze niż milczenie.

— Nie jesteś katolikiem — powiedziała Simone. — Ciągle nie rozumiesz.

— Rozumiem, że coś okropnego wydarzyło się trzydzieści siedem lat temu. Rozumiem, że moja żona nie żyje. Ten ksiądz powie mi, z czego wyspowiadał się Pierre de St. Laurent. Nie wiem jak, ale zmuszę go do tego. Musi!

— Jego przysięga o tajemnicy spowiedzi jest zbyt ważna. Gdyby powiedział, mieszkańcy nigdy nie zaufaliby mu przy spowiedzi.

— Musi być jakiś sposób! Odpowiedź jest tak blisko i on jest jedynym człowiekiem, który ją zna! Skierował samochód przez stary, kamienny most, czując nocną mgłę znad migoczącej wśród parkowych drzew rzeki. Naprzeciw ujrzał hotel z zapalonymi we wszystkich oknach światłami. Jak gdyby jakiś bal trwał w najlepsze.

Simone była kompletnie zaskoczona.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Co, na Boga, się stało? Nie zwracał sobie głowy

parkowaniem. Zatrzymał się gwałtownie przed hotelowym wejściem. Wyskoczył z wozu, przełamując ból żeber i ramienia. Simone podążyła za nim. Wbiegła na stare schodki. Szerokie dębowe drzwi były otwarte. -Goście wyglądali w kierunku brzęącego z ciemności dzwonu. Monsard stał wśród gości, ciągle ubrany w wieczorowy strój. Na jego twarzy malowało się wyjątkowo silne napięcie. Simone uściśnęła go. Houston, milcząc dyskretnie, czekał obok. Próbował rozszyfrować, o czym mówili.

86

Słowa ojca wstrząsnęły nią do tego stopnia, że na chwilę zastygła nieruchomo. Odwróciła się do Houstona.

— To nie bal.

W świetle hotelowych lamp Houston ujrzał jej pobladłą twarz.

— Nie śpią — powiedziała — czuwają. Wszyscy składają mu hołd.

— Komu? — Nie zaspokojona ciekawość stawała się nieznośna.

— Pere Devereaux. // mourut — ciągnął Monsard.

— Co? Czy on powiedział Devereaux? Ksiądz?

— Ksiądz nie żyje — jęknęła Simone.

Houston potrząsnął głową, niezdolny, by to ogarnąć.

— Nie. To niemożliwe. — Gapił się na stare, wypolerowane schodki. — Byliśmy tak blisko — lamentował.

— Vieux — usłyszał pełne żalu wyjaśnienie Monsarda. Następne zdania były niezrozumiałe. Na koniec usłyszał. — Malade. — Simone znowu zwróciła się w jego stronę. — Ksiądz był już stary, chory — powiedziała z szokiem w oczach. — Nikt nie był bardziej kochany i szanowany. Będzie nam go brakowało.

— Ale jak?

— Młody ksiądz znalazł go w kościele. Leżał na podłodze. Podejrzewają atak serca. Widziałeś, jaki był słaby, jak trudno mu było oddychać.

— Jeszcze jeden dzień. Wystarczyłby tylko jeden dzień dłużej. — Pete potarł palcami powieki. — Zapomnij, co powiedziałem. Pewnie, jeszcze jeden dzień. Założę się, że chciał żyć jeszcze wiele dni.

— Był tak zmęczony. W pewnym sensie to błogosławieństwo.

—: Nie dla niego. I nie dla nas. — Energia uszła z niego zupełnie. Hotelowe schody wydawały się dygotać. — Tak cholernie blisko.

Ruszył w kierunku światła w głębi hotelowego wejścia. Tak bardzo wsłuchał się w miarowy rytm uderzeń dzwonu, że bezwiednie w myślach w dalszym ciągu zliczał od jednego do pięciu. Tym razem jednak, gdy doliczył do pięciu, zabrakło rozlegającej się w ciemności wibracji. Echo ostatniego uderzenia osłabło, zanikło, umarło. Z wyjątkiem przytłumionych odgłosów rozmawiających gości i mieszkańców miasteczka, zebranych w przesiąkniętym mgłą parku, noc była spokojna.

— Niech Bóg ma go w swojej opiece — powiedział Houston. Przełknął sucho i wszedł do hotelu. Simone weszła za nim.

— Muszę z tobą porozmawiać.

87

Nie rozumiał. Poszedł za nią obok recepcji i windy w kierunku korytarza prowadzącego do położonego w głębi pokoju jej ojca.

Zatrzymała się tak gwałtownie, że omal nie wpadł na nią. Stali przy zamkniętych drzwiach, obok drzwi Monsarda.

— Czy nie czujesz tego? Nie rozumiesz? — zapytała.

— Czego?

— Ksiądz nie żyje, a ty czujesz tylko rozczarowanie? Niczego nie podejrzewasz? Bo ja tak. Czy nie zgodziliśmy się, że za dużo tu przypadków? Ksiądz był naszą ostatnią nadzieją i właśnie wtedy, kiedy zdecydowaliśmy się na konfrontację, okazuje się, że jest za późno. On umiera. Nie wierzę w

taki zbieg okoliczności. To nie może być tylko pech.

— Ale był już schorowany.

— To tylko mogło ułatwić sprawę. Houston poczuł dziwny chłód.

— Kościół. Był sam. Poduszka na twarzy. Nagłe przerażenie. Pete, kto to wie?

— Dochodzenie...

— To nie jest wielkie miasto. Tu wszystko odbywa się po staremu. Żadne dochodzenie. Po prostu świadectwo zgonu. Skromny pogrzeb.

— Ale możemy wykazać...

— Tak. Teraz rozumiem. Po tym wszystkim, co się stało, nie mam innego wyboru. Muszę działać tak, jak gdyby ksiądz został zamordowany. Nie sądzisz, że to konieczne? Ktokolwiek podąża za nami, przyjdzie tu, by zatrzeć ślady.

— To się nigdy nie skończy. Simone, nie możesz tutaj zostać sama.

— Ty też. Chociaż bardziej powinniśmy się obawiać ojca. Nigdy nie zgodzi się na wynajęcie wspólnego pokoju. Uraziłoby to jego poczucie moralności. Nie zniesie takiej hańby.

— Możemy z nim porozmawiać, wyjaśnić. Zaprzeczyła stanowczo, kręcąc głową.

— Mógłby być naszą przyzwoitką — dodał Pete.

— I przyjąc ciążące na nas zagrożenie?

Houston miał wrażenie, że żołądek mu opada. Próbował się zastanowić. Z drugiej strony korytarza usłyszał kroki wchodzących do hałlu gości.

— Nie możemy tutaj rozmawiać — powiedział.

— W moim pokoju. Dla świętego spokoju możemy zostawić

88

.1

otwarte drzwi. — Chwyciła szybko za klamkę i weszła do środka. Wszedł za nią, czując perfumy i świeżość jej włosów. Odniósł wrażenie, że jest z Janice, a nie z Simone, że wpada przez jakąś dziurę w czasie lądując o dziesięć dni wcześniej, tam na górze, gdy po rozmowie z Monsardem, o Pierze de St. Laurencie, wrócili do pokoju... zastając oczekującego ich, niezbyt sympatycznego, zarośniętego faceta.

Wszystko to powtarzało się. Nie, powiedział do siebie. Nie, ja chyba śnię. Zwariowałem.

Teraz, podobnie jak wtedy, czekał na nich ten sam gość. Z tą samą kwadratową szczęką, tym samym wąskim nosem i krótkimi, ciemnymi włosami zaczesanymi z prawej na lewą stronę. To samo czarne ubranie — sweter z włóczki, wełniane spodnie, podgumowane buty. Leżał na łóżku dokładnie jak wtedy.

Była jednak pewna różnica. Jego pierś była zakrwawiona od szyi do pasa. Jasne, aksamitne okrycie łóżka powlekała szkarłatna plama. Ślady krwi, w postaci zakrzepłych na dywaniku smug, ciągnęły się wzdłuż okiennego parapetu, zostawione tam zapewne wtedy, gdy wlokł się i upadał.

Simone zaczęła krzyczeć.

Część III

24

Jej krzyk jak ostre stalowe ostrze przebijał czaszkę Houstona. Cofnął się przerażony. Simone zakryła twarz. Krzyk przenikał pomiędzy palcami. Houston chwycił ją z tyłu za ramiona i odwrócił do siebie.

— Nie — powiedział. Krzyczała nadal.

— Nie — powtórzył. Wstrząsnął nią. Obawiał się, że za mocno. Krzyki, biegnące kroki na korytarzu. W dłoniach, poprzez sweter, wyczuwał jej delikatne, zastygłe w bezruchu ciało. Gdy opuściła ręce, jej twarz wykrzywił dziki, paniczny strach.

Za sobą wyczuł obecność gości. Słyszał ich szepty. Całą uwagę poświęcił Simone. Przyciągnął ją do siebie i obejmując ramieniem czuł jej drżenie na piersi. Jeszcze raz spojrzął na horror poza nią i szok, jakiego doznała, wzbudził w nim wściekłość. Znajdzie tego, co to zrobił. Będzie krzyczał tak samo, jak ona teraz.

Monsard był obok.

— Niech ktoś wezwie lekarza! — krzyknął Houston. Nikt go jednak nie jozumiał.

— Un medecin! — krzyknął w końcu Monsard. Okazało się, że jednak rozumiał.

Kilku gości wybiegło. Houston poruszył Simone i oddał ją ojcu, po czym odwrócił się i pokonując wstręt oraz czując cierpki smak w ustach ruszył w kierunku krwawej postaci na łóżku.

Nagle oniemiał. Mężczyzna oddychał nieznacznie, piersi poruszały się płytko. Houston dostrzegł drgnięcie powieki. Sądził, że nie żyje,

90

lecz teraz usłyszał charczący szept, lekki świst powietrza wydobywającego się przez uchylone usta, śmiertelny bulgot śliny.

Podszedł ostrożnie, nie chcąc dotknąć krwi pokrywającej aksamitny pled. Nachylił się nad rannym mężczyzną. Sweter był rozcięty tuż powyżej środka; Houston dojrzał zakrwawioną koszulę, a głębiej tak straszliwą ranę, że musiał odwrócić wzrok do ściany. Obraz zawirował, 'rzytrzymał się wezglowia łóżka, aby nie upaść.

— Lekarz już nadchodzi — powiedział do leżącego mężczyzny. Nie było odpowiedzi.

— Trzymaj się, zaraz ci pomożemy. Skinienie było prawie niezauważalne.

— Słyszysz mnie?

Teraz w odpowiedzi drgnęła powieka.

— Kto ci to zrobił?

Houston nasłuchiwał w napięciu, lecz słowa były niewyraźne.

— Kto? — zapytał znowu.

— Odszukaj Charona.

Houston zbladł. Mężczyzna krwawił, aż bulgotało.

— Nie wiem, co masz na myśli. Zrobił to ktoś o imieniu Charon?

— Verlaine. Odszukaj Verlaine.

To było bez sensu. Pokręcił głową zakłopotany. Przeskakując klasycznej mitologii, mężczyzna bredził teraz o dziewiętnastowiecznym pocie.

— Znasz kogoś, kto nazywa się Verlaine?

— Nie, nie. — Spieniona krew wypłynęła z jego ust. Oczy wyrażały ból.

— Gdzie lekarz? — Houston krzyczał do ludzi tłoczących się drzwiach. Patrzyli na niego nie rozumiejąc. Nagle ujrzał wśród nich

idealającego się wraz z Simone Monsarda. Pete zwrócił się do umierającego człowieka.

— Musisz mi pomóc. Co...

— Le blanc — wydusił.

Houston nie rozumiał, dlaczego mężczyzna przeszedł na francuski.

— Biały?

Mężczyzna wydawał ostatnie tchnienie.

— Nie biały. Le blanc. Musiał mnie zabić.

— Zasztyletować? Dlaczego?

— Zabiłem księdza. Uduśłem go.

91

— Ale...

— Wiedział za dużo. Mógł wygadać.

Mężczyzna zakaszlał ciężko. Rana otworzyła się szerzej. Houston zakrył usta.

— Oszukali mnie.

Houston próbował rozszyfrować bulgoczące dźwięki.

— Widziałem się z tobą, rozmawiałem. Byłem łącznikiem.

— Z kim?

— Z nimi wszystkimi. Verlaine i Charonem. Bzdury.

— Nie ufali mi. Charon mi nie ufał. Słuchaj! — Żądanie było tak sugestywne, że Houston wzdrygnął się od nieoczekiwanej jego siły. Mężczyzna podparł się na łokciach, chcąc się podnieść. Jego plecy wygięły się. — Słuchaj!

Houston był przerażony. Twarz mężczyzny bladła, przybierała kolor cementu.

— Le blanc. Verlaine, odszukaj Charona.



— Odpocznij.

— Nie ma czasu. — Głos znowu był słaby. Oddech stał się świszczący jak wiatr. — Wykorzystał mnie po raz ostatni. Obawiał się, że mnie znajdziesz.

Houston usłyszał głosy na korytarzu.

— Vous en allez! Vous en allez!

Ciemnowłosa mężczyzna z lekarską torbą wszedł do pokoju. Za nim dwóch policjantów.

Serce Houstona biło szybciej. Odwrócił się znowu do rannego.

— Powiedziałem ci — mówił. — Trzymaj się. Lekarz już jest. Ale wystarczyło mu jedno krótkie spojrzenie. Twarz zmieniła się, znieruchomiła.

— Nie, czekaj. Nie powiedziałeś mi — błagał Houston. — Jeszcze tyle muszę się dowiedzieć.

W pokoju panowała cisza. Pete targnął mężczyzną.

— Lekarz jest tutaj. Obudź się. — Nachylił się tak blisko, że krew zaczęła wsiąkać w jego ubranie.

— Nie umieraj!

Zaczął uciskać klatkę piersiową, kiedy czyjaś ręka spoczęła na nim. Ujrzał włosy uczesane na jeża i odwrócił się z nadzieją, lecz w oczach lekarza jej nie było.

92

I

Ręce mu opadły. Skinął głową powoli. Lekarz badał puls zmarłego. Uchylił, nie stawiające oporu, powieki. Jego westchnienie mówiło wszystko.

Pete jęknął w odpowiedzi. Zaszokowany, mrużąc oczy, patrzył na gości, którzy, bladzi, tłoczyli się w chwiejącym, jak mu się zdawało, pokoju.

— Słyszeliście go — wyrzucił z siebie. — Słyszeliście, jak mówił do mnie. Charon. Coś białego.

Verlaine. Czy to coś wam mówi?

Lecz oni, zażenowani, po prostu patrzyli na niego. Powoli zaczęli wychodzić.

25

Powiedzieli mu później, że upadł na dywan. Nie wątpił w to, czując lekkie, piekące otarcie na czole. Wszelkie tortury, jakich doznało jego ciało, w końcu zrobiły swoje. Spał osiemnaście godzin. Kiedy osłabiony i rozbity wreszcie się obudził, znowu znajdował się w pokoju Monsarda i znowu stała przy nim Simone, tym razem z ojcem.

Pierwsze przypomniały o sobie potrzeby fizjologiczne. Poczłapał do łazienki. Ciemny zarost pogłębiał bladość jego twarzy. Odrzucił wszelkie myśli, znajdując przyjemność w czystym i ostrym odczuciu, jakie dawała przesuwająca się po skórze żyłka. Uwielbiał gorącą kąpiel, rozkosz świeżych skarpetek i nowej bielizny, miękkich dzinsów i swetra.

Wyszedł. Łóżko było posłane, a pokój pusty. Wyjrzał niepewnie przez uchylone drzwi sypialni do sąsiedniego pokoju, w którym rozlegał się trzask ognia na kominku. Stojący na nim zegar wskazywał kwadrans po ósmej. Wieczorem.

Ciągle nie mógł uwierzyć, że spał tak długo, że stracił dzień. Simone stała uśmiechając się.

Ściągnęła włosy w koński ogon. Miała na sobie zgrabną, ściągniętą w pasie niebieską suknię, co sprawiało, że jej oczy wydawały się jeszcze ciemniejsze.

— Lepiej się czujesz? — zapytała.

— Wypoczęty, ale rozbity. A co z tobą? Kiedy cię ostatnio widziałem...

— W porządku. Przepraszam — powiedziała.

— Za co? Za krzyk? Omal sam nie krzychałem.

93

— Lekarz dał mi tabletki. Teraz nie jestem już zszokowana, ale zła. Jest kilka spraw, o których powinieneś wiedzieć.

— Ja dla ciebie mam również nowe informacje.

Monsard usiadł w głębokim fotelu przy kominku. Pochylił się do przodu i słuchał, domyślając się najwyraźniej, o czym mówili.

Houston obserwował, jak Simone opanowuje uczucia i porządkuje myśli.

— Ten facet zeszłej nocy — zaczęła. — Jego krew była na parapecie i na klombie, na

zewnątrz. Ślad zaczynał się między sosnami pod miasteczkiem. Stał tam samochód. Były też ślady opon innego wozu.

Pete usiadł ściskając poręcz krzesła.

— Ja też chciałem ci coś powiedzieć. Ten człowiek miał jeszcze siłę, by rozmawiać przed śmiercią. Powiedział mi, że to on zabił księdza.

Zbladła.

— Miałam rację.

— Nie mogłem zrozumieć, o co mu chodziło. Wspominał o Charonie, a potem o czymś białym.

— Nie ma w tym żadnego sensu — powiedziała.

— Wiem. Rzęził. Z tego wszystkiego mogę się domyślać, że kiedy zabił księdza, spotkał się z kimś, kto go wynajął.

— I zasztytował.

— Dokładnie. Nie powiedział, co stało się później. Musieli walczyć ze sobą. Uciekł. Znał to miejsce. Wczołgał się do twojego pokoju, by się ukryć.

— Jeśli umierał, czemu nie próbował znaleźć lekarza?

— Mógł zawiadomić policję. Poza tym miał zapewne nadzieję, że przeżyje. Nie chciał dać się zamknąć. Liczył, że my mu pomożemy.

— I pomścimy go. Houston skinął głową.

— Ale mu nie wyszło. Zobacz, nie wiem, on chyba majaczył. Mógł wczołgać się do pokoju, a nie zdawał sobie z tego sprawy. Ale mówił. Powiedział, że Charon wykorzystał go po raz ostatni i zabił, bym ja nie mógł go znaleźć i czegoś z niego wyciągnąć.

— Mówiłam to wczoraj — ktoś tu sprząta po sobie, usuwa wszystkie ślady.

— A potem. Właśnie, ty i ja... — Houston nie śmiał dokończyć.

— Ostatnie ślady.

94

Przygryzł wargę.

Monsard zapytał o coś. Simone wyjaśniła. Starszy pan, zaniepokojony, podniósł wzrok na Houstona.

— Andrews, prawdopodobnie, też jest w niebezpieczeństwie — powiedział Houston.

— Dzwonił — odpowiedziała. Wyprostował się.

— Kiedy?

— Dziś po południu. Jeszcze coś sprawdzał. Dowódca tego plutonu nie zniknął razem z innymi.

— Czy jeszcze żyje?

— Sierżant dzwonił do niego. Ciągle pamięta tych dziewięciu zaginionych żołnierzy. Zawsze się zastanawiał, co im się mogło stać. Wiesz, to były dwie bitwy. Jedna tutaj, a druga pięćdziesiąt mil na północ.

Potwierdził skinieniem głowy.

— Ta druga bitwa. To wtedy zniknęli — powiedziała.

— To dlaczego stwarzali pozory, że zostali zabici i pochowani tutaj, w St. Laurent?

— By odwrócić uwagę od prawdy, od tego, gdzie to się stało.

— Ale co, u diabła, się stało?

Patrzyła na niego. Monsard zaczął zadawać kolejne pytania. Houston nie zwracał na to uwagi.

— Charon — powiedział. — Coś białego. Verlaine. Nagle zatrzymała się w trakcie rozmowy z ojcem.

— Co?

— Jest coś, o czym zapomniałem. Ten człowiek, zanim umarł, powiedział: „Odszukaj Verlaine”. To bezużyteczne. Kto to jest ten Verlaine? I jak, na miłość boską, mamy go znaleźć?

— Nie go, lecz coś.

Wyraz jej twarzy zastanowił Houstona.

— Wiesz coś?

— Nie pamiętasz? Tam w Roncevaux. Bellay. Kiedy byliśmy w jego biurze. Ci policjanci z tyłu

— cały czas dzwonili.

Starzał się przypomnieć.

— Rozmawiał z nimi.

— Powiedzieli, że cały ten rejon biurowców...

— ...administrował jakiś pośrednik.

95

— A ten pośrednik...

— ...powiedział, że właścicielem tego budynku jest Verlaine Enterprises.

Houston drgnął.

— Ten facet miał na myśli Verlaine Enterprises. Raptem wstał.

— Weź samochód. Wyjeżdżamy.

— Gdzie?

— Do Roncevaux.

Monsard odezwał się stanowczo:

— Non.

Kiedy Houston odwracał się zaskoczony, w pokoju zapanowała cisza. Gestykulując starszy pan zaczął mówić z naciskiem.

— Co się stało? — zapytał Houston.

— Ojciec domyśla się twoich zamiarów. Nalega, byś został. Mówi, że musisz coś zjeść, wypocząć.

— Nie ma na to czasu.

— Mówi, że jedna noc nie zrobi różnicy. Myślę, że ma rację. Dojechalibyśmy tam po północy. Co moglibyśmy zrobić? Bellaya nie będzie w biurze.

— Możemy go obudzić.

— Z powodu naszych domysłów? Zaspany nie będzie sympatyczny. Houston zacisnął dłonie na krześle. Jego zapalczywość popychała go, lecz zdrowy rozsądek powstrzymywał.

— Ojciec obawia się o nas. Uważa, że powinniśmy się ukryć.

— I żyć w strachu, aż nas znajdą? Działając po swojemu, nawet jeśli się obawiamy, w końcu coś robimy.

— Możesz wrócić do Stanów.

— Czy chcesz tego?

— Przekazuję to, co powiedział ojciec. Sądzi, że jeśli wyjedziesz do domu, mogą poczuć się bezpieczni i nie będą cię ścigać.

— Ale ty będziesz tutaj. Będziesz w niebezpieczeństwie.

— Nie, ojciec uważa, że bez ciebie będę bezpieczna.

Houston wpatrywał się w nią udreńczony. Czuł się rozdarty, zdezorientowany. Żahpo utracie żony przeciwstawiał się ewentualnemu poczuciu winy, gdyby coś stało się Simone.

— Nie mogę wrócić do domu. Mam rachunek do wyrównania. Za żonę.

96

Starszy pan westchnął, gdy tylko zrozumiał. Znowu coś mówił. Simone tłumaczyła.

— W takim razie prosi cię o kompromis.

— Jaki?

— Oferuje gościnę na jeszcze jedną noc. Chciałby, abyś respektował jego wolę jako mego ojca i załatwił swoje problemy sam, beze mnie. Szukał swojej śmierci, nie mojej.

— Simone, przecież wiesz, że nie chcę, by cię ktoś zabił.

— To są jego słowa.

— A co ty na to? Powiedz, czego ty chcesz. Zrobię tak, jak powiesz. Jeżeli to w czymkolwiek pomoże, natychmiast odjadę.

— Ten człowiek ostatniej nocy. Ojciec mówi...

Ktoś zapukał do drzwi. Odgłos przetoczył się przez pokój. Umilkła zaniepokojona.

— Nie, powiedz mi — nalegał Houston. Przerwał im ojciec.

— Entrez!

Drzwi otworzyły się. Młody, nienagannie ubrany kelner wtoczył do środka wózek. Spod srebrnej

pokrywy leżącej na tacy wydobywała się słodka para. W koszyku przykrytym serwetką było świeże, francuskie pieczywo. W butelce migotało czerwone wino.

— Nie jestem głodny — powiedział Houston. Chciało mu się płakać.

26

Wyglądał przez okno pokoju położonego na najwyższym piętrze. Monsard życzył sobie, by trzymać Simone tak daleko od niego, jak to było możliwe. Zjadł z nimi obiad udając troskliwego ojca. Nie było szans na prywatną rozmowę. Odprowadzili go do jego pokoju i w piętnaście sekund później starszy pan i Simone wyszli. Od tamtej chwili nie widział jej.

Minęły już trzy godziny. Była pierwsza, a Houston stał przy oknie spoglądając na położony poniżej park, na snującą się pomiędzy Irzewami mgłą. Hotelowe neony były już wygaszone. Nie zapalał światła, by nie być widocznym w oknie. Nie wyglądał przez okno obawiając się jakiegoś niebezpieczeństwa. Stał tak i patrzył, ponieważ

Przysięga zemsty

97

nie rozumiał zmiany, jaka zaszła w Simone, sposobu, w jaki go opuściła. Nie zdawał sobie sprawy, do jakiego stopnia stał się od niej uzależniony.

Teraz jej zabrakło; został sam. Sam stawał przed niepewną przyszłością. Groźbą śmierci. Oparł się o framugę okna. W duchu pomyślał, że miała rację. Ryzykowanie życia nie miało dla niej żadnego sensu.

Czy jestem aż takim egoistą, że wciągam w to Simone, aby nie być sam? — pomyślał. Niech sama decyduje o swoim bezpieczeństwie. Zasłużyła na nie.

Czuł w sobie pustkę. Być może to, co powiedział starszy pan, było prawdą. Powinienem żyć, powiedział do siebie. Powinienem wrócić do domu, pilnować swego nosa i dziękować Bogu, że mnie nie zabili.

Tylko że to był jego nos i bez względu, jak na to patrzył, miał tylko jedną możliwość do wyboru.

Znaleźć tego faceta, który zabił mu żonę. Jutro zacznie znowu. Sam.

Poderwał się raptem, uświadamiając sobie, że drzemał oparty

o framugę okna. Na jego fosforyzującym zegarku była druga. Na zewnątrz noc była spokojna, tak jak i to miasteczko. Parsknął ironicznie. Stał przy oknie wystarczająco długo, by zobaczyć mężczyznę nadchodzącego pomiędzy zamglonymi drzewami parku. Tego, który używa pudru o zapachu zwietrzałego bzu — skojarzył. Znowu elegancko ubranego i znowu wracającego bardzo późno. Mimo osiemnastogodzinnego snu czuł się znużony doznany zawodem

1 przestał zwracać uwagę na przemykającego gościa. Podszedł do łóżka.

Pościel była świeża i chłodna. Zrzucił ubranie i wśliznął się pod kołdrę. Głowa utonęła w poduszce.

Wtulił się w wygodny materac, miękki, choć nie za bardzo, tak różny od krzesła, na którym spał dwie noce temu. Myśli nie dawały mu spokoju. Znowu powrócił ból i poczucie samotności spowodowane decyzją Simone. Próbował usunąć ją z myśli. Zaczął odliczać od stu wstecz, nigdy nie dochodził do siedemdziesięciu pięciu.

Obudził go instynkt, przeczucie. Próbował coś dojrzeć w ciemności. Śnił o człowieku używającym zwietrzałego pudru o zapachu bzu. Teraz uświadomił sobie, że to, co go obudziło, to jakiś szmer. Jakiś zgrzyt. Metalu o metal. Nie poruszył się. Z miejsca<sup>^</sup> gdzie leżał, rozglądał się w ciemnościach pokoju.

Najpierw drzwi. Zamknął je. Ktoś mógł się włamywać. Nie, mylił

98

r

się. Odgłos nadchodził z innej strony. Zabójca nie ryzykowałby włamania od strony korytarza.

Większość gości mogła spać, ale jeden wracający późno — ten z pudrem — mógł się zainteresować.

Facet z pudrem. Umysł Houstona zaczął pracować. Był tu zawsze, gdy coś się wydarzyło. Ciągłe się tu kręcił.

Usiadł spoglądając w stronę okna. Lecz tam nie było żadnego balkonu. Żaden występ nie

umożliwiał dostępu do okna. Więc gdzie? Skąd, do cholery, dochodziło to słabe zgrzytanie? Poczł skurcz w żołądku. Ręce zaczęły drżeć. Nagle znalazł — drzwi pomiędzy tym a następnym pokojem! Nie jedno, lecz dwoje! Z tamtej strony można je było łatwo otworzyć. Zamknął je, przekręcając zamek po swojej stronie, a teraz ktoś w sąsiednim pokoju grzebał w zamku. Późno wracający gość nie mógł przeszkodzić. Zabójca nie musiał się niczego obawiać.

Cień drzwi poruszył się. Houston nie miał żadnej broni. Był nagi, bezsilny w ciemności. Nie miał szans. Nabierał powietrza, by krzyknąć.

Zrezygnował. Krzyk nie przyniósłby pomocy na czas. Mógł jedynie zaalarmować mordercę, zmuszając go do szybkiego działania. Wduśił głowę w poduszkę. Jeśli użyje noża, będzie musiał podejść blisko. Wtedy go złapie.

I co dalej? Ten facet był z pewnością wyćwiczony, a Houston nie potrafił walczyć. Ręce miał sparaliżowane ze strachu. Ramiona zdrętwiały.

Spojrzał w bok, pewien, iż z tej odległości w nocy morderca nie mógł zobaczyć ani domyślić się, że nie śpi. Drzwi były już całkiem otwarte, ale w sąsiednim pokoju było ciemno. Ujrzał tylko cień skradający się w jego kierunku. Skulony. Ostrożny. Uważa, by zrobić to bez pudła. Żaden strzał, który obudzi gości. Nóż załatwi sprawę. Może udusi, jak księdza.

Postać podkładała się do łóżka. Wpatrywała się w niego. Choć w płucach paliło niemiłosiernie, Houston panował nad żołądkiem, oddychając powoli, udając, że śpi.

Ręka wyciągnęła się w jego stronę.

Teraz! Skoczył gwałtownie. Runął z góry na stojącą przed nim Postać i przygniótł ją. Wlokąc za sobą pościel, zaplątał się w nią wraz z napastnikiem. Szarpali się na podłodze. Kłął i walczył usiłując schwycić nóż. Dostał kolanem w pachwinę. Jęknął robiąc wszystko, by uniknąć powtórki. Schwycił mordercę za gardło.

I

99

— Pete, przestań! — Nie puszczał. — Nie, Pete! — W ciemności głos był chrapliwy, groteskowy. — Nie! To boli!

Zamarł, ciągle zaciskając dłonie. Nagle zwolnił je.

— Simone!

— Moja szyja.

— Jezu! — Houston ukucnął, po czym pomógł jej wstać. Odszukał po omacku nocną lampkę.

Przełknęła, masując obolałą szyję. Miała na sobie koszulę i dzinsy. Jej lewy policzek był obrzmiały. Z bólu mrużyła oczy.

— Boże, omal cię nie zabiłem! — jęknął Houston. Rozcierając kark, osunęła się na łóżko. Pościel leżała na podłodze. Houston poczuł nagle chłód.

I nagość. Stał tuż obok niej bez żadnego przyodziewku. Grzebiąc się niezdarne, podniósł pościel i owinał się dookoła. Długi koniec przerzucił przez ramię.

Roześmiała się.

— Co? — zapytał.

— Wyglądasz tak głupio — odpowiedziała. — Tak komicznie.

— Śmiertelnie mme przestraszyłaś.

— Ojciec zabrał drugi klucz. Nie mogłam wejść od strony korytarza.

— Trzeba było zapukać, na miłość boską.

— Mógłby mnie ktoś zobaczyć. Może ojciec? Nie, znalazłam klucz pasujący do drzwi obok.

Kurczowo trzymał okrywającą go pościel. Znowu się roześmiała.

— W tych przejściowych drzwiach klucz tkwił w zamku.

— Mogłaś do nich zapukać.

— To był żart. Nie chciałam cię obudzić. Hej, śmieję się z nas obojga, nie tylko z ciebie. Wszystko to jest zabawne. Ta pościel. — Pokazała chichocząc. — Wyglądasz tak żałośnie. — Łzy potoczyły się po jej policzkach.

Nie mógł się powstrzymać. Spojrzał w dół na zmietoszoną pościel i wyobraził sobie swój wygląd — swoje zażenowanie, swoje oburzenie. Narastał w nim śmiech. Wybuchł, przynosząc ulgę. Opadł

na łóżko śmiejąc się, aż rozbolał go brzuch. Łzy spływały i po jego twarzy.

— Jezu, co za para — powiedział. — Dlaczego to było takie pilne, takie ważne, że nie mogłaś poczekać i zdecydowałaś się włamać?

Przestała się śmiać. Twarz zdziecinniała, w oczach pojawiła się obawa.

100

W tym momencie Houston zrozumiał.

— Nie.

— Pete, ja...

— Nie — powiedział. Była zawstydzona.

— Wybacz mi.

— Nie ma potrzeby.

— Myślałam... Zapomnij o tym.

— Powiedz.

— Pomyślałam, że jeśli pójdę z tobą do łóżka, to zrozumie<sup>^</sup> J . bardzo chcę być z tobą.

Powiedziałam ci, co mówił ojciec. <sup>?</sup> me znaczy jednak, że się z nim zgadzam. Musiałam przetłumaczyć<sup>0</sup>) co mówił.

— Nie sprzeciwiłaś się.

— Nie przy tobie. Obraziłby się.

— Nie przesadzasz?

Stanowczo zaprzeczyła ruchem głowy.

— Pojedziesz tam ze mną? — Usiadł prosto. — Do Roncevaux<sup>^</sup>

— Gdziekolwiek. Nie pozwolę ci odejść. Potrzebuje cię. <sup>^</sup> kocham cię.

— Nie mów tego. Była oszołomiona.

— Nie mów tego. Nie.

Przechrząknął kręcąc głową i zaciskając powieki.

27

Zeszli na dół. Wsunęła wiadomość pod drzwi ojca, żeby &\$ me martwił, że zadzwoni i wyjaśni, że nie może się wiecznie ukrywać' ze ani ona, ani Houston nie mieli innego wyboru.

W czasie jazdy — Pete wybrał inną drogę i ciągle spoglą<sup>^</sup>a we wsteczne lustro — byli dziwnie spokojni. W miarę jak ich milczące wydłużało się, jak wąska droga wiała się ostrymi zakrętami poPTzez pokrytą rzędami drzew pagórkowatą okolicę, zaczęli na pół swia<sup>^</sup>omie odczuwać niepokój, byli spięci, zażenowani.

— Coś jest nie tak — powiedziała. — O co chodzi?

Houston pokręcił głową, unikając jej wzroku.

101

— To nie jest w porządku — powiedziała. — Bądź ze mną szczerzy.

Ścisnął mocniej kierownicę.

— To nie chodzi o ciebie.

— Cokolwiek dotyczy ciebie, dotyczy i mnie. Proszę, nie odpychaj mnie. Nie zasłużyłam na to.

Przygryzł wargi aż do bólu.

— Postaram się. Muszę to przemyśleć.

— To w nocy? — zapytała. Skinął głową.

— Co próbowałam zrobić? — ciągnęła. Skinął ponownie.

— Moja żona... Słuchaj, nie mówmy o tym. Nie chciałbym cię ranić.

— I nie zranisz. Nie kłamałam. Powiedziałam to świadomie. — Uniosła dłoń. — Pozwól mi skończyć. Zrobiłam to może za szybko. Wiem. I wiem też, że może to komplikować pewne sprawy. Ale zaryzykowałam. Musiałam. Ciągle o tym myślałam. Musiałam to powiedzieć.

— Wcale cię nie obwiniam.

— Pozwól, że zapytam o coś. Czy kochałeś żonę?

— Czy to nie oczywiste?

— To nie jest wystarczająca odpowiedź. Powiedz. Kochałeś ją, czy było to tylko przyzwyczajenie?

W głosie Houstona wyczuwało się napięcie.

— Kochałem ją.  
— Czy oczekiwałyby od ciebie żałoby do końca życia? Byś na zawsze dochował wierności, jak gdyby małżeństwo trwało nadal? Byś unikał innej kobiety?  
— Nie, byłaby raczej zła, gdybym się tak zachowywał.  
— A więc uszanuj jej poglądy. Zachowaj miłość do niej. Wierz mi, ja nie chcę z nią konkurować. Nie pragnę, byś o niej zapomniał. Chcę się z nią podzielić.  
Houston westchnął. Oczy piekły od łez.  
— Peterniożemy zginąć. Dzisiaj, w nocy, jutro. Ale przynajmniej będziemy razem. Wspólnie przeżyjemy to, co jest nam dane. Czy nie rozumiesz? Zakochałam się. Chociaż się przed tym broniłam. — Utkwiła w nim wzrok. — Chce mi się tylko płakać z powodu Jan.  
102

nie Z  
W odpowiedzi lekko dotknęła jego dłoni.  
28  
rozmawiali z  
po-  
p te«° Sameg° Piszczenia.

|— Był z Paryża.  
6'''-M6wil tó'  
tez czekaliśmy. Wtedy pojawił się Bellay. To trwało kilka godzin Skronie Houstona pulsowały  
\*^'

8lcbotim  
po^t^r  
Zaskoczeni, odwrócili się w jego stronę  
ową. Jego krótkie, ciemne włosy były  
zaczესane.  
103

— Wczoraj zamierzaliśmy zadzwonić — odezwał się Houston. — Myślę, że wie pan, czemu nie zostaliśmy w mieście tamtej nocy.  
— Proszę sobie wyobrazić moje zaskoczenie. — Ruszył w ich stronę postukując obcasami o zdobną w szachownicę podłogę. — Najpierw się martwiłem, potem poszedłem do kostnicy. Kiedy was w niej nie znalazłem, domyśliłem się, że byliście ostrożni. Tak czy inaczej gdybyście nie żyli, niewiele mógłbym pomóc. — Jego oczy błyszczały z rozbawienia. — Mam kilka pytań.  
— My też. Skłamał pan — powiedział Houston.  
— Och? Czyżby?  
— Powiedział pan, że pracuje tutaj. A to nieprawda. Przyjechał pan z Paryża, by się zobaczyć właśnie z nami.  
— Fascynujące. I jesteście tego pewni?  
— Pytaliśmy tego policjanta. Powiedział nam.  
Fascynacja znikła z twarzy Bellaya. Oczy ściemniały. Spojrzał groźnie na policjanta, który przeklinając usiłował wypełnić formularz w trzech egzemplarzach. Bellay mówił szorstko, Houston odniósł wrażenie, że kuchenną francuszczyznę.  
Policjant uniósł wzrok. Poczzerwieniał i zacisnął pięść w wulgarnym geście.  
Houston gapił się zaskoczony. Policjant powrócił do zmagania z kalką maszynową. Bellay z uśmiechem zwrócił się do Houstona.  
— Żadnego respektu.  
— Ani dyskrecji.  
— Prawda, mój przyjacielu. Z wyjątkiem pana. Och, pan potrafi zachować tajemnicę, nieprawdaż? Pytałem o informacje, a dostałem tanie kłamstwa.  
— Nie gorsze od pańskich. Do cholery, co jest grane?

W jednej chwili spokój Bellaya znikł. Wyprostował się nagle, a w oczach znowu pojawiło się rozbawienie.

— Pohandlujmy — powiedział. — To, co ja wiem, za to, co pan wie. Jeśli jest pan gotów na to pójść.

— Verlaine.

— Dobra. Możemy pogadać. — Bellay wskazał na otwarte drzwi. Wyszli. Simone za nimi. Hali był szary. Wymagał odnowienia.

Dwaj policjanci wyszli z jednego biura kierując się do innego. Jakiś detektyw wszedł do męskiej toalety.

Bellay prowadził ich wzdłuż korytarza. Zapukał do drzwi z matową

104

szybą i słysząc odpowiedź wszedł do środka. Powiedział trzy zdania po francusku. Jakiś człowiek, ze zmęczonymi oczami i obwisłymi policzkami, wyszedł na zewnątrz. Spojrzał na Houstona, potem nieco dłużej na Simone, po czym, ociągając się, odszedł.

— Przyszliście mnie tutaj — Bellay zwrócił się do Houstona — ale nie poinformowali o tym tutejszej policji. Nieważne. To miejsce nam wystarczy. — Z elegancją popchnął ich do środka.

Houston poczuł kurz pudeł, taśm i papierów. Archiwum. Na środku stał stół.

Bellay zamknął drzwi. Odgłosy z korytarza zostały przytłumione.

— Proszę krzesło. To zajmie parę chwil. Simone usłyszała.

Houston nie ruszał się.

— Verlaine — powtórzył. — Zaczniemy od tego.

— Nie, to nie tak. Jeśli chce pan wymiany, to najpierw niech pan wszystko opowie.

— W porządku, wychodzę. — Chwycił za klamkę. Bellay nie próbował go zatrzymać.

Houston spoglądał w dół na rękę. Westchnął i usiadł przy stole.

— Dobrze, nie zaszkodzi spróbować.

— Rzeczywiście, nie. Choć najwyraźniej to pan bardziej potrzebuje informacji niż ja. — Bellay patrzył na niego, po czym, jak gdyby dokonawszy wyboru, podobnie jak Houston westchnął. — Tak naprawdę — przyznał — jestem tak ciekawy tego, co pan wie, że duszę matki bym sprzedał. Proszę, niech pan zaczyna. Proszę opowiedzieć o wszystkim, co się panu przytrafiło, niczego nie omijając. Wszystko może być istotne.

Houston zapalił papierosa. Zaczął. Mówił o wszystkim, ze szczegółami.

— Verlaine — zakonkludował. — Wszystko wskazuje na Verlaine.

— I na St. Laurenta, chociaż prawdę mówiąc nazwisko to nic mi nie mówi. — Po chwili Bellay zwrócił się do Simone. — Czy może pani coś dodać?

— Nie. Peter opowiedział wszystko dokładnie. Bellay znów przeniósł swą uwagę na Houstona.

— W takim razie pański ojciec być może wciąż żyje i jest w to zamieszany. Jeśli już umarł, to bez wątplenia był.

— W co? Teraz pana kolej. Interes to interes.

105

— Nie jestem pewien, czy mi wolno. A niech tam, powiem panu, co wiem. Sam tego nie rozumiem, dlaczego więc pan mógłby?

— Na miłość boską...

— Proszę słuchać uważnie. Pracuję nad tym już za długo. Straciłem obiektywne spojrzenie. Może z pańskiej perspektywy uda się znaleźć jakąś ścieżkę.

Houston czekał.

Bellay zaczął, bębniąc palcami po stole.

29

— Nie jestem policjantem — powiedział. — Pracuję dla rządu. Wywiad. Mógłby pan powiedzieć „szpieg”, chociaż wolę mniej dramatyczne określenie.

Simone pochyliła się do przodu. Houston nieomal o niej zapomniał.

— Nie podam nazwy mojej agencji. Woli być anonimowa, a i tak jej nazwa nic by wam nie



mówiła. Ma w zasadzie charakter obronny, ale nie wtrąca się w sprawy obcych rządów i nie wyciąga ich tajemnic. Wręcz przeciwnie. Naszym celem jest to, aby obcy rząd nie wtrącał się do naszego. Jesteśmy jego ochroną. Bronimy go. Wyszukujemy wrogich, obcych agentów i unieszkodliwiamy ich.

— Czy to jest synonim zabijania?

— Zapomniałem, że pan jest pisarzem.

— Skąd pan wie? Bellay uśmiechnął się.

— Działamy skutecznie. Pańska ambasada jest równie sprawna. Kiedy czekaliście w szpitalu, sprawdziliśmy pańską kartotekę. I pani, oczywiście. Proszę się nie obrażać. To rutynowe czynności, a informacje traktujemy poufnie.

— Nie zrobiłam nic takiego, czego mogłabym się wstydzić — powiedziała dumnie.

— Tak, wiem. Czytałem pani akta.

Wyglądała na zażenowaną, ograbioną z własnej intymności.

— Pan Houston również nie ma wstydlivych sekretów. Jestem przekonany, że wasz związek z Verlaine jest niezamierzony, nieszkodliwy. Zostaliście jednak w coś wplątani i teraz powstaje pytanie, co z tym zrobić.

106

— Mówi pan, że Verlaine jest przykrywką dla obcych agentów? Bellay badał go wzrokiem.

— Ameryka nie jest jedynym krajem, którego duszę trawi rak. Narkotyki, zbrodnie, upadek moralny. Zło rozprzestrzenia się. Francja i Anglia, Włochy i Niemcy — nie muszą wymieniać całej listy. Jest nieskończona. Powoli umieramy, każdy z nas, każdy naród.

Kazanie? — pomyślał Houston. Prosiłem o informacje, a ten wyjeżdża z traktatem moralnym?

— To nie pańska sprawa — powiedział. — Nie jest pan policjantem.

— Właśnie.

— Więc...

— Verlaine Enterprises jest przykrywką dla handlu bronią, narkotyków, prostytucji, hazardu, płatnych morderców, oszustów finansowych, międzynarodowych terrorystów. Jest właścicielem budynków, takich jak ten, w którym omal nie zgineliście. Wykupuje upadające firmy i wykorzystuje je do ukrycia nielegalnych zysków, do prania pieniędzy, aby zadowolić władze podatkowe. Szkoła waszego Al Capone była przerabiana tak we Francji, jak i w Ameryce. Nie idą do więzienia za morderstwa, lecz za oszustwa podatkowe. Rozbawi pana fakt, że Verlaine, bez wątpienia wysadziwszy tamten budynek, teraz domaga się pieniędzy z ubezpieczenia.

— Jezu.

— Muszę przyznać, że tupet mają imponujący. Jednak, jak pan zauważył, sprawy kryminalne to nie moja działka. Ja mam z Verlaine swoje porachunki. Rok temu policja zaczęła przysłuchiwać się różnym rozmowom. Mało istotnym. Głównie plotkom. Nie w Roncevaux, ale w Paryżu i w Marsylii. Mówiły o tym, że ogromne transporty narkotyków przechodziły przez granicę nie zauważone. Duże, to znaczy dziesięć razy większe niż normalnie. Dziesięć, dwadzieścia razy. A potem trzydzieści. Jeśli plotki te miały uzasadnienie, to tego rodzaju przerzuty nie mogły się udać bez ogromnych łapówek, bez zorganizowanego korumpowania urzędników. Już to czyniło te plotki podejrzany. Tak wielka korupcja nie była z pewnością możliwa. Co więcej, informacje te nie miały sensu. Tak intensywne przerzuty narkotyków mogły zapchać rynek i zdusić cenę. Dlaczego gangsterzy chcieliby zmniejszać dochody? Po co te masowe przerzuty?

Houston poczuł przyływ gniewu.

107

— Jeśli zostawia nas pan... Jeśli nie ma odpowiedzi...

— Jest odpowiedź. W innych plotkach. Nie ulicznych, ale pochodzących z godnych zaufania, ukrytych źródeł. To nie tajemnica, że kontrwywiad zawiódł. Wasz prezydent postawił sprawę jasno. Departament Stanu traktuje Sowieców, jak gdyby zimna wojna ciągle trwała. Inwazja Afganistanu najlepiej pokazała ich intencje. Polska, Kuba, Ameryka Południowa, Bliski Wschód i Afryka oczywiście. Ciągle to samo. Oni jednak wiedzą, że różne są metody podboju. Z zewnątrz i od wewnątrz.

— To, co pan mówił przedtem...

— Widzi pan teraz moje powiązanie z tymi sprawami. Nie możemy tego udowodnić, ale podejrzewamy, że, straciwszy w końcu cierpliwość, Sowietci przyspieszają proces naszego rozkładu. Verlain Enterprises. To baza gangsterów. Ale, być może, ci gangsterzy są również czyjąś bazą. Przypuśćmy, że Sowietci kontrolowali ich jako cichy, ukryty wspólnik, zatajając swój udział przed ludźmi, którymi się posługiwali. Brudne pieniądze. Zakup legalnego, czystego biznesu. Kontrola z dystansu. Łapówki i oszustwo, korupcja i stręczycielstwo. Wykorzystać zło naszego systemu. Pielęgnować je. Niech się zielsko rozprzestrzenia. Kiedy w końcu upodlimy się do tego stopnia, że dbać będziemy wyłącznie o swoje własne zadowolenie, kiedy ogarnie nas chaos, wtedy Sowietci wejdą bez najmniejszego wysiłku.

— Sowietci kontrolują mafię?

— Tak samo we Włoszech, Anglii, w Ameryce. Używają kryminalistów jako nieświadomych obcych agentów. Kto by o tym pomyślał. Ale plotki, panie Houston, utrzymują się i jest ich dużo. Przez ostatnie dziewięć miesięcy śledziłem te sprawy. Mogę udowodnić powiązanie między Sowietami a Verlain Enterprises. Duże dostawy narkotyków, spadek cen — to nie ma sensu, chyba że celem jest osłabienie tego kraju, wprowadzenie zamętu.

Gniew Houstona nie zmalał.

— Wszystko, czego chcę, to znaleźć mordercę Jan. Chcę powstrzymać kogokolwiek, kto chce nas oboje zabić. Chcę znowu żyć normalnie. Jeśli pan wie coś, co może nam pomóc, proszę mi powiedzieć. Coś, co ma z nami jakiś związek.

— Próbował pan znaleźć grób ojca. Potem szukał pan St. Laurenta. To zaprowadziło pana do Verlain. Poza tym, należy zacząć od roku czterdziestego czwartego. Zaginionego oddziału. Zniknięcia samego

108

St. Laurenta. Coś wtedy się stało, czego skutki trwają do dziś. Jeśli rozwikłamy tę tajemnicę, to poradzimy sobie i z innymi.

— A razem z nimi z moim ojcem — powiedział Houston. Poczul skurcz w żołądku. — Dobry Boże, kim on był? W co był zamieszany?

— Jest — powiedziała Simone.

— Co?

— Nie był, a jest. To się nie skończyło. Houston czuł, że ciemnieje mu w oczach. Bellay skinął z ponurą miną.

— Niech pan powie, co mam robić — prosił Houston.

— Trudno...

— Z panem lub bez zamierzam go znaleźć. Niech pan zrobi wykład — powiedział Houston. — Chcę wiedzieć o Verlain wszystko.

30

Gęsto zapisana lista interesów Verlain zajmowała trzy strony. Interesy każdej wielkości i typu. Od pralni, przedsiębiorstw importowych, dystrybutorów filmów i kin do restauracji, biurowców i produkcji komputerów. Kompanie finansowe, przedsiębiorstwa mieszane. Houston był przerażony. Spojrzał znad dokumentów.

Bellay wyjaśniał.

— Na papierze Verlain wydaje się tak niewinne jak apostoł Chrystusa. Wszystko jest legalne, zorganizowane przez zręcznych prawników. Płaci podatki. Dotuje organizacje charytatywne. Wypuszcza akcje. Płaci dywidendy swoim inwestorom. Wszystko rzeczywiście jest tak uporządkowane, tak udokumentowane, że potrzebowaliśmy swoich prawników, by rozszyfrować całą tę buchalterię. Jednak pod tym labiryntem faktów i liczb wszystko jest zawikłane jak diabli. Badając ich najważniejszych inwestorów znaleźliśmy inne korporacje, które z kolei są własnością jeszcze innych korporacji, a ludzie przedstawieni jako ich dyrektorzy w ogóle nie istnieją. Nazwiska są fałszywe. W końcu nie mamy pewności, kto dostarcza pieniądze. To z jednej strony. Z drugiej, przedsiębiorstwa będące własnością Verlain nie są na tyle silne, by osiągać dochody, jakie wykazują.

— A więc środki na inwestycje oraz dochody pochodzą prawdopodobnie od mafii — odezwał się Pete.

109

— Lub od Sowietów, przyjmując, że się nie mylę.

Houston jeszcze raz przejrzał listę... i nagle wśród nazwisk rozpoznał jedno. Tak znajome, że zbladł zaskoczony.

— Pete, co się stało?

Przerażony spojrzał na Simone. Badał każdą część jej twarzy, jej śliczne włosy, podbródek o perfekcyjnych proporcjach, nos i policzki. W końcu zatrzymał się na usiłujących przeniknąć go oczach.

Nie mógł zebrać się, by jej to powiedzieć. A jeśli on myli się w swoich podejrzeniach, to co? Nie mógł jej zranić. Nie, dopóki nie będzie pewien.

— To tylko moje żebra — odpowiedział, starając się, by zabrzmiało to naturalnie. — Bola. Przerzesałem się.

— Nic dziwnego — powiedział Bellay spoglądając na swój zegarek. — Już po szóstej. Musimy odpocząć. Zjecie ze mną obiad?

— Proszę mi wybaczyć — odpowiedział Pete — ale zamiast jedzenia potrzebuję snu. Może innym razem?

— Oczywiście. Poza tym mam kilka prywatnych spraw do załatwienia. Mamy jednak pewien problem.

Houston skrzywił się.

— Ciągłe znajdujecie się w niebezpieczeństwie. Podczas gdy wy tu studiujecie papiery, ktoś inny ciągle na was poluje. Sytuacja się nie zmieniła. Musimy wam znaleźć jakieś miejsce na nocleg. Zgadzam się z panem. Hotel nie jest bezpieczny.

— Więc gdzie?

31

Domek myśliwski. Tak przynajmniej wyglądał. Usadowiony na szczycie pozbawionego drzew wzgórza. Zbocza również ogołocoło z zarośli. Dalej, dookoła, rozciągał się las. Wszystko ogrodzone stalową siatką. Był to jedyny element otoczenia świadczący, że to nie tylko domek myśliwski. Niski, szeroki budynek wyglądał niewinnie. Ściany wykonano z drewnianych bali, a dach pokryto cedrowym gontem. Miał odrapany ganek, drewnię i garaż dla jednego samochodu. Aby się tu dostać, Houston i Simone zostawili renault w podziemnym policyjnym garażu w Roncevaux. Wyjechali ich furgonetką,

110

której kierowca, skręcając w przypadkowe ulice, usiłował zgubić ogon lub, gdyby się to nie udało, przynajmniej go namierzyć. Potem przesiedli się do nie oznakowanego wozu i wyjechali za miasto. Simone wciąż spoglądała niespokojnie w kierunku Houstona, jak gdyby w desperacji gotowa zadać to dręczące ją pytanie. Panowała jednak nad sobą. Ścisnęła jego dłoń. Czuł jej napięcie, identyczne jak wtedy, gdy dostrzegł coś w listach przedsiębiorstw Verlaine.

By się uwolnić, spojrzał w ciemność na sylwetki drzew wzdłuż łagodnie wznoszącej się wiejskiej drogi. Kierowca wcisnął przycisk na desce rozdzielczej. Houston już chciał zapytać po co, kiedy nagle skręcili z drogi. Wspinali się wyżej, po wyboistej, zrytej koleinami drodze. Zarastające ją krzaki szorowały o boki samochodu.

Za gęstym mrokiem przysadzistych drzew ujrzał na wzgórzu polanę, a na jej szczycie, spowitym lekką mgiełką dziwnego, księżycowego światła, zupełnie czarny kontur myśliwskiego domku. Wstrząsnął nim dreszcz.

Kierowca znowu nacisnął przycisk. Tym razem Houston nie przejawiał zaciekawienia przyczyną. Powód był oczywisty. Metalowa brama uchyliła się. Przejechali. Spojrzał do tyłu. Brama zamykała się.

Zatrzymali się. Kierowca nie wyłączył silnika i nie zrobił ani jednego ruchu, by wysiąść.

Pete wychylił się do przodu.

— Czekamy. Ktoś przyjdzie po nas?

Kierowca odwrócił się z pytaniem w oczach. Houston domyślił się, że nie znał angielskiego.

Wtedy zapytała Simone. Przetłumaczyła, co odpowiedział kierowca.

— Oczekują nas. Zdaje się, że on musi wracać do innego zajęcia. Myślał, że obawiamy się tego wszystkiego.

— Chce nas tutaj zostawić? — Pete znieruchomiał z wrażenia. — Tu jest całkiem ciemno. Nie wiemy, gdzie jesteśmy.

Kierowca coś mówił. Simone przetłumaczyła.

— On chce, byśmy wysiedli. Jest już spóźniony.

— Cholera, chyba rzeczywiście musimy wysiąść.

— Mówi, że będziemy tu bezpieczni.

Raptem jakiś cień wyłonił się przy samochodzie. Houston cofnął się błyskawicznie, osłaniając Simone. Serce zaczęło mu walić. Skoczył gwałtownie do przodu chcąc zatrzaskać drzwi.

Za późno. Drgnęły tuż przed szczęknięciem zamka. Jakiś mężczyzna

111

wejrzał z ciemności. Cały w czerni, od stóp do głów. Miał krótką, czarną brodę, a na głowie czarny beret. W grubym, czarnym futerale pod pachą tkwił masywny rewolwer z równie czarną rękojeścią. Mężczyzna mógł mieć około pięćdziesiątki. Badawczym wzrokiem spojrzał na Houstona i Simone.

— Proszę — odezwał się z wyraźnym obcym akcentem. — Będzie bezpieczniej, jeśli wejdziecie do środka.

— Pan od Bellaya? — zapytał Houston.

— Pracujemy razem. Mamy tego samego pracodawcę.

— To miejsce...

— To wasza kryjówka. Prędzej, proszę. Nie mogę was ochronić tu, na zewnątrz.

Houston dla upewnienia się spojrzał na Simone. Skinęła głową. Wysiedli z samochodu.

Facet natychmiast zatrzaskał drzwi, po czym stuknął pięścią w dach. Furgonetka odjechała. Idąc za tym człowiekiem Houston usłyszał cicho otwierającą się bramę, a potem odwróciwszy się, zobaczył znikające światła samochodu. Brama zamknęła się z delikatnym szelestem.

Z wyjątkiem kroków na pokrytej rosą trawie, poza odgłosem klapiących skrzydeł — pewnie nietoperza — noc była cicha. Houston, czując za sobą obecność Simone, wpatrywał się w szerokie, muskularne plecy, za którymi podążał. Nieznajomy niósł obie torby, jego i Simone.

— Nikt się nie wysilił, aby nam wyjaśnić — powiedział Pete — co to za miejsce...

— Kryjówka. Bezpieczne miejsce na spotkanie. Lub domek wypoczynkowy. Spełnia wiele funkcji. Czasami do przekazania informacji lub przesłuchania. Mam na imię Henri. Bez nazwiska, proszę. Mam być waszym służącym.

— I naszym strażnikiem?

Doszli do stopni prowadzących na trzeszczący ganek.

— To zbyt dosadne określenie. W dawnych czasach określono by mnie jako członka domowej świty. Moim głównym zadaniem jest zapewnienie wam komfortu i bezpieczeństwa.

Otworzył wyschnięte, nie pomalowane drzwi. W półmroku Houston ujrzał drugie drzwi, solidne, metalowe, przy których na małej klawiaturze Henri przycisnął kilka cyfr. Usłyszał jakiś warkot. Ciężkie drzwi stopniowo otworzyły się.

112

r

— Ostrożność. — Henri z gracją wprowadził ich do środka. Weszli w ciemność. Houston słyszał, jak Henri dotyka czegoś na

ścianie. Kiedy drzwi się zamknęły, zapaliło się światło.

— To działa automatycznie — powiedział. — Wyłącza się przy otwieraniu drzwi.

Houston zamrugał powiekami. Pomieszczenie było duże, z drewnianymi belkami pod sufitem, bogatą ciemną boazerią i grubymi, utkanymi ze zgrzebnej wełny dywanami, rozłożonymi na podłodze. Była tam nawet rozpięta na ścianie niedźwiedzia skóra i poroże jelenia z ośmioma

wypustkami wiszące ponad kominkiem obmurowanym łupkowymi kamieniami. Jednak najbardziej zaskoczył Houstona rozbudowany zestaw monitorów — odbiorników i przyrządów z wieloma wskaźnikami — ustawiony wzdłuż całej ściany z prawej strony pokoju. Jarzyły się i migotały.

— Tyle przyrządów — zauważył Houston.

— To strażnicy. Kiedy metalowe drzwi są zamknięte, miejsce to jest odizolowane. Zauważyliście, że nie ma tu okien.

Zaintrygowało to Simone.

— Widziałam okna, nie oświetlone. Z zewnątrz miejsce to wydaje się opuszczone.

— Tak powinno wyglądać. To element kamuflażu — odpowiedział uprzejmie Henri. — Okna mają opuszczone okiennice, a za nimi te oto ściany. W rezultacie w ciągu dnia wydaje się, że mieszkańcy tego domku pragną spokoju, a w nocy — że są nieobecni. Nie ma cieni na zasłonach. Żadnych sylwetek dla snajperów. Bezpieczny, niepozorny i praktyczny. Ten domek to bunkier. Metalowe osłony za boazerią. Zapas żywności i wody.

— Pan go projektował?

— Jest pan spostrzegawczy. To moje hobby. Mam szczęście, ponieważ to również moja praca. Te urządzenia pozwalają nam na kontakt z naszym centralnym biurem i jego oddziałami. Ale, co najważniejsze, pilnują terenu. Ogrodzenie jest, oczywiście, kontrolowane. Pewnie zauważyliście, że kierowca nacisnął przycisk na desce rozdzielczej, kiedy skręcił z głównej drogi w stronę bramy. Pete skinął głową.

— W ten sposób ostrzegł mnie, że nadjeżdża. W przeciwnym przypadku sygnały tych monitorów by mnie zaalarmowały. Mógłbym się przygotować na ewentualny atak.

5 —

113

Pete przełknął ślinę.

— Napiłbym się.

— Jack DanieFs, jeśli się nie mylę. A pani?

— Martini.

— Och? Tego nie ma w pani kartotece. — nen zaskoczony. — W gabinecie. Ja nie mogę ryzykować f u nych, ale będzie mi miło, jeśli moi goście będą zadowolę

Pete zrobił drinki. Wskazał na baterię butelek.

— Wszystkie są zapieczętowane.

— Moi goście są ostrożni.

— Jak to?

— Nie chcą nalewać z otwartej butelki. Houston zakrył usta. Burbon kwaśniał w żołądku.

— Nietrudno wrzucić truciznę i zakręcić zakrętkę.

— W końcu przychodzi moment, kiedy muszą zaufać. Tak jak my ufamy, pomyślał Houston.

— Muszę z tobą porozmawiać — powiedziała Simone. Wiedział, że to musi nastąpić, chociaż miał nadzieję

uniknie. Cały czas wodziła za nim oczami.

— Wasze pokoje są tam — powiedział Henri wskazują\* też łazienka z prysznicem. Obiad podam za godzinę.

Weszła do środka, zanim skończył mówić. Houston zabr Pokój był obszerny, z belkowanym sufitem, boazerią, gładką z twardego drewna i królewskich rozmiarów łóżkiem. ( wszedł, zamknęła drzwi.

— Łazienka — powiedziała.

— Co?

— Słyszałaś. — Przeszła szybko do drugich drzwi i otw Ujrzał śnieżnobiałą glazurę. Weszła ostrożnie do środka torby. Z dezaprobatą na twarzy ruszył za nią.

— Co jest?

Nie odpowiedziała. Odkręciła krany nad wanną i prysz szum wody zwróciła się do niego.

— Znowu coś ukrywasz.

— Myślisz, że jest tu mikrofon?

— Oczywiście, że jest. Byłabym głupia, gdybym f nie jest zapluskwiony. Mów prawdę! Przestań ją ukr>^

Z kranów w dalszym ciągu szorowała woda.

114

,\*iedz

na

legała-

lokumenty Verlaine. Przeglądaliśmy je. przynioM u

! przedsięwzięciem Verlaine, wszystkich, jakie są

lone, nie chciałem cię dotknąć. Wyłącznie

Musiałem pomyśleć o skutkach. No więc

rony zobaczyłem nazwę waszego hotelu. Jest

jakby ktoś wymierzył jej policzek, cuje dla Verlaine Enterprises? >telu widziałem właściwy adres, a dalej nazwisko

i byc jakiś błąd!

;nie próbowałem to ukryć. Dopóki bym tego nie

musi wiedzieć. wiście. i nas badał.

jesteśmy. Nie ochrania nas. Obserwuje.

rawda — jej oczy były zrozpaczone — jeśli to nie y, że ojciec...

nie zatrzymać. To w ten sposób zginęła Jan. Dla-

ł się do naszego pokoju. I do twojego. Próbował achunki z twoim ojcem, e wspominał nic o ojcu.

m. Wiemy tylko tyle, że nazwisko twojego ojca liście i...

ła z łazienki. :haj!

«\* w jego stronę.

"ę ci. Nie pozwolę ci myśleć w ten sposób. To 2 wmawiasz mi, że tak naprawdę wcale go nie ias

opowiadając o Pierze St. Laurencie. To Laurent ciągle żyje i że ojciec go zna, że iybym

uwierzyła w to, co mówisz, zwariowała-io, że mój ojciec próbował mnie zabić! >jej stronie. Mów

ciszej, bo ten facet tam...

115

Pete przełknął ślinę.

— Napiłbym się.

— Jack DaniePs, jeśli się nie mylę.

— Martini.

— Och? Tego nie ma w pani kart\*,- Heimri wydawał zaskoczony. — W gabinecie. Ja nie montować efektów \*nych, ale będzie mi miło, jeśli moi goście fccij zadowoleni.

Pete zrobił drinki. Wskazał na baterictalek.

— Wszystkie są zapieczętowane.

— Moi goście są ostrożni.

— Jak to?

— Nie chcą nalewać z otwartej butelki, Houston zakrył usta. Burbon kwaśniał\*żołądku\_\_

— Nietrudno wrzucić truciznę i zakręcić zakrętkę.

— W końcu przychodzi moment, kiedytSZą za-ufać. Tak jak my ufamy, pomyślał Houstoa

— Muszę z tobą porozmawiać — powiedziała Si\*\*10116-Wiedział, że to musi nastąpić, chociaż miał r»-adzieję, że

uniknie. Cały czas wodziła za nim oczami,

— Wasze pokoje są tam — powiedział Henri też łazienka z prysznicem. Obiad podam za jod

Weszła do środka, zanim skończył mólii Hous\*on Pokój był obszerny, z belkowanym sufitem, boazerią^ ^ -z twardego drewna i królewskich rozmi^ łóżKiem- Gdy t; wszedł, zamknęła drzwi.

— Łazienka — powiedziała.

— Co?

— Słyszałeś. — Przeszła szybko Ujrzał śnieżnobiałą glazurę. Weszła oi torby. Z dezaprobatą na twarzy ruszył za^

— Co jest?

Nie odpowiedziała. Odkręciła krany nid»anną szum wody zwróciła się do niego.

— Znowu coś ukrywasz.

— Myślisz, że jest tu mikrofon?

— Oczywiście, że jest. Byłabym głupia,8dybyrr» sąd,Złi nie jest zapluskwiony. Mów prawdę!

Przestaj ją Ui.^-V^acprz

Z kranów w dalszym ciągu szorowała ^

—

t0

i otworzyła je-Odstaw"

prysznic

114

te \_ nalegała-

lokumenty Verlaine. Przeglądaliśmy je. iosi

przedsiębiorstw Verlaine, wszystkich, jakie są

lone, nie chciałem cię dotknąć. Wyłącznie

Musiałem pomyśleć o skutkach. No więc

ony zobaczyłem nazwę waszego hotelu. Jest

jakby ktoś wymierzył jej policzek. ,racuje dla Verlaine Enterprises?

elu widziałem właściwy adres, a dalej nazwisko

byc jakiś błąd!

;nie próbowałem to ukryć. Dopóki bym tego me

musi wiedzieć, zywiście.

i nas badał.

jesteśmy. Nie ochrania nas. Obserwuje, o prawda — jej oczy były zrozpaczone — jeśli to nie naczy, że ojciec...

nie zatrzymać. To w ten sposób zginęła Jan. Dla-się do naszego pokoju. I do twojego. Próbował

rachunki z twoim ojcem, e wspominał nic o ojcu.

'm. Wiemy tylko tyle, że nazwisko twojego ojca liście i...

Padła z łazienki.

\* w jego stronę.

nię ci. Nie pozwolę ci myśleć w ten sposób. To

ę ci. Nie pozwolę ci myśleć w ten sposób. To J wmawiasz mi, że tak naprawdę wcale go nie I nas opowiadając o Pierze St. Laurencie. To Laurent ciągle żyje i że ojciec go zna, że tybym uwierzyła w to, co mówisz, zwariowała-\*°, że mój ojciec próbował mnie zabić! twojej stronie. Mów ciszej, bo ten facet tam...

115

— Nic mnie to nie obchodzi! Mam zamiar udowodnić ci, że się mylisz. Bellayowi też! Każdemu!

— Ale jak?

— Zadzwońię do niego! Teraz! Powiem mu, czego się dowiedzieliśmy! Nie może mnie okłamać!

Zapytam go!

32

Rzuciła się do drzwi. Pete ruszył w jej kierunku. Widząc, że będzie próbował ją zatrzymać,

przyśpieszyła. Otworzyła drzwi z takim impetem, że odchylając się trzasnęły o ścianę. Pete pędził za nią.

Spoza jej pleców dostrzegł, jak Henri, obracając się w ich stronę, niezdarnie zerwał słuchawki. Na jego twarzy widać było zakłopotanie, a ponad krótką, czarną brodą rumieńce.

— Ja tylko...

— Wiem, co pan robił — powiedziała Simone. — Podszuchiwał pan! Wszystko jedno! Wie pan,

czego potrzebuję! Telefon! Gdzie jest!? Muszę zadzwonić!

— Można go używać tylko w wyjątkowych sytuacjach.

— A to nie jest, do diabła, wyjątkowa sytuacja? Słyszał pan, o czym mówiliśmy! To ważne!

— Pozwoli pani, że zapytam przez radio o pozwolenie. Zauważyła aparat pomiędzy dwoma monitorami. Henri wstał, by ją zatrzymać.

Houston zagroził mu drogę. Simone podniosła słuchawkę i wykręciła numer.

— To zabronione — powiedział Henri.

— Spokojnie — odpowiedział Houston. — Jeśli to coś da, będą z pana zadowoleni. Jeśli nie, powie pan, że to był nasz błąd.

Henri sięgnął po rewolwer, lecz nagle jego ręka zatrzymała się w oczekiwaniu, Simone zaczęła już rozmawiać. Jej francuski brzmiał przynaglająco. Houston zrozumiał zaledwie kilka krótkich fragmentów.

Henri natomiast rozumiał wszystko. Oczy mu się zwały. Stał nieruchomo, z ustami ściśniętymi tak mocno, że zrobiły się blade, bezkrwiste.

Wstrzymując oddech, Houston odwrócił się, by spojrzeć na Simone. Jej głos był teraz silniejszy, słowa bardziej natarczywe.

116

Raptem jej ton zmienił się, niecierpliwość zastąpiło zdziwienie, a pewność siebie — dezorientacja. Houston spojrział na Henriego. Ten, zły jeszcze bardziej, kiwał głową pogrążony w ponurych domysłach.

— Co ona mówi? — Houston poczuł ucisk w gardle. Głos mu się załamał.

Henri, ciągle wpatrzony w Simone, uniósł rękę prosząc tym gestem ciszę.

Słuchawka wysliznęła się z jej dłoni i opadła na widelki. Patrzyła aparat jak na coś obrzydliwego.

Zgarnęła włosy na jedną stronę. Houston dojrzał ślady na jej szyi. 'rzeniknął go dreszcz. Drżąc i mrużąc podkrążone oczy odwracała się jowoli.

— Co się stało? — zapytał Houston.

— Ojciec — odpowiedziała. Podszedł do niej i ujął za ramiona.

— Co z ojcem? Powiedz.

— Wyjechał. — Zaczęła popłakiwać. Przytulił ją do siebie, czuł jej łzy na koszuli.

— Ma pewnie coś do załatwienia.

— Nie. — Mówiła niewyraźnie wśród łez. — Wyjechał. Dziś rano. 'abrał walizkę.

— Gdzie? Ja... To dziwne. Powiedz mi, czego się dowiedziałas.

— Recepcjonista. — Odchyliła głowę, by spojrzeć na niego, łzy spływały po policzkach. —

Dzisiaj rano. Nikt nie wie, co się stało, ojciec był zdenerwowany, mówił coś do siebie. Nie mógł pracować. \*owiedział, by wszyscy robili to, co do nich należy, bez niego — że /róci za kilka dni, może tydzień. Wykonał kilka telefonów ze swojego >iura. Potem spakował walizkę i wyszedł.

Monitory ciągle szumiały monotennie. Dopiero teraz Pete uświa-łomił sobie ich dźwięk. Nagle Simone rozplakała się na dobre. Słyszał aż tylko jej łkanie. Przycisnął ją do siebie, objął mocno i głąskał po /łosach.

— To nic. To kłopoty w interesach.

— Czy nie widzisz związku? Czy nie domyślasz się, co go zmusiło do takiego zachowania?

Pokręcił przecząco głową. Odsunęła się.

117

— Mój list. Napisałam, że wyjeżdżam z tobą, że będę ci pomagała. I sobie. Że nie miałam wyborów. Miałam nadzieję, że zrozumie.

— Mój Boże. Wtedy wieczorem.

— Chciał, bym się trzymała z daleka od ciebie. Myśleliśmy, że to tylko ojcowska troskliwość.

— To jednak nie było to. Wiedział, na co się narażamy. Zawsze wiedział. Gdy tylko pierwszy raz usłyszał, że szukam Pierre'a de St. Laurenta.

— Nie sądził, że będą chcieli mnie zabić. Pojechał przebłagać Verlaine. Prosić ich o moje życie. Ojcowie. Nie tylko twój, ale i mój. Obaj są w to zamieszani.



— Ale on dzwonił gdzieś — odezwał się Henri.  
Odwrócili się, zdziwieni, jak gdyby mówił nie po francusku ani po angielsku, lecz w jakimś tajemniczym języku.  
— Co? — zapytał Pete.  
— Dzwonił gdzieś. Ze swojego biura — powtórzył Henri.  
— Tak, to prawda — odpowiedziała Simone.  
— Spakował walizkę. Powiedział, że wyjeżdża na kilka dni.  
— No i co z tego? — powiedział Houston. — Nie widzę, w czym mogłoby to pomóc.  
— Niech pan pomyśli. Nie został w mieście. Pojechał gdzieś dalej.  
— Ciągle nie...  
— To musiały być rozmowy zamiejscowe. Będą za nie oddzielne rachunki. Zdobędziemy te numery z komputera w centrali — zakon-kludował Henri.  
Houston wciąż się gapił. Monitory zaczęły piszczeć przeraźliwie.

33

Houston zadrzał, jak gdyby jakiś nóż przebił mu pierś. Zwrócił się gwałtownie w kierunku nadchodzącego dźwięku, wysokiego, piskliwego jazgotu, który podnosił się i opadał.  
— Co to jest?  
— Alarm. — Oczy Henriego "zweżyły się. Wyciągnął rewolwer. Monitory piszczały dalej. Houston uchwycił się nikłej nadziei.  
— Awaria systemu.  
— Niemożliwe. Sam go robiłem. — Henri w trzech krokach

118

dopadł monitorów. — Ktoś pcha się przez las. — Pokazał monitor. — Od południa. — Gestem ręki wskazał przeciwległą ścianę.  
Pasma poświaty krążyło po okręgu na szerokim, niebieskim ekranie. Żółty punkt posuwał się od dołu ku górze.  
Henri wskazał palcem czerwony znaczek na środku ekranu.  
— To my. Szczyt wzgórza. Patrzcie na ekran jak na mapę. Na górze jest północ, na dole południe, na lewo i prawo — zachód i wschód.  
Punkt ciągle poruszał się w górę z kierunku południowego.  
— Jakieś zwierzę — odezwał się Pete.  
— Niemożliwe — powiedział Henri. — Wszystkie czujniki są ustawione na odpowiedni rozmiar, wagę i temperaturę ciała. Przede wszystkim na temperaturę. Jedyne człowiek może je wyzwolić.  
— Ale ten, kto jest tam w lesie, wcale nie musi być wrogiem — upierała się Simone. — Może to jakiś turysta.  
— Zaraz się przekonamy. Punkt jest przy ogrodzeniu.  
— A jeśli go dotknie?  
— Jest pod napięciem.  
— Żeby ogłuszyć?  
— Żeby zabić.  
Szeroko otwarte oczy Simone wyrażały to samo, co czuł Houston.  
— Ale ktokolwiek tam jest, może być niewinny — powiedziała.  
— Nie możemy ryzykować pomyłki.  
Drugi buczonek zaczął jazgotać jeszcze głośniejszy niż pierwszy. Simon odwróciła się w panice.  
— Macie odpowiedź — powiedział do nich Henri. — Na ogrodzeniu. Ktokolwiek tam był, nie zatrzymał się.  
Punkt przesunął się dalej do góry.  
— Mówił pan, że ogrodzenie jest pod napięciem.  
— Był na to przygotowany. Dokładnie wie, co robi.  
Houston przyglądał się, jak Henri trzyma rewolwer, ręka zaciśnięta była tak mocno, że stawy zbielewały na jego dłoni.  
— Zatrzymaj go — powiedział Houston.

— Karabiny maszynowe zastrzelały go w momencie, gdy dojdzie do połowy zbocza. Są tak ustawione, że ich ogień krzyżuje się. Samo wzgórze jest zaminowane, z wyjątkiem drogi dojazdowej. Zatrzymamy go. Nie ma obawy. Nie ma za czym się ukryć.

Houston nie mógł jednak pojąć, czemu — skoro nie powinni się

119

martwić — oddech Henriego stał się krótki i chrapliwy. Kiedy odezwał się kolejny buczonek, Houston dostał odpowiedź. Byli wewnątrz domku zabezpieczeni, ale i uwięzieni. W zachodnim sektorze ekranu ukazał się drugi punkt, również kierujący się do środka.

— Dwóch!

Houston uchwycił się blatu, by opanować drżenie. Były już dwa punkty — trzy! Od północy posuwał się do środka! I od wschodu!

— Te syreny! Nie mogę tego dłużej wytrzymać! — Simone zasłoniła uszy rękoma.

— Wyłącznik — powiedział Pete.

Henri przełączył go. Dźwięk zanikł. Cisza jednak była gorsza niż hałas. Powietrze było jak próżnia. Houstona ogarnęło odrętwienie. Cztery punkty, osiągnąwszy jednakowy dystans od domku, zatrzymały się.

Promień świetlny krążył po ekranie. Punkty pozostawały w bezruchu, w idealnej symetrii.

— Co się dzieje? — zapytała Simone.

— Gdyby były jakieś okna, moglibyśmy zobaczyć.

— Bądźmy zadowoleni, że ich nie ma — wygadał się Henri. — Wszyscy bylibyśmy na muszce.

Dzięki Bogu, mamy stalowe ściany.

— Czy nie ma kamer telewizyjnych?

— Tak. Ale ten ekran. Jakieś zakłócenia. Coś interferuje z obrazem.

— Nie słyszę karabinów — powiedział Pete.

— Ci faceci dokładnie wiedzą, gdzie się zatrzymać. Nie zrobili tego błędu, by pchać się w pole obstrzału.

— I go nie zrobią — dodał Pete.

— Dlaczego jest pan tego tak pewien?

— Ponieważ wiedzieli, co robić do tego momentu. Są przygotowani. Wiedzą, czego się spodziewać.

— To niemożliwe.

— Ciągłe pan to powtarza. Niemożliwe. Ale to się stało.

— Patrzcie! — Simone wskazała na monitor. Południowy punkt ruszył powoli do przodu.

— Co z minami? |

— Musi być na drodze.

— A to skurwysyn. Pieprzony cwaniak. > •

— Pozostali stoją.

120

— Co będzie, jeśli wyłączą zasilanie?

— Nie mogą. Generator jest pod nami.

— Co, do cholery, ten skurwiel tam robi?

Houston wkrótce się dowiedział. Południowy punkt zatrzymał się nagle. Cisza przedłużała się i wtedy drzwi, przez które weszli, eksplodowały do wewnątrz.

34

Rozwalone, wyskoczyły z zawiasów na rozłożone dywany. Houston poczuł swąd kordytu, spalonego drewna i przegrzanego metalu. Zakasłał i nagle uzmysłowił sobie, że upadł na kolana. Przez chwilę, zdezorientowany, myślał, że znowu jest w Roncevaux w chwili eksplozji tamtego budynku.

To nie była żadna bomba.

— Rakiet! — wrzasnął Henn. Houston nie mógł go dostrzec w gęstym dymie. — Nie przejmują się karabinami! Wcale nie mieli zamiaru podchodzić tak blisko! — Henri krzyczał. — Zostaną wystarczająco daleko i wysadzą cały ten dom! Oni...

Drugi wybuch zagłuszył wszystko. Zachodnia ściana, gdzie Houston nalewał przedtem drinki, została zdemolowana, duże kawałki drewna wpadły do środka.

Simone zaczęła krzyczeć. Wschodnia ściana, ta, przy której stała większość przyrządów Henriego, eksplodowała do wewnątrz. Houston popchnięty przez cały ten złom upadł do tyłu waląc głową o podłogę. Zaplątał się. Po omacku wydostał się. Szukał Simone. Południowa ściana eksplodowała ponownie.

— Nie możemy tu zostać! — krzyknął Henri.

— Nie możemy stąd wyjść. Zastrzelą nas.

— Jest wyjście. — Głos Henriego był tak opanowany i stanowczy, że Houston spojrzał na niego, obawiając się, czy nie zwariował.

— Pomóż mi! — rozkazał Henri grzebiąc w rumowisku.

Houston otarł okopcone oczy. Zakłopotany przyglądał się szaleńczym ruchom Henriego. W dymie jawił się jak demon osłonięty czarnym strojem, broda czarna jak u szatana. Nagle Houston usłyszał ogłuszający wybuch gdzieś w sypialni. Usłyszał coś jeszcze, syk powietrza. Poczul ciepło.

Odwrócił się i ujrzał płomienie. Przeciwległa

121

strona pOlnieszczZenia stała w ogniu. Powietrze huczało jak burza, huragan.

\* mi! — krzyczał Henri.

posłuchał. Przełaził przez gruzy, kalecząc nogi na ostro ^i deSkach i szklanych skorupach potłuczonych monitorów. No^aeksplozja pchnęła go do przodu. Uszy miał tak obolałe, że nie słys4 TMkki ognia. Czuł jednak wzmagający się zar coraz bliższy, i4,,sy^niejszy. Dym przesłaniał Simone. Zakasłała. Znowu wybuch. Jwiatuiący odłamek rozciął jej ramię- Oc\*yśS rumowisko. Podnieść klapę i odsunąć. Tu musi byc to zejście.

He\*ri gadając na podłogę popchnął go do tyłu. Podmuchał przytkał H^ustonowi oddech. Kiedy go odzyskał, wciągnął w płuca dym. Zbuntowau, s,e zwymiotował.

He^i Łnak uporał się ^ klapą. Poprzez wirujący dym Houston e^"aw czemśc. Instynkt podszeptował ostrzeżenie. Nie,

Soębie cofnął się, odepchnięty przez okropną ciemność. igoczace wśród dymu płomienie pełzały w jego kierunku. Ubranie stawało s. rące. Włosy wydzielaly cierpki odór. — S^ybciej! — powiedział do niego Henn. H^uston schwycił Simone. ~ C^y jest tam drabina? — krzyknął. ~ Stonnie! Schody! — odkrzyknął Henn.

N^tlX eksplozja nie pozostawiła żadnych wątpliwości. Obejmuje Simo^enaHoUston nie bez obawy zaczął schodzić w ciemność. Od ra^TM nat^ na stOpień. Następny, gdy tylko opuścił niżej drugą nogę. ^ ^porządku! - powiedział do Simone. - Są bezpieczne. Nie obawia;

KWzowo zaciskała rękę na jego rannemu. Gdy po omacku dotkną Z2nni poczuł, jak się odpręża. Płomienie były ju\_z tak blisko że os^tlaTciemność pod nimi. Czując kwaśną wilgoć usłyszał warkot 2S. P^Przez ciemności spojrzał w róg, gdz,e pracował duży

Zszedł za nimi przyklepując tłące się ubranie. KLręcił się jak ^1 ZS^fflanie kurzu. Houston doskoczył do niego u owinawszy rękę zdj J błwskawicZnie koszulą zaczął dusić tłący się ogiaen. W końcu dał sie im. Henri postękiwał, pot zalewał mu czoło. Nic ci nie jest?

2

Henri nie odpowiedział, przymknął jedynie w bólu powieki. Odór przypalonego ciała przyprawiał o mdłości. Oddychał głęboko.

— Nie ma czasu. — Z trudnością utrzymywał się na nogach. Kiedy Houston ruszył mu na pomoc, Henri odsunął go. — Nie możemy czekać. Musimy się śpieszyć.

Spoglądając w górę, Houston ujrzał ogień wypełniający zejście. Przeciąg dał w stronę otworu. Płomienie lizały drewniane stopnie.

— Udusimy się tutaj.

— Nie, chodźcie za mną. — Henri pociągnął Houstona za rękę. Rzucił się w kierunku najciemniejszego rogu piwnicy i szarpnął za metalowe drzwi. Otworzyły się z trzaskiem. Ruszyli naprzód.

— To tunel. Ewakuacyjny. Pod wzgórzem, aż do ogrodzenia. Zaprowadzi nas do lasu.

Biegli. Houston zderzył się z przejmująco wilgotną ścianą. Kamień rozciął mu ramię. W panice poruszał się na ślepo.

Simone, ślaniając się i zataczając, opierała się na nim. Zaplątali się w ciemności, upadli na ziemię, a właściwie w błoto. Zjechali po mm na tyłkach. Buty Pete'a przemokły, a spodnie były zimne, uwalane błotem. Z trudem się podnieśli. Za sobą Houston usłyszał jeszcze dwie eksplozje, przytłumione przez dzielący ich dystans, poczuł fale uderzeniowe.

Biegł przed siebie, mając za sobą Henriego i Simone. Słyszał cmokanie błota w butach i swój paniczny oddech odbijający się od ścian tunelu.

— Zaraz skończą — odezwał się Henri z wysiłkiem w głosie. Wejdą przez drogę dojazdową. Przetrzęsą rumowisko. Zobaczą, którędy uciekliśmy.

Instynkt Pete'a ponownie podszeptował, ostrzegając. Było coś oczywistego, samo przez się zrozumiałego, coś, co przeoczył. Nie potrafił tego sprecyzować, wyjaśnić, lecz uparty instynkt nie dawał spokoju. Coś było nie tak. Na Boga, co to było?

— Wolniej — rozkazał Henri. Dogonił ich, starając się zatrzymać. — Poczekajcie chwilę. Houston stanął. Zatrzymał też Simone.

— Dlaczego? — zapytał Henriego.

— Dalej są drugie drzwi. Prawie do nich dotarliśmy- — Houston poczuł, jak Henri posuwał się powoli do przodu- Jeszcze osiem kroków. — Są tutaj. Znalazłem je.

123

— Wyprowadź nas stąd — prosiła Simone.

— Jeszcze kilka sekund.

Houston słyszał, jak Henri z trudem odsuwał rygiel. Coś stuknęło o metal. Henri złapał oddech i pchnął raz jeszcze.

— Prawie mam. Poszedł! — Osunął się na ścianę. — Jesteśmy bezpieczni.

Umysł Houstona ciągle ostrzegał. Coś jest nie tak. Poczuł, jak obok Henri szarpał za drzwi. Błede światło księżycy wnikało poprzez stopniowo powiększającą się szczelinę. Powietrze było słodkie i świeże.

— Dzięki Bogu — westchnęła Simone.

Houston widząc światło księżycy przenikające przez poplątane, zawałające wyjście gałęzie nabrał animuszu. Widział sylwetkę Henriego, który zabrał się do ich odgarniania. Nagle światło księżycy błysnęło jaśniej. Pete nigdy nie widział czegoś tak pięknego. Trzymając ciągle Simone i czując się jednocześnie wolnym zaczął tuż za Henrim wychodzić z tunelu. Jeszcze kilka kroków i będą całkiem wolni. Drzewa wynurzyły się tuż przed nim.

'Nagle odnalazł ostrzegającą myśl, ostrą, silną i natarczywą.

— Henri, zaczekaj. Jeśli wiedzieli wszystko o domku, ogrodzeniu pod napięciem, o minach, o karabinach maszynowych, jeśli wiedzieli, że będą potrzebowali rakiet, to wiedzą też o...

Strzał z lasu przerwał Houstonowi. Usłyszał, jak kula przewierciła Henriego. Poczuł rozpryskującą się krew. Henri wyrzucił ręce, ciężko łapiąc oddech. Skręcił się w konwulsji i upadł wprost na Houstona.

— Peter! — wrzasnęła Simone.

Houston nie mógł wydobyć słowa. Przerażony, wygrzebywał się spod leżącego na nim ciała. Nieświadomie podniósł rewolwer.

— Peter, powiedz coś.

— On nie żyje.

— Nie!

Houston zaciągnął ją w dół. Kolejna kula uderzyła w drzwi tuż nad nim, wywołując jęk metalu. Nagle dostrzegł błysk pomiędzy drzewami. Usłyszał strzał. Jeszcze jeden. Dostrzegł inny błysk. Oba odległe od siebie o dwadzieścia jardów.

Wyraźnie liczyli, że cofnie się do tunelu, że się tam ukryje, podczas gdy inny napastnik zajdzie tunelem z drugiej strony. Nie strzelali dokładnie. Zmuszali go do odwrotu.

124

Nie możemy się cohać i na pewno, do diabła, nie możemy zostać tutaj — pomyślał.

Wściekłość osiągnęła szczyt. Panika zmieniła się w opętanie, desperację.  
Dostrzegł kolejny błysk wystrzału. Strzelił również. Wstał i skoczył do przodu.  
— Peter!

Nie słuchał jej. Posuwał się dalej, tam gdzie widział błysk wystrzału. Strzelił i usłyszał jęk. Skręcił. Dojrzał błysk z lewej strony, lecz dalej parł w stronę jęku, który usłyszał. Przeskoczył jakiś pniak i biegnąc zygzakiem ukrył się za drzewem. Strach wyostrzył każdy zmysł. Widział tak, jakby noc była dniem. Uszy, mimo znoszonych cierpień, nastroiły się perfekcyjnie. Usłyszał przed sobą jęk. Coś się poruszyło w gąszczu. Jakaś zgarbiona postać trzymająca się za zranione ramię. Na twarzy wyraz niedowierzania. Młody człowiek o gładkich policzkach błagał.

Houston wystrzelił prosto w czaszkę.

Dźwięk był okropny. Wysadzone ciało i kości, głuchy huk, dziwnie mokry, cała siła wystrzału wyzwoliła się w tym uderzeniu.

Houston odwrócił się przyprawiony o mdłości. Upadł, uderzając się o coś, po czym zaczął się czołgać. Wystrzelił drugi napastnik. Usłyszał, jak pocisk grzmotnął w drzewo. Zerwana kora fruwała w powietrzu z trzaskiem opadając na stare, zeschnięte liście.

Czołgał się dalej. Stoczył się do rowu. Zatrzymał się.

Leżał w wodzie. Naga skóra ściągnęła się od wilgoci i zimna.

— Peter! — krzyczała Simone. Jej krzyk mógł odwrócić uwagę napastnika. Krzycz dalej, prosił po cichu.

Przeciskał się wzdłuż strumienia. Hałas, jaki przy tym powodował, ginął w szumie wody ophikującej kamienie i leżące wszędzie gałęzie.

Krzycz.

Piętnaście jardów, dwadzieścia. Z przemoczoną piersią wygrzebał się na stromy brzeg. Poprzez labirynt drzew i krzaków rozglądał się w ciemności.

Błoto przykleiło się do jego piersi. Zacisnął rewolwer. Ile naboji zostało? Odliczył wstecz i wyszło mu, że trzy.

Usłyszał krzyk Simone: — Peter! — Dostrzegł ruch obok drzewa. Tuż przed sobą. Jakiś człowiek obejrzał się w kierunku krzyczącej Simone.

125

Houston wycelował.

Wspierając łokcie na ziemi wstrzymał oddech. Ścisnął p orawy nadgarstek usztywniając rewolwer. Lufa kołysała się.

Nie! Przymykając oczy koncentrował się. Nie! Stracił siły. Ręc ^^e mu opadały.

Pot zalewał oczy. Cała pierś dygotała uderzając o ziemię.

Postać wysunęła się poza obrys drzewa.

Houston pociągnął spust, szarpnął nim odrzut. Oszołomijony, słaniał się na nogach. Buty pośliznęły się na liściach. Upadł. Cz-z^;ołgał się. Gramolił.

Postać poruszyła się. Houston znowu pociągnął za spust. k-^^/Ietal \rzasał o metal. To wszystko. Boże, nie ma naboji!

Ale tamten był ranny. Houston dopadł go uderzając byZ^kiem w pierś. Upadli obaj.

Houston grzmotnął uzbrojoną w pusty rewolwer pięścią najmoc^cniej, jak potrafił, potem jeszcze raz i jeszcze. Uderzył rękojęścią rewolv-«»veru. Dołożył. Nie mógł się powstrzymać. Nie mógł, nie chciał poham~ować swej wściekłości.

Jego ciało zmęczyło się szybciej niż dusza. Ręka stała się ^^słaba i ciężka. Rewolwer wypadł pomiędzy rozluźnionych palców. OOpadł na leżące pod nim ciało. Kiedy zobaczył jego twarz, kiedy uświad—Bomił sobie, co zrobił, z piersi wyrwał mu się jęk, głęboki, przyprawiana]ący o mdłości szloch. Zwymiotował, obejmując swą pokrwawioną i izjubło-coną twarz.

— Jezu — wyszeptał — wybacz mi.

35

— Żyjesz! — Simone wyszła z tunelu.

Houston szedł w jej stronę zataczając się w ciemności. Zanosila się płaczem, przytuliła się.

— Tak się o ciebie bałam. Ciągłe drżąc, pocałował ją.

— Jesteś ranny? — zapytała.

— Ramię.

126

Krew kapiała na ziemię.

— Musimy się stąd wydostać — powiedział. — Ci pozostali musieli słyszeć strzały.

Spojrzał ponad wyjściem z tunelu w kierunku pożaru na wzgórzu.

— Zaraz tu będą — odezwał się. Wskazał na las. — Szybko. Zaczęli biec ogarnięci panicznym strachem. Bolało go całe ciało.

Wpadł w zarośla. Przed nim rozciągała się ciemność. Las rzedniał.

— Musimy znaleźć drogę — powiedziała.

W którą stronę? — pomyślał. Stracił poczucie kierunku. Nie potrafił określić, gdzie jest droga.

Chyba gdzieś po przeciwnej stronie wzgórza, zastanawiał się. Nie mogli zawrócić. Usłyszeliby ich.

O ile się jednak orientował, powinna być przed nimi.

Biegając usłyszał szum wody. Rzeka. Houston ujrzał, jak wynurzyła się pomiędzy krzakami.

Straciwszy równowagę o mało nie upadł. Simone przytrzymała go. Oddychając chrapliwie, spojrzał na odbijające się w falach światło księżyca.

— O Boże, wpadliśmy. — Rzeka kipiała, tworząc na czarnej toni białe czapy. Żołądek Houstona skurczył się ze strachu. Było mu zimno, objął się rękoma.

— Będziemy musieli biec wzdłuż brzegu — powiedziała. — Ale oni się rozdziela. Pójdą każdą drogą i odetną nas.

Houston walczył z myślami.

— Przepełniemy. — Zmusił się, by to powiedzieć. Spojrzała na niego.

— To nasza jedyna szansa.

— Prąd jest za silny. Utoniemy — odpowiedziała.

— Jeśli nas znajdą, zabiją. Nie ma innego wyjścia. Zaprzeczyła stanowczo, kręcąc głową.

— Musimy zaryzykować — nalegał.

— Twoje ramię.

— Nic na to nie poradzę. Tracę za dużo krwi. Znowu pokręciła głową.

Pogrzebał przy spodniach i wyciągnął pasek.

— Trzymaj, zapnij go ciasno dookoła ręki. Ja będę trzymał z drugiej strony. Musimy być razem.

— Pełen obaw badał nurt rzeki. — Nie ma co się zastanawiać.

Pasek naprężył się, zaczęli schodzić w głąb rzeki. Porwał ich prąd,

127

obracając swą siłą. Ścisnął pasek, czując, jak się napręża, kiedy Simone zaczęła mu gdzieś uciekać w bok. Pociągnął, by ją przytrzymać. Jego twarz znalazła się pod wodą. Kaszląc, wydostał się na powierzchnię.

Nigdy nie zaznał tak paralizującego zimna, tak mrożącego ciśnienia. Słyszał jęk i ryk rzeki i w tym momencie uświadomił sobie, że to on sam jęczał, w miarę jak dookoła narastała kipiela.

Coś go uderzyło po żebrach. Nieomal wciągnęło w głąb. Gdy przepływało obok, zauważył sękaty konary, za późno jednak zrozumiał, że mógł je wykorzystać jak pływaki. Wyciągnął się i wyprężył, by ich dosięgnąć, lecz odpłynęły ginąc w ciemnościach. Simone szamotała się tuż za nim.

Zaraz zginę, pomyślał. Znowu był w swoim samochodzie, próbował wydostać się przez okno i kiedy szarpał się, płuca eksplodowały, umysł począł gasnąć.

Nie miał już sił, by walczyć dalej. Zranione ramię już zawodziło, unosił go prąd. Jan nie żyła.

Wkrótce umrze i on. Nadzieje ulatywały, ostatnie iskierki zgasły. Poddał się — i obudził, kiedy Simone pociągnęła za pasek.

— Płyn — rozkazywała.

— Nie mogę. Nie mam sił. Płyn beze mnie. \*— Nie! Już blisko!

Nie był pewien, czy dobrze słyszał.

— Co?

— Brzeg. Już prawie jesteśmy!

Houston gapił się osłupiały. Ciemne kształty. Niezgrabne cienie. Sylwetki drzew, wzgórz i...

— Jezu — westchnął.

Nowy przypływ sił wywołał zdumienie. Szalone pragnienie życia wypełniło każdą część jego ciała. Szarpnął się w kierunku brzegu i kiedy dotknął błotnistej dna, zaczął krzyczeć z radości.

— Jesteśmy! Udało się!

Przebrnął przez błotnistą wodę i rzucił się na brzeg. Spoglądał w gwiazdy, widział księżyc.

Dziękował mu.

— Jesteśmy bezpieczni — powiedział do Simone, podniecenie ogrzewało jego zdrętwiałą twarz.

— Nigdy nas nie znajdą. Nawet jeśli spróbują przepłynąć, nie będą wiedzieli, gdzie wylądowaliśmy, jak daleko zniósł nas prąd, a już na pewno, zanim się stąd ulotnimy.

128

r

Próbował wstać, lecz nie miał sił.

— Odpocznij — powiedziała.

— Jesteśmy przemarznięci i mokrzy. Jeśli nie znajdziemy jakiegoś schronienia i nie wysuszymy się, to przemarzniemy na śmierć.

Nagle usłyszał odległy warkot, silnik ciężarówki. Za sobą. Zza drzew. Ciężko oddychając, podniósł się na nogi.

— Szybko — powiedział.

— Tu dookoła muszą być jakieś farmy. Może uda nam się dostać do telefonu. Zadzwońmy do Bellaya.

Znieruchomiał.

— Nie. Nie możemy.

— Ale on nas ochroni.

— Czyżby? Ktoś wiedział! Bellay wszystko zorganizował! To on nas tam wysłał! Zaatakowali domek, jak tylko przyjechaliśmy!

— Zastawił na nas pułapkę? Bellay?

— Pewne jest, do cholery, to, że ktoś to zrobił! Kto wiedział, gdzie się ukryliśmy?

— Ale Bellay — nie widzę, dlaczego miałby...

— Jeśli dla nich pracuje, jeśli jest z nimi powiązany! Jęknęła. Jej oczy były kompletnie pozbawione wyrazu.

— Powiedz, że to nieprawda.

— A jaka może być inna odpowiedź? Wysłano nas tam na śmierć! Usta zaczęły jej drżeć.

— W takim razie nie ma nikogo, kto mógłby nam pomóc. Nie mamy szans.

Przyciągnął ją do siebie. Mokre ubranie przylgnęło do niego. Wyczuwał jej udręczenie, jej całkowite załamanie.

— Nie — odpowiedział. — Jest jeszcze ktoś, komu możemy zaufać.

Cześć IV

36

...jy obfze. Nie powinien się tak spóźniać — powiedział Houston. Kawiarnia zaludniała się. Oboje, pełni obaw, czekali wewnątrz

narożnego segmentu małego obok ławki? dost?P do tylnego wyjścia-7an^nt<iPni sączyli wino.

Słyszeli monotony pomruk rozmów, w miarę jak pomieszczenie wypełniało się w porze lunchu. W końcu nie było wyboru. Stwierdził, że muszą wyjść.

— Nie czekaj jeszcze chwilę.

...j^j 'możemy sobie pozwolić na takie ryzyko — odpowiedział. —

Może jego telefon był na Podłuchu- Moze rozmawiał... z nimi wszystkimi A jeśli Jeden z nich Jest tutaj> by nas załatwić?

— Mówisz tak Jak ja wczoraj.

— Nie rozumiem,,.

... Mówiłeś, że jeśli i on jest przeciw nam, to jesteśmy skończeni.

Kiedy powiemy sobie' że żadne miejsce nie Jest bezpieczne, to Verlaine nas ma Będziemy

sparaliżowani. Nie możemy na to pozwolić. Czekaj i miej nadzieję-  
Przyglądał się jej badawczo.

— Jsfie wiem, co bym bez ciebie zrobił.  
— choler^ ^e™em' co by^ zrobił beze mnie.

Nie był to Je(lnak głos Simone- Był to głos mężczyzny. Houston odwrócił się zaskoczony. Zza ieeo plecoW wyłonił się Andrews: krótko ostrzyżony, z kwadratową szczęk, muskularny- stał nieruchomo, ubrany w koszulę z epoletami co powodowało, że wyglądał, jakby ciągle był w armii. Houston opadł na krzesło.

130

— Które dy pan wszedł?

— Od tyłu. Dlatego się spóźniłem. Musiałem się upewnić, że ritikt za mną nie idzie. Sprawdziłem mój telefon. Nie jest na podsłuchu. — Na jego surowej twarzy widać było zakłopotanie.

Zamyślony, odłożył na stół papierową teczkę, wysunął krzesło i usiadł wyprostowany, jakby kij połknął. — Wyglądacie okropnie. Kiedy dzwoniliście w nocy, nic nie chcieliście powiedzieć. Co się, do diabła, stało?

Houston opowiedział.

Skończył na tym, jak starszy gość zdezelowanym samocho<Uesm zabrał ich po drodze. Uwierzył w ich historyjkę o wypadku i zawiiozł do najbliższej wsi. Tam, gdy tylko zniknął im z oczu, zapłacili jakiiii-muś pijakowi, by zawiózł ich do następnej wsi.

— Znaleźliśmy lekarza. Kupiliśmy ubrania. Spędziliśmy m;usę czasu w pociągach i autobusach.

— I po tym wszystkim ciągle macie nerwy, byście się ze rnierną spotkać właśnie tutaj? W publicznym miejscu?

— Liczyliśmy, że nie będą próbowali zabić nas tak przy ludzi«d:h. Za dużo świadków.

— Z tego, co mówicie, ci faceci nie wyglądają mi na nieśmiafyoclh.

— Ładne dzięki. Tego właśnie potrzebuję. Psychicznego wsparra.

— Verlaine i Charon? Coś białego?

!— Wiem. Nie ma w tym zbyt wiele sensu.

— To tak jak z kamieniem rzuconym do stawu. Fale zatacaają coraz szersze kręgi.

— Czy przyniósł pan numery? — zapytał Houston. Andrews badał go wzrokiem.

— Jest pan zdecydowany ciągnąć to dalej?

— Bardziej niż kiedykolwiek. Czy mamy inne wyjście? AJboo będziemy czekali, aż nas dopadną, albo sami odkryjemy prawię i staniemy do walki.

Andrews westchnął.

— Mam te numery. — Sięgnął po teczkę leżącą na stole. J«j!jo palce dotykały jej niechętnie. — To było trudne. Musiałem wykorzystać stare zobowiązania, jakie mieli wobec mnie. Ponadto sam musiałrarm zgodzić się na wiele nowych. Straciłem kilku przyjaciół w Wywiaćtoie Wojskowym. W końcu jednak ich przekonałem. Wahali się, czy wy«U»-stać te numery bez pozwolenia od... Ciągłe pan nie ufa francuskikn urzędnikom?

1311

— Ufałby im pan na moim miejscu? Miejscowym policjantom czy też agencji Bellaya?

— Biorąc pod uwagę to, co się stało, nie.

— Numery — powtórzył Houston.

Andrews spojrział na teczkę. Zastanawiał się, z obawą dotykając pieczęci.

— Jesteście pewni, że nie powinniście się raczej gdzieś ukryć? — zapytał. — Wywiad sugerował

— nie, nalegał, byście trzymali się z daleka, dopóki nie zbadają sprawy.

Houston sięgnął po teczkę.

Andrews sam złamał pieczęć. Wyjął kartkę papieru.

— Pani ojciec wykonał trzy telefony — powiedział zwracając się do Simone. — Zamiejskowe, tak jak się domyślaliście. Numery zostały zarejestrowane w komputerze centrali telefonicznej. Do hotelu przyjdą rachunki. — Podał kartkę Simone. — Tu są. Numery i kraje. Nie wiem, czyje są te numery, ale już same kierunki mogą mieć pewne znaczenie. Najpierw Francja, potem Anglia i w



końcu Stany.

Pete poczuł chłód.

— Stany?

— Może pański ojciec — powiedział Andrews. — Właśnie dlatego zastanawiałem się, czy rzeczywiście jest to konieczne. Sekrety dzieciństwa są najlepsze takie, jakie są.

— Myli się pan — powiedział Pete. — Co w ogóle ma znaczenie, jeśli są nieprawdziwe?

— Mam nadzieję, że ma pan rację. Nie mogę wam już więcej pomóc. Dostałem rozkaz z wywiadu, by się w to nie mieszać. Od tej chwili jesteście sami... I coś jeszcze. — Ociągając się Andrews sięgnął do teczki i wyciągnął pierwszą stronę paryskiej gazety. — Widzieliście to?

Houston skinął głową.

— To o tym, co się wydarzyło w domku myśliwskim. Żadnej wzmianki o tych dwóch, których musiałem... — Houston przełknął coś cierpkiego. — Ale o nas wspomnieli. Policja uważa, że to my jesteśmy odpowiedzialni za śmierć francuskiego tajnego agenta. Dzięki Bellayowi poszukują nas. Nie zginęliśmy i wobec tego sądzą, że to my jesteśmy sprawcami. Jeśli dorwę tamtych w swoje ręce... — Houston zamarł w bezruchu. — Zrobili mi coś jeszcze.

132

— Co takiego?

— Zmusili do zabijania. Pokazali coś, czego nigdy nie chciałem w sobie zobaczyć.

— Ale to w obronie własnej...

— To bez różnicy — powiedział Houston. — Zabiłem dwóch ludzi. Ja... — Zauważył, jak siedzący dookoła ludzie obrócili się w jego stronę. Opuścił wzrok, spoglądając na pozostawione przez kieliszki okrągłe, mokre ślady na stole. Ślady te raptem przekształciły się w zmasakrowane twarze człowieka, którego zabił. Otrząsnął się. — Nie potrafię tego robić — ciągnął dalej, zniżając głos. — Zadziałałem instynktownie. No, w moich książkach też są gwałtowne sceny, nawet badałem to zagadnienie, rodzaje broni, czy coś w tym rodzaju. Ale teraz to było naprawdę, i byłem w tym niezły. Poradziłem sobie z zawodowcami. Próbuję sobie wytłumaczyć, że to tylko szczęśliwy zbieg okoliczności. Wiem jednak, co czułem. Mam chyba do tego powołanie. Nie chcę myśleć o następstwach.

Houston był spięty. Poczul na dłoni uścisk Andrews.

— Wiem, co to znaczy — powiedział. — Byłem w Wietnamie. Było kilku takich w moim oddziale, którzy potrafili zabić i nie przejmować się tym. U mnie to zawsze wywoływało nocne koszmary. — Obaj zamilkli. Andrews ścignawszy usta przypominał sobie tamte chwile. — Oto dlaczego jestem tam, gdzie jestem. Na cmentarzu. To pokuta. Powiem panu, jak to jest. Człowiek, który zabija, nie przejmując się tym, jest gównem wart. Lecz ten, kto musi zabić i tego nie robi, mój przyjacielu, jest tyle wart co trup.

Pete uważnie spojrział w jego oczy, zamyślił się, po czym przeniósł wzrok gdzieś w dal.

— Kłopot w tym, że ja chcę zabijać — powiedział. — Chcę, by zapłacili za to, co zrobili mnie, Janice, Simone. Dlatego się martwię. — Znowu spojrział na Andrews. — Jestem wściekły i jednocześnie boję się. Ponieważ zabiłem dwóch, być może następnym razem będzie łatwiej.

Andrews nie poruszył się. Po prostu patrzył. Próbował go ponownie oszacować. Kiedy w końcu się odezwał, jego głos był pełen respektu.

— To może ma pan szansę.

133

37

Pete odwiesił słuchawkę i wyszedł z oszklonej kabiny. Ręce miał spocone. W tym ogromnym, ruchliwym pomieszczeniu — centrum telefonicznym Paryża — wszystkie ściany zastawione były podobnymi kabinami. Za kontuarem, w środku pomieszczenia, urzędnicy przyjmowali zamówienia od wielu ludzi, głównie turystów, którzy zjawili się tutaj, by odbyć międzynarodowe rozmowy. Dookoła panował gwar. Odpowiadało to Houstonowi, ponieważ czuł się w nim bezpieczniej. Jeszcze raz przeczytał kartkę papieru, którą dostarczył mu nad-intendent. Trzy zwykłe numery. Telefony we Francji, Anglii i w Stanach.' Ręce nadal mu drżały. Tuż obok usłyszał trzask

otwieranych drzwi kabiny telefonicznej. Wyszła z niej Simone z zaniepokojoną i zamyśloną miną.

— Dodzwoniłaś się? — zapytał. — Rozmawiałaś z kimś?

— Tak. — Jej głos wyrażał zdziwienie. — To nie jakieś biuro, tu w Paryżu. To mieszkanie. Le Blanca. Francois Le Blanca.

Nie potrafił ukryć szoku, jakiego doznał. Spojrzała na niego.

— O co chodzi?

— Zaraz ci powiem. To musi mieć jakieś znaczenie. Co powiedział?

— Nie rozmawiałam z nim. Nie ma go. Odebrał służący.

— Szybko wróci?

— Nie. Dwa dni temu nagle wyjechał. W interesach, na spotkanie w jego wiejskiej rezydencji.

— Dwa dni temu? To wtedy twój ojciec do niego zadzwonił.

— Myślisz, że tego nie pamiętam?

Badał ją spojrzeniem — strach, napięcie w oczach. Ujął ją delikatnie.

— Spokojnie. Nielatwo ci to przyjąć. To trudne dla nas obojga. Musimy jednak znaleźć odpowiedzi.

— Musimy odnaleźć mojego ojca. Jeśli próbuje mnie osłonić, jeśli zadzwonił do Le Blanca, chcąc zatrzymać to, co się dzieje, to też jest w niebezpieczeństwie. Jego mocodawcy będą podejrzewali go o brak lojalności. Nie może być jednocześnie wierny Verlaine i mnie.

— Myślę, że teraz jesteśmy mu bliżsi. Spojrzała na niego niecierpliwie.

— A twoja rozmowa?

— To numer w Londynie. Też domowy. Nazwisko brzmi Jules

134

Fontaine. Nie było go. Sekretarka powiedziała, że dwa dni temu musiał wyjechać. Pilne spotkanie w interesach.

— Tu, we Francji?

— Zgadłaś.

— Więc ojciec jest razem z nim i z Le Blankiem!

— Miejmy nadzieję — powiedział Houston. — Układanka jest prawie skończona. Jeszcze jeden kawałek.

W kabinie, z której Houston właśnie wyszedł, odezwał się telefon.

— Stany — powiedział. — Prosiłem urzędnika, aby zaraz po poprzedniej rozmowie łączył następną. Nowy Jork. — Wszedł do kabiny, tam gdzie z obawą, ale i nadzieją miał usłyszeć głos swego ojca. — Halo — powiedział. Coś trzasnęło na linii. Houston podniósł głos, usiłując w ten sposób pokonać dystans. — Nazywam się Victor Corrigan — zaczął. — Ktoś zostawił wiadomość i ten numer mojej sekretarce. Zdaje się, że miałem zadzwonić, choć nie jestem pewien, po co.

Wiadomość jest niejasna.

Odezwał się głos kobiety około pięćdziesiątki. Wyraźnie z wyższych sfer, dystyngowany, jak gdyby wykształcenie odebrała w małym, ekskluzywnym college'u w Nowej Anglii.

— Victor Corrigan? Proszę mi wybaczyć. Nie sądzę, bym znała pańskie nazwisko. — W jej intonacji tkwiła niepewność. Houston domyślał się, że usprawiedliwiała się w ten sposób.

— To rzeczywiście kłopotliwa sytuacja — powiedział. — Mam nową sekretarkę. Przez cały tydzień robi różne pomyłki. Będę zmuszony ją zwolnić.

— Nie, to przykre. Proszę, jeśli to interesy, to wiem zbyt mało, by panu pomóc. Powinien pan porozmawiać z mężem.

— Jest tam? Pewnie będzie wiedział, o co chodzi.

— Nie. Wyjechał dwa dni temu. Jest w górach. Houston czuł przeszywające go podniecenie.

— W takim razie zadzwonię za jakiś czas. Przepraszam za... nie, proszę, jedną chwileczkę. Jedno pytanie, jeśli pani pozwoli. Moja sekretarka jest tak roztargniona. Czy mogłaby pani powiedzieć mi, jak brzmi nazwisko pani męża, sprawdziłbym w swoich dokumentach. Może znalazłbym powód tego...

— Oczywiście. — Wyraźnie jej ulżyło. — Rzadko mam okazję, by pomóc. Nazywa się Paul Dassin.

— Powiniennem rozpoznać ten numer. Verlaine Enterprises.

135

— Niestety nie. Nigdy nie słyszałam o Verlaine Enterprises. Hawthorne Imports.

Houston zmarszczył brwi.

— Pomyliłem się. Czasami mi się mieszają. Nie chcę pani dłużej zatrzymywać. Proszę przekazać Paulowi moje pozdrowienia. Góry Skaliste są wyjątkowo atrakcyjne na wiosnę. Jak będzie miał szczęście, to może jeszcze pojeździ na nartach.

— Nie w Górach Skalistych.

— Proszę?

— W Alpach, młody człowieku. Wyjechał do Francji. Houston obawiał się mdłości. Oparł się o szklaną ścianę kabiny,

dziękował jej, przeproszał, w końcu niezdarnie odwiesił słuchawkę. Pociągnął drzwi. Simone wpatrywała się w niego, zaskoczona oszołomionym wyrazem jego twarzy.

— Co jest?

— Nie wiem. Ja... — Houston widział jej twarz jakby za ulatującą mgłą. — Wyjechał dwa dni temu. W Alpy. Tu, we Francji.

Gwar pomieszczenia odbijał się echem w jego głowie.

— Zebrali się razem — powiedział szybko. — Wszyscy. Mój ojciec. Paul Dassin. — Uchwycił się drzwi kabiny, aby się oprzeć.

— Co?

— To jego nazwisko, tak jak i pozostałe — Francois Le Blanc i Jules Fontaine — jest francuskie. Założyliśmy, że wszyscy byli uciekinierami z oddziału mego ojca. Ale nie mogą być wszyscy potomkami francuskich emigrantów.

— Mogli zmienić nazwiska. — Houston potakiwał głową. — Mogli przyjąć nową tożsamość. To możliwe. Ale po co?

— Le Blanc.

Spojrzał na nią zaskoczony, wykrzywiając jednocześnie twarz.

— Kiedy wypowiedziałam to nazwisko przed chwilą, coś się stało na twojej twarzy — powiedziała. — Oczy się zmieniły.

— Ponieważ jesteś Francuzką, nazwiska wydają ci się typowe, normalne. Mnie język sprawia kłopoty. Wszystko, co słyszę po francusku, automatycznie tłumaczę na angielski.

— Co to ma wspólnego z...

— Powiedz, co jego nazwisko oznacza po angielsku.

— Co? Le Blanc? No, „blanc” znaczy... — Zatrzymała się nagle, zaczynając rozumieć.

136

— „Blanc” znaczy biały — powiedział do niej. — W twoim pokoju, kiedy ten człowiek umierał, myślałem, że przeszedł na francuski, więc przetłumaczyłem to, co mówił.

Przekazywał mi nazwisko. Nie powiedział „biały”. Powiedział „Le Blanc”.

— Verlaine i...

— Teraz wiemy, kim są ci dwaj. Ale kto lub co to jest Charon?

38

Houston drżał z zimna na zatłoczonej paryskiej ulicy. Niebo było zachmurzone, ściemniało się. Powiał lekki wiatr, zimny i wilgotny. Ściągnął mocniej swoją sportową marynarkę, zapiął guzik. Znajdował się w pobliżu biurowców z butikami i kwaciarniami usadowionymi wzdłuż chodnika. Późne popołudnie; pracownicy zaczęli mrowiem opuszczać budynki. Houston spojrzał na drugą stronę ulicy i dostrzegł reklamę: LE MCDONALD'S, która, jak przypuszczał, musiała być czymś żartem.

Poczuł kroplę deszczu. I jeszcze jedną. Ciemne plamki rozpląszczały się na chodniku. Czuł już deszcz na nosie i rękach, przesiąkał przez marynarkę. Gdyby burza była silna, nie mógłby tak stać na zewnątrz i czekać na Simone. Jeśli odejdzie, chowając się przed deszczem, być może przejedzie obok, w ogóle go nie zauważając. Szukał jakiegoś schronienia, gdzie mógłby być widoczny. Jakiś baldachim, jakieś wejście.

Nie powinniśmy się rozdzielać, pomyślał. Nigdy nie powinniśmy się rozłączać.

Z lewej strony, o pół bloku dalej, dostrzegł ciemnoniebieską furgonetkę. Przyglądał się jej poprzez siekający gwałtownie deszcz, próbując dojrzeć kierowcę. Zauważył ruch w środku, podbiegł w tamtą stronę. Deszcz przenikał nowo zakupione buty i skarpetki.

Błysnęły światła. Houston dopadł furgonetki. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wgramolił się do środka.

— Niepokoilem się — powiedział.

— W jednym miejscu nie mieli furgonetek do wynajęcia. W drugim było zamknięte. — Simone otarła krople z jego czoła.

— Użyłaś prawa jazdy ze Stanów? Twego małżeńskiego nazwiska, gdy wypożyczałaś wóz?

137

Skineła głową.

— Policja nic nie wie o tym nazwisku. Nigdy nie skojarzą nas z tą furgonetką.

Spojrzał za nią na tylny przedział samochodu.

— Masz śpiwory? Jedzenie? Potwierdziła, kiwając głową. -

— Mamy wszystko.

Włączyła wycieraczki. Houston widział przed nimi ruszające powoli samochody.

— Gdzie teraz? — zapytała. — Wierny tylko tyle, że są w Alpach, w wiejskiej rezydencji należącej do Le Blanca. Nigdy ich nie znajdziemy.

Houston wyciągnął z kieszeni folder.

— Nie. Kiedy byłaś w wypożyczalni, ja odwiedziłem brokera. Udałem, że chcę kupić trochę akcji Verlaine. Dał mi to. — Folder był reklamówką Verlaine. — Skoro Le Blanc twierdzi, że jest w Alpach, w interesach, domyśliłem się, że jego wiejska rezydencja jest, prawdopodobnie, zapisana jako własność Verlaine, a nie na jego nazwisko. W ten sposób omija podatki. — Wzruszył ramionami. — Zadzwoiłem więc do Verlaine. Le Blanc oczywiście wyjechał. Jego sekretarka powiedziała, że w Alpy, w interesach. Naturalnie nie zostawiłem jej swego nazwiska. Była jednak bardziej precyzyjna niż tamten służący, w domu. Jest w ośrodku wypoczynkowym dyrekcji firmy.

— To nam nie pomoże.

— Właśnie, że pomoże. — Podał jej folder. — Masz.

Z pokrytej zielenią doliny, patrząc w górę poprzez potężne jodły, mogli zobaczyć wieżyczki, balustrady i baszty starego zamku, szarego na tle pokrytych śniegiem gór. Poniżej zdjęcia widniał napis: Centrum Szkoleniowe Verlaine, ośrodek wypoczynkowy dyrekcji.

Zwrócił się do niej:

— Tam. Tam znajdziemy twojego ojca. I mojego. I wszystkie odpowiedzi. W tym alpejskim zamku.

Simone prowadziła w kierunku większej ulicy wiodącej poza Paryż. Houston wyczuwał jej podniecenie.

— To nie wszystko — powiedział. — Jest też inna zbieżność. Broker powiedział, że Verlaine zaczynał w pięćdziesiątym roku. W tym roku spłonął wasz ratusz. Akta zostały zniszczone.

— Myślisz, że to była przyczyna.

138

— Żeby spalić akta zgonu. Sama powiedziałaś, że ci żołnierze, którzy zniknęli, musieli przybrać nowe nazwiska. Użyli nazwisk dzieci, które zmarły w St. Laurent. Twój ojciec wyszukał nazwiska — bez wątplenia spośród rodzin, które zginęły w czasie wojny. W ten sposób rodzice nie mogli mieć pretensji: „nie jesteście naszymi synami, nasi nie żyją”, ponieważ sami także nie żyli. Twój ojciec musiał wykonać całą tę papierkową robotę. Zdobył paszporty, świadectwa urodzenia, a potem podpalił ratusz, tak by nikt nie odkrył, że nazwiska te należały do dzieci, które zginęły.

— Bóg wie, co jeszcze ojciec dla nich zrobił.

— Najważniejsze, że wiemy, dlaczego ci faceci mają francuskie nazwiska.

— Nie. Wiemy, jak to zrobili — powiedziała. — Nie dlatego. Ciągłe nie wiemy, co ich do tego zmusiło.

— Już niedługo — powiedział. Ponuro wpatrywał się w burzę.

— Ach, oui. Je le connais — powiedział młody człowiek przy dystrybutorze, zadowolony, że może w czymś pomóc. Miał na sobie kombinezon z jasnoszarego materiału, wskazujący na niedawne pranie, lecz na piersiach, kolanach i rękawach sztywny od oleju i piasku.

Stacja serwisowa w pobliżu Grenoble. Jechali nocą, prowadząc i drzemiąc na zmianę.

Zatrzymywali się jedynie po to, by zatankować, coś zjeść, skorzystać z łazienki. Najpierw pokonali południowo-wschodnią autostradę z Paryża do Lyonu, a potem pojechali prosto na wschód, w kierunku gór. Kiedy weszło słońce, świecąc wysoko nad nimi, sądzili zrazu, że widzą postrzępione chmury, rozciągnięte na tle nieba. Dopiero po chwili, zaskoczeni, zorientowali się, że to, na co patrzyli, to jasny śnieg na górskich szczytach, cudowny, zapierający dech w piersiach blask.

Przez cały ranek zatrzymywali się w piętnastu różnych miastach, pytając o widok z fotografii, lecz nikt nie potrafił rozpoznać zamku. W miarę jak góry wylaniały się coraz bliżej, Houston — znużony, odrętwiały i głodny — poczuł w końcu zniechęcenie. Sądził, że zamek był bardzo charakterystyczny, dobrze znany ludziom mieszkającym w jego okolicy. Teraz zwątpił.

139

— Cholera, to beznadziejne. Myliłem się. Nigdy nie znajdziemy tego r\*ueJsc-

głowa młodego pracownika stacji, rozpoznającego fotografię, podziwiała Jak Prad elektryczny.

— Co? — zapytała Simone. — Wie, jak go znaleźć?

Oczy chłopaka jaśniały z zadowolenia, że nie zawiódł Houstona. Jśmiechnął się szeroko, wskazując, ponad zamkiem w Grenoble, w kierunku niewyraźnego punktu na linii drzew, u podnóża odległego

szczytu-

X^k blisko i tak daleko. Zmysły Houstona robiły dziwne psikusy.

Jego wyobraźnia powiększała punkt. Linia drzew zdawała się zbliżać ku rńerau- By odgonić przyprawiającą o mdłości iluzję, odwrócił się do Simo^e- Jej policzek znalazł się tuż przy nim, gęste włosy spływały poniżej ramion. Natknął się na przeczesujące włosy palce.

— ^- Tylko chciałem się upewnić, że jesteś przy mnie — powiedział, gdy SPoJrza^a na niego zaskoczona. — Przez chwilę zwątpiłem. We Wszystko. — Poszedł po mapę samochodową. — Może nam pokazać, jak znaleźć to miejsce.

;>. Jak to daleko? Musi być ze dwadzieścia pięć kilometrów.

— ^~ Może więcej. Te góry mogą ogłupić. Powodują wrażenie, że O(Uegłości wydają się mniejsze.

^- O tym samym myślałam. Jeśli możemy dostrzec zamek z tak daleka>to Jak cholernie duży jest naprawdę? Z bliska musi być ogromny.

\VTcrótce się przekonali. Młody człowiek przekazał im wskazówki z maP4 i pojechali na wschód od Grenoble, wyżej w góry, P° okolicy. Samochód rzeził coraz bardziej na niskim biegu. j^je

się wzdłuż tras kolejki górskiej, wijących się poprzez

zakLZane> granitowe przesmyki, rozrzedzający się ku górze jodłowy las w stronę szarych skał i śniegu. Powietrze ochłodziło się. Mijali kask^ami spływające strumienie i strome urwiska.

Spoglądali w dół, w kierunku lasów w dolinie i czegoś, co z tej odległości wyglądało jak model Grenoble w małej skali. Jeden niewłaściwy zakręt wyprowadził jch vy złym kierunku. Szybko naprawili błąd i w końcu ujrzeli zamek, któreś° poszukiwali.

^znosił się ponad nimi, wciśnięty pomiędzy dwa szczyty, czarny na tle ogromnego urwiska. Jego strzeliste baszty górowały wysoko pon^d jodłami, a wieżyczki i podesty, z tej perspektywy, były doskonale widoczne.

wraZ

140

Miejsce to przytłaczało, sprawiało większe wrażenie, niż oczekiwali. Houston przyglądał się fotografii, podnosząc ją tak, że zasłaniała widok przez przednią szybę samochodu. Na zdjęciu budowla wyglądała jak dziecinna fantazja, ilustracja zaczarowanego zamku z bajki. Opuścił zdjęcie

i, oszołomiony siłą trzeciego wymiaru, ujrzał zamek z tej samej perspektywy, z której fotograf zrobił zdjęcie. Stroma przestrzeń, na którą patrzył, spowodowała, że przeniknął go dreszcz.

— Wygląda tak, jakby kilka budowli stało jedna na drugiej — powiedział. — Musi mieć z pięćdziesiąt pokoi.

Główna droga zmieniła kierunek, opasując posiadłość. Boczna wiodła w kierunku okratowanej metalowej bramy w wysokim murowanym parkanie.

— To forteca — odezwał się Houston.

Nieco dalej parkan przesłaniał widok na zamek. Za kratami bramy nie dostrzegł żadnych strażników, psów, najmniejszego ruchu, tylko zadrzewiony teren i znikającą w oddali żwirową aleję. Wszystko wyglądało zwyczajnie i niewinnie.

Houston wiedział jednak, że wśród przenikających las słonecznych promieni byli tam gotowi do działania strażnicy, były układy alarmowe, był precyzyjnie skonstruowany system ochrony.

Kiedy furgonetka mijała potężną bramę, Houston nie mógł się oprzeć silnemu wrażeniu, że jest obserwowany. Usiłując opanować kołatanie w żołądku, nie spojrzął na oddalającą się za nim bramę. Choć go korciło, nie spoglądał na parkan i nie próbował zlokalizować czegoś, co odbierało mu odwagę. Zwrócony przed siebie patrzył, jak droga wznosi się pomiędzy jodłami. Miał nadzieję, że zarówno on, jak i Simone nie wyglądają bardziej podejrzanie niż zwykli turyści.

Przed nimi jechał samochód. Sprawdził we wstecznym lusterku przy swoich drzwiach i zobaczył inny, nadjeżdżający z tyłu. Na szczęście ruch na drodze był dość duży. W każdym razie wystarczający, by, jak sądził, ich samochód nie rzucał się w oczy. Parkan kończył się,

za rogiem łączył z następnym, odchodzącym w bok od drogi, i kierunku szczytu. Houston zwrócił się do Simone:

— Jak tylko wjedziemy trochę wyżej, poszukaj miejsca, gdzie moglibyśmy się zatrzymać.

Znalazła otoczony poręczą punkt widokowy i wysypany żwirem Parking na poboczu drogi. Były tam stoliki, ławki i rząd płatnych teleskopów.

141

' tyłem do zamku — powiedział do niej, spoglądając na "V zawrót głowy, majestatyczny widok rozciągającej się wywołujący ^ JesUm pewier) ze obserwują ruch na tej drodze — poniżej doliny^ ^^ ^ podejrzewaC; jeśli zostaniemy tu zbyt długo, ciągnął dalej. ^ ^.^ wyglądać jak turyści Wysiądź i podejdz Dopoki tu j ^ ^^ ^ odwracaj się w stronę zamku. Zachowuj się \_\_, i ,,; a +%AVn «/iHnlf do l inv.

Ty nie wysiadasz?

~ y obserwują ruch na drodze, to wiedzą, że jesteśmy we

T I? \a roś podejrzawać, jeśli nie wysiądziemy razem. Hwoie. Mogą ^ua v . .J .

i- Potrzebuję pięciu minut.

7 • aowoloną miną otworzyła drzwi i poprzez pokryty żwirem m Hesza do poręczy i teleskopów. Samochód, który jechał za parking pod ^ ^ ^ Houston zeszywniał. Po chwili jednak

nimi, zatrzy ^.^ . tfójkę gramolacych się dzieci. Krzyczały

ujrzał mężwy Zachwycone wspaniałym widokiem. Dzięki Bogu, obok Simo•' ją stojący a mą wóz utrudniał obserwację z zamku, pomyślał. ^ do ^ samochodll3 sięgając po lornetkę, którą kupił ^rZe°we Jei ośmiokrotnie powiększające soczewki były najsilnej-w GrenoDi . ^Qina hyio używać bez statywu eliminującego drzenie szyrm, jakie ^ ^ ^ ^ ^ chcąc ^ ukryć SpoglądająC przez rąk'etk skupił uwagę na zamku, który, jak oceniał, mógł być lorne e, metrów.

ch wał budowlę, kilka małych budynków obok, cały teren

i tac/aiacy posiadłość. Momentami obraz był tak wyraźny, iż i parkan otaczają ^p^ ^^ ^^ ^^ kamiennych bloków

Wydrیب gładkiej, błyszczącej niebiesko karoserii porsche, zapar-zamku iud s ^ spiczastym budynku — garażu lub domku dla kowanego przy 1U" j > ^

k a może jakiejś wartowni.

służby. A n jedzeniem; otworzył tylne drzwi i wysiadł, osłonięty

X\* nrzed kimkolwiek, kto mógłby patrzeć z zamku. Wyszedł fUo?anfurgonetki, pokazując swe

plecy i przede wszystkim kosz, który trzymał w ręku.

od teleskopu, jakby niechętnie rozstając się z widokiem wró w bok, w stronę stołu. Kiedy usiadła, furgonetka ciągu ich zasłaniała.

142

— Znalazłem to, czego szukałem.

Na śniadanie jedli tylko gorące rogaliki i kawę. Byli bez lunchu. Sięgając do kosza czuł przemożny głód. Kielbaski, ser i mocne czerwone wino. Przeżuł i przełknął. Usta piekły od pikantnych kielbasek.

— Strażnicy z bronią — powiedział. Znieruchomiała.

— Pięciu. Dwa biegające swobodnie wilczury. Myślę, że jest ich więcej. Na wieżach są zainstalowane reflektory. — Usłyszał zduszony odgłos w jej gardle. — Na parkanie otaczającym całą posiadłość są kamery telewizyjne. Nawet jeśli znajdziemy sposób na przeskoczenie parkanu tak, by nas nie zauważyły, to nigdy nie przejdziemy przez rozciągnięty nad nim drut kolczasty. Moglibyśmy go przeciąć, ale domyślam się, że jest pod napięciem i kiedy przepływ prądu zostanie przerwany, w zamku włączy się alarm.

— To naprawdę jest forteca. Nie ma sposobu, by tam się dostać. Ściągnął usta, nie paląc się, by zaproponować to, o czym pomyślał.

— Być może.

— Nie być może. To niemożliwe.

— Nie. Tylko trudne. — Sprzątnął resztę jedzenia i wina do koszyka.

— Jak? — zapytała.

: Usłyszawszy zamykające się drzwi, odwrócił się i zobaczył mężczyznę i kobietę wsiadających wraz z dziećmi do samochodu. Silnik ruszył.

— Jesteśmy tu wystarczająco długo — powiedział. — Kiedy odjadą, my powinniśmy zrobić to samo. Widok jest przepiękny, ale nie na tyle, by przykuć nas tutaj na cały dzień. — Stał, nie ruszając się z miejsca.

— Pytałam cię, jak.

— Wejdziemy z drugiej strony zamku. Z góry. Nie, nie odwracaj się.

Zatrzymała się.

— Tam z tyłu jest urwisko! Nie, nawet nie to! Pionowa ściana!

— Więc nie będą oczekiwali goście z tamtej strony. Będą uważali to za zbyt niebezpieczne.

— Mieliby rację! Jeśli oczekujesz, że ja...

143

— Przemyśl to na razie. Tymczasem mamy kilka spraw do załatwienia.

Przyglądała mu się podejrzliwie.

— Ekwipunek. W Grenoble.

40

— Ale ja się boję wysokości — powiedziała Simone. Wdrapywali się po ostro pochylonym stoku zbocza. Powyżej brzeg

jodłowego lasu zachęcał do wysiłku. Plecak Houstona ciążył niemiłosiernie, wrzynając się w ramiona. Pocił się, ściągając z wysiłku brwi. Kolana były już obolałe. Uda protestowały. Pod plecakiem gruba koszula i sweter przykleiły się do pleców, ich wilgoć ochładzała nieco, ale na twarzy czuł gorączkę.

— To nie patrz w dół — odpowiedział.

Ponad nimi i poniżej labirynt zadrzewionych żlebów i górskich grani opadał gwałtownie w otchłan doliny. Z tego dystansu nie mógł dojrzeć miejsca, gdzie obok zbitego z desek kibla zostawili samochód, sto metrów od drogi. Nie widział też nie używanej, zarosniętej dróżki prowadzącej w górę, w stronę zamku. Widział jedynie główną, wiodącą przez góry drogę, z tej wysokości wyglądającą jak wstążka, pojawiającą się gdzieś nagle, na której nieliczne pojazdy poruszały się jak robaczki.

— Nie patrz w dół — burczała. — Nie patrz w dół. Ten strach mnie zabije. W końcu zleję się w portki.

Musiał się roześmiać, chociaż nie chciał. Gdyby się zdekoncentrował, mógłby zrobić błąd i chociaż zbocze nie było pionową ścianą, to w razie potknięcia mógł się poważnie potłuc. Tutaj nawet małe rany bywały śmiertelne. Zwichnięcia i stłuczenia ograniczyłyby jego ruchy, powodując kolejne potknięcia i...

— Myślisz, że to śmieszne?

— Nie — odpowiedział. — Nie myślę. Tu nic nie jest śmieszne.

— Nie teraz, oczywiście. Tu, jeśli zakreśli mi się w głowie, mogę się chwycić jakiejś skały. Ale później, tam na linie, nie sądzę, bym potrafiła.

Wdrapywał się za nią, stawiając nogi z jej prawej strony, tak by przypadkowo potracony przez nią kamień nie spadł na niego.

144

— Masz kondycję. Biegasz. Uprawiasz gimnastykę.

— Fizycznie, nie mam wątpliwości. W zasadzie wiem, jak posługiwać się liną, ale nie mam doświadczenia.

— Nauczę cię.

4

— W jeden dzień?

Nie mówił nic. Unikając odpowiedzi, minął ją i wspinać się dalej.

— Nawet w samolocie — mówiła — nie mogę patrzeć przez okno. Zbiera mi się na wymioty. — Jej głos wyrażał napięcie. Słyszał, jak podeszwy jej butów chrzęściły na skałach. — Poza tym słońce prawie już zaszło.

Spojrzał w górę. Wielkie, czerwone słońce chowało się za górskie szczyty.

— To może pomóc — powiedział.

— Ciekawe jak.

— No, w ciemności nie będziesz widziała, co jest pod tobą. Ręką uchwycił sterczący głaz, nogę wsparł na skalnym występie

i z dużym wysiłkiem wciągnął się na szczyt. Uczucie ulgi rozeszło się po jego mięśniach. Pot ściekał po twarzy. Szybko się odwrócił. Simone była tuż za nim. Pomógł jej podając rękę. Ponad wąskimi alpejskimi łąkami spojrzeli w kierunku mrocznej ściany jodłowego lasu i opadającego pod nimi skalistego urwiska.

Houston nie miał czasu, by delektować się pięknym widokiem. Słońce było nisko. Pośpiesznie oddalił się od krawędzi stoku, by nikt z dołu nie zauważył jego sylwetki. Dopiero przy jodłach rosnących na łące pokrytej miękką trawą zdjął plecak, ściskając i rozcierając obolałe ramiona. Pogrzebał w plecaku i wyciągnął manierkę oraz dwie tabliczki czekolady. Tabliczki rozpaćkały się od ciepła spowodowanego wysiłkiem, ale mimo to zdjął z nich opakowanie i podając jedną Simone, drugą napoczął sam. Był tak wyczerpany, że nie mógł wyczuć słodkiego smaku, ale tabliczka zniknęła, zanim uświadomił sobie, jak łakomie ją zjadał. Odkręcił pokrywkę manierki i przełknął ciepłą wodę o metalicznym smaku.

Nie za dużo, pomyślał. Mógłbym dostać skurczów.

Simone wytarła czekoladę z ust.

— A teraz odpoczniemy, mam nadzieję.

— Nie, teraz się upewnimy, czy nie pobłądziliśmy. Wyciągnął z plecaka mapę i kompas. Rozłożył mapę na trawie

obracając ją tak, by kontury zboczy i górskich grzbietów pasowały do otaczającego terenu.

I

6 — Przysięga zemsty

145

— Za tymi drzewami — wskazał — dojdziemy do następnego stoku. Nie patrz tak. Skończyliśmy wspinaczkę. Kierując się w lewo, wzdłuż podstawy, minimy dwa żleby z prawej i dojdziemy do trzeciego — z lewej. Schodząc nim w dół wyjdziemy na urwisko ponad zamkiem.

— Jak to wysoko? Sprawdził kompas.

— Pete, urwisko. Jak wysokie?

— Nie pytaj.



— Czy ty naprawdę wiesz, co robisz?

— Powiedziałem ci kiedyś, że aby napisać książkę, muszę przestudiować pewne specjalne zagadnienia. Jeśli w książce jest strzelanina, muszę przestudiować broń. Chodziłem na kurs strzelania. W drugiej książce miałem bohatera, który był ścigany po górach. Wiedział, jak sobie poradzić. Umiał się wspinać, skorzystać z liny i — no, nie musiałem być specjalistą w tej materii. Wystarczyło nauczyć się tyle, by być przekonującym. Nie zrobię z ciebie eksperta, ale będę cię asekurował.

Złożył mapę i schował kompas do kieszeni.

— Ruszajmy, dopóki jest jasno. Chcę cię nauczyć, jak posługiwać się liną.

41

Stojąc za nią przyglądał się, jak trzyma linę.

— Tak dobrze. Teraz trzymaj lewą rękę wyprostowaną przed sobą. Nie, nie tak wysoko. O, tak.

Podszedł bliżej i oplatając ją rękoma, sięgnął do przodu, by poprowadzić jej dłoń.

Odruch był instynktowny. Nie planował tego, co się stało. Żal po stracie Jan połączony z wściekłością odsunęły zupełnie myśli o seksie z jego świadomości. Lecz teraz, trzymając Simone, czując jej ciało, zorientował się, że ją całuje. Gładką skórę na jej szyi. Słodki zapach jej włosów. Jęknąwszy cicho, odwróciła się i objęła go. Zaskoczyły go własne odruchy. Próbował się zatrzymać, cofnąć. Przytrzymała go mocniej i pocałowała. W chwili gdy język jej przeniknął do jego ust, poczuł płomień ogarniający całe ciało. Wszystko było nieważne oprócz pożądania.

146

Opadli na ziemię. Zsuwał jej koszulę. Dotknął unoszących się piersi. Pocałował je, pocałował jej brzuch. Zatracił się, opanowała go niepohamowana, podświadoma namiętność, wszystko dookoła zniknęło — niebo, powietrze, drzewa, ziemia. Wszystko, z wyjątkiem Simone. Wszedł w nią, jęczącą i całkowicie oddaną. Łagodnie, potem gwałtownie, powoli, głębiej, szybko. Każda chwila stawała się wiecznością. Delikatnie. Nie! Tak! Dusza eksplodowała, wzbiła się wysoko, pozostawiając ciało.

Wysunęła biodra do góry, wyżej, wyprężając się i drżąc.

— Ooohhhh!

Chłodne powietrze sprawiło, że poczuł pot na plecach. Leżąc przy niej i mocno ją obejmując, pomyślał nagle o Jan.

— Nie jestem jej rywalką — powiedziała Simone.

— Nic na to nie poradzę.

— Czujesz się winny? Nie zrobiliśmy nic złego.

— Nie dlatego.

— Więc dlaczego?

— Ponieważ ona nie żyje, a ja tak. Nie powinienem czuć się żywy. To nie w porządku.

Simone delikatnie dotknęła jego ust.

42

W ciemności, z Simone w ramionach, drzemał aż do nocnego śpiewu ptaków. Wpatrywał się w gwieździste niebo i sierp księżycy nad horyzontem. Czy spał tak długo? Jak późno już? Sprawdził na zegarku. Na świecącej tarczy było wpół do jedenastej. Opadł znowu i nie chcąc niepokoić Simone, korzystał z tych kilku ostatnich wolnych chwil. Ukryty wśród głązów, w pobliżu kojących cieni lasu, jodeł wydzielających przyjemny zapach żywicy, czując pod sobą pokrytą igliwem ziemię, przypominał sobie ich słodką miłość, zanim zasnęli.

Trącił ją delikatnie. Spojrzała na niego zaspana. Uśmiechnęła się i położyła dłoń na jego policzku.

— Już czas — powiedział.

Skinęła głową.

Coś trzasnęło wśród drzew. Usiadła zaniepokojona, jej twarz znieruchomiała, zwrócona w ciemność.

147

— To tylko jakieś zwierzę — powiedział.

— Skąd wiesz?

— To typowe odgłosy. Ktoś podkradając się pomiędzy tymi drzewami, bez względu jak by uważał, złamałby więcej niż jedną gałąź.

Kłamał. Zręczny myśliwy, nie śpiesząc się, potrafił w ciemności podejść zwierzynę całkiem bezszelestnie. Chciał ją jednak uspokoić. Co więcej, jeśli zostali odkryci, nic na to nie mogli poradzić. Ktoś z noktowizorem mógł widzieć ich w ciemności, podczas gdy oni nie mieli szans na obronę. Miał, co prawda, rewolwer Henriego i dziesięć naboji zabranych zabitemu facetowi, ale był on bezużyteczny, jeśli nie było celu. Dwa szybkie, dobrze wymierzone strzały mogły załatwić ich natychmiast.

Nie mógł się jednak tym zamartwiać. I tak nie mógł nic poradzić.

— Byliśmy ostrożni, zrobiliśmy wszystko najlepiej, jak umieliśmy. To powinno wystarczyć.

Miejmy nadzieję. — Objął ją mocno, po czym powiedział sobie, że pora już ruszać na spotkanie tego, co zamierzył.

Przezołgali się od drzew do krawędzi urwiska. Houston zawiązał nylonową pętlę wokół drzewa i przypiął do niej karabinek. Zaczepił

o niego środek liny, a na końcach zrobił węzły.

— Czemu to tak robisz? — zapytała Simone. — Dlaczego nie przywiążesz liny po prostu do drzewa?

— Ponieważ po zejściu nie możemy zostawić liny na widoku. Oczywiście, w nocy jej nie widać, ale co będzie, jeśli nie wrócimy do rana? Ktoś ją na pewno zobaczy. Rozwiążę węzły i wtedy wystarczy pociągnąć za jeden koniec. Drugi przewinie się przez karabinek

i spadnie na dół. Nie będzie po nas żadnego śladu.

— Jeśli lina byłaby przerzucona tylko dookoła drzewa, mogłaby się zablokować o korę.

Wyszczrzył zęby, udając zadowolenie.

— Nigdy byśmy jej nie ściągnęli. Cholernie szybko się uczysz. — Nie powiedział jednak o tym, że tarcie liny o drzewo mogło spowodować jej zerwanie podczas schodzenia. Karabinek był bardziej gładki, bezpieczniejszy.

Houston znowu odwrócił się w stronę urwiska. Serce mu zabiło, gdy spojrzał w dół otchłani, w stronę jasnych świateł zamku. Martwił go sierp księżycy zawieszony ponad nim, jego blask i iskrzące się gwiazdy. Był jednak pewien, że nikt z dołu ich nie zobaczy. Zaczął

148

powiewać lekki, chłodny wiatr. Mógł szarpać nimi podczas schodzenia. Pokazał Simone, co powinna robić, ale obawiała się tego, denerwowała. Teraz martwił się o nią, mając nadzieję, że potrafi jej pomóc. Założył skórzane rękawice.

Jej ciemne oczy płonęły. Wyczuwał jej strach.

— Tylko trzymaj się blisko mnie — powiedział.

Wyrzucił linę poza krawędź i słuchał, jak sycząc opada w ciemność. Uderzyła głucho o skałę. Sięgnął szybko po drugą linę.

Ręka Simone na jego ramieniu zatrzymała go. Czy usłyszała znowu jakiś odgłos? Czy coś ją zaniepokoiło? Na wszelki wypadek rozejrzał się niespokojnie — i zobaczył prośbę w jej oczach.

— Zostaw.

— Co?

— Drugą linę. Nie przejmuj się nią. Nie mogę tu zejść. Jestem, do cholery, prawie sparaliżowana. Zostanę tutaj. Zaczekam, aż wrócisz.

— Sama? Nie masz jedzenia ani schronienia.

— Tabliczki czekolady, dwie kanapki. Zostawiłam je na potem. Niebo jest czyste. Nie sądzę, żeby była burza.

— Ale nie wiesz na pewno. Jeśli zacznie padać śnieg. Co gorsza, jeśli ktoś cię znajdzie...

— Pete, nie zejść po tej linii! Nie mogę! Boję się! Dlaczego mnie nie słuchasz?

Bardziej czuł, niż słyszał jej zdesperowanie.

— W porządku — powiedział. — Możemy o tym porozmawiać.

— Nie. — W głosie brzmiało udrczenie. Houston wstrzymał oddech, namysławiając się głęboko.

— Dobrze — powiedział łagodnie.

- Pete, wybacz mi.
- Nie przepraszaj. Wiem, że zrobiłabyś to, gdybyś mogła.
- Nie gniewasz się?
- Jak mogę się gniewać?

Uśmiechnął się, a ona oparła się o niego. Wyczuł drżenie jej ramion — i wtedy zrozumiał, jak bardzo zbliżyli się do przedwczesnego i tragicznego finału.

— Hej, wydaje mi się, że mnie samemu będzie łatwiej — powiedział. — Po prostu czekaj na mnie. Jeśli nie wrócę do jutrzejszego wieczora, zjedź na dół, do furgonetki.

— I co dalej? Jeśli będziesz ranny lub oni cię...

149

- Sprowadź tutaj policję. Niech mnie szukają.
- Boję się, że cię stracę. Nie schodź tam w dół. Chodź ze mną. Wrócimy do samochodu. Odjedziemy i...

— Nie — powiedział. Patrzyli na siebie wzajemnie.

— Kochaliśmy się — zaczął. — Nie żałuję tego. Ale to nic nie zmienia. Tylko komplikuje. Moja żona nie żyje i nie zapomnę, kim dla mnie była. Mam zamiar znaleźć faceta, który ją zabił.

— I znaleźć ojca. Mojego też.

— Uratować go. Uratować nas. Nie możemy uciekać. Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

— Odpowiedź, której oczekiwałam. Idź. — W jej głosie dominował smutek. — Zanim spróbuję cię zatrzymać.

Pocałował ją, po czym odsunawszy się nieco przypiął sobie linę i odwrócił się w stronę urwiska.

Zamek, tam w dole, wydawał się zniekształcony, daleki, a jednak bliski. Jego światła były przyćmione, a wieże majaczyły w upiornej mgle. Odniosł wrażenie, jakby spoglądał na zamek znalazłszy się nagle w minionym stuleciu.

Odwrócił się raz jeszcze, spoglądając na jej twarz być może po raz ostatni, próbując ją zapamiętać.

Piekło go w gardle. Z podwójną liną między nogami sięgnął za siebie, owinął linę dookoła prawej nogi, przeciągnął ją przez pierś i spuścił w dół przez lewe ramię. Trzymając linę zaczepioną u drzewa lewą ręką, prawą opuścił za siebie, chwytając tę część liny, która zwieszała się za jego plecami w dół urwiska. W ten sposób owijająca go lina była przytrzymywana na prawej nodze i na plecach. Zmówił pacierz i przechylił się ponad krawędzią urwiska. Krew ruszyła do głowy. Na nodze i plecach poczuł ucisk liny.

Powoli, zwrócony twarzą do ściany, zaczął schodzić w dół.

43

Wszystko zmieniło swoje położenie. Gwiazdy nie wisały już ponad nim. Były raczej przed nim. Zamek nie był już pod nim; był za nim. Iluzja była tak sugestywna, iż zdawało mu się, że idzie do tyłu po płaskim terenie. Przeczył jej jednak silny ucisk liny na nodze i plecach, połączony z dokuczliwym skurczem żołądka. Odczucia te tylko potwierdzały, że poruszał się pionowo, a nie poziomo. Różne dociera-

150

jące do niego i jednocześnie sprzeczne ze sobą wrażenia wywoływały mdłości. Przed nim, a właściwie ponad nim spoza krawędzi urwiska odprowadzała go wzrokiem Simone. W miarę jak wypuszczał linę, jej zatroskana twarz stawała się coraz mniejsza. W końcu zniknęła w ciemności i przed sobą widział jedynie mroczne skały, a dalej — usiane gwiazdami niebo.

Zginając się w biodrach do przodu, musiał jednocześnie utrzymywać nogi wyprostowane w kolanach. W przeciwnym wypadku mogły się znaleźć ponad jego głową, powodując upadek.

Jego ruchy były przemyślane; powolne i jednostajne. Widział filmy, w których kaskaderzy rzucali się w dół zbocza, odbijając się od skał i opadając za każdym razem po dwadzieścia stóp. Takie skoki powodują jednak silne naprężenia w linie i uchwytach. Nie ma zbyt wiele szans na naprawienie błędów. Lecz nawet gdyby miał ochotę na bardziej energiczne zejście, nie mógł tego wypróbować w ciemnościach; nic bowiem pod sobą nie widział. Powoli i jednostajnie, mówił do siebie. Ostrożnie, żeby się udało.

Mimo grubych rękawic czuł tarcie liny. Ciepło przenikało na dłonie. Popuścił nieco linę, ucisk palił

ramię, pierś i nogę. Żołądek kołatał się nerwowo. Oddychał szybko, by opanować drzenie. Prawa ręka dotarła do węzła łączącego dwa końce liny. Ostrzegając, że musi się zatrzymać i znaleźć miejsce, na którym mógłby stanąć. Gdyby zjeżdżał dalej, mógłby dotrzeć do końca liny i spaść. Prawą ręką przycisnął linę do boku, blokując dalsze opadanie. Sięgnął karbowanymi podeszwami butów w stronę skały, szukając jakiegoś występu dla oparcia nogi. Nie znalazł jednak tego, czego szukał i omal nie ogarnęła go panika. Ale przewyciężył lęk. Był zdecydowany nie myśleć o ryzyku. Gdyby nie znalazł miejsca na odpoczynek, nie miałby szansy na wyjęcie nowej liny, przyczepienie jej i kontynuowanie zejścia. Byłby zmuszony wciągać się do góry lub spaść. Tymczasem wisiał. Lina wrzyniała się w nogę, pierś, ramiona i plecy. Buty skrobały o powierzchnię zbocza; serce w piersi waliło. Sięgnął butami w dół. Przechylił się na prawo, potem na lewo. W końcu znalazł mały występ, ale wystarczająco szeroki, by na nim stanąć. Odkręcił się w jego stronę, wyciągnął lewą rękę, chwycił wystający kawałek skały i podciągnawszy się stanął wyprostowany. Odpoczywał na występie, przelękając ślinę. Pot zalewał mu oczy. Otarł czoło rękawem; nagle zauważył, że trzęsą mu się ręce. Nogi również.

151

Nie myśl o tym, powiedział do siebie. Nie myśl o przepaści tam w dole. Ciesz się, że w ciemnościach jej nie widzisz.

Trzymając linę jedną ręką, zdjął plecak. Wyjął hak oraz młotek i, macając powierzchnię skały, znalazł solidną szczelinę. Wcisnął w nią hak i chcąc stłumić stuk młotka, przyłożył do niego kawałek materiału. Wbił hak, krzywiąc się od rozlegającego się mimo to metalicznego dźwięku. Poniżej, obok zamku, zaszczekał pies.

Zamarł. Pies umilkł. Ale Houston czekał dalej, spoglądając poprzez ciemności na zamek. Nie zauważył jednak ani strażników, ani żadnego sygnału alarmu. Wiatr osuszył mu czoło. Odpoczął. Sprawdzał hak, stwierdzając, że będzie trzymał.

Schował młotek i kawałek materiału do plecaka, wyciągnął z niego karabinek, przełożył przez otwór w haku i na koniec zdjął rękawice. Mocował się z węzłem łączącym dwa końce podwójnej liny. Palce drżały. Węzeł opierał się. Spróbował jeszcze raz i kiedy oddech rozpalil mu gardło, poczuł, że węzeł rozluźnił się. Końce liny były wolne.

Balansował na występie bez podpierania się. Pociągnął jeden koniec liny, patrząc, jak drugi ucieka do góry i wyobrażając sobie, jak przelatuje obok Simone, potem przez karabinek przytwierdzony do pętli na drzewie. Na szczęście lina nie była ciężka. Prześliznęła się przez karabinek na górze i spadła w dół urwiska. Trzymając swój koniec najmocniej jak umiał, czuł, jak ze świstem przelatuje koło niego. Pociągnęła go do przodu tak, że o mało nie stracił równowagi. Z dużym wysiłkiem, wciskając buty w występ, odchylił się do tyłu, by zrównoważyć szarpnięcie. Wciągnął linę, ponownie związał jej końce i wpiął do karabinka. Teraz musiał włożyć rękawice, zrzucić linę i mógł ruszyć w dalszą drogę.

Zadowolony z siebie opuścił się; zapomniał o wyprostowaniu kolan. Nogi poleciały w górę, a głowa w dół. Wisiał bez oddechu, zduszony przez linę. Ciemność zmieniła się w czerwień, krew uderzyła do mózgu. Ciśnienie było takie jak pod wodą. Oczy zaczęły wyłazić. Nabrzmiałe policzki opadły w dół, w stronę czoła. Krew dudniła w czaszce. Coraz silniejszy wiatr obijał plecy Houstona o zbocze. Głową uderzył w jakiś głaz, ręce osłabły. O mało nie wypuścił liny. Nie! Jeśli przechyliłby się jeszcze bardziej, gdyby stopy wczepił w linę, to byłby w niej tak zaplątany, że mógłby wisieć swobodnie. Skręcił się, szurając butami po skale, po czym, zginając się w pół, podciągnął się

152

aż do tkwiących w linie nóg. Próbował wyzwolić uwięzione buty i podciągnąć się wyżej, ale ciśnienie krwi wewnątrz mózgu nieomal pozbawiło go przytomności. Łapał powietrze tak, jakby tonął. Ramiona zdrętwiały, lina odcięła dopływ krwi. Adrenalina, wrząc, naciskała. Strach wyzwalał nowe siły. Napreżył się, dźwignął i przebijając ślizgającymi się po ścianie nogami, podciągnął się. Ciśnienie w głowie natychmiast ustąpiło. Mógł znowu oddychać. Policzki już nie ciążyły nad oczami. Kolana były wyprostowane, ciało ułożone równoległe do ściany. Spojrzał w górę. Był bezpieczny.

Mimo to trząś się nadal, nie mógł powstrzymać kurczów w rękach i nogach.

44

Pół godziny później, wykończony, dotknął ziemi i upadł wewnątrz ogrodzenia. Wewnątrz! Spojrzał za siebie, w stronę rosnących tam jodeł. Szumiały na wietrze. Ochłodziło się. Ściągnął postrzępione rękawice. Dłonie pokrywały krwawe pęcherze. Rozluźnił węzeł, szarpnął za jeden koniec liny i odsunął się. Zjechała w dół, upadając ciężko tuż przy nim. Zdjął plecak, zapakował do niego linę i rękawice, wyjął rewolwer i kuśtykając, ukrył się za drzewem. Rewolwer dawał mu pewność siebie. Jego gładki, twardy kształt uspokajał. Pogładził go.

Uprzytomnił sobie, że bardziej trzęsie się ze strachu niż z wyczerpania; wiedział, że musi ruszyć.

Była prawie północ. Zbyt wiele miał do zrobienia. Nie mógł tracić czasu ani na odpoczynek, ani na kolejne przemyślenie sprawy.

Obolały, wcisnął plecak w dziurę pod pnem drzewa. Przykrył go kamieniami i igliwem.

Usmarował twarz ziemią, by zlewała się z cieniem, i pełen niepokoju ruszył przez las. Podeszwy cicho dotykały gąbczastej ziemi. Spoglądając przed siebie przez rozłożyste gałęzie ujrzał kontur zamku i rozświetlone w nim okna.

Strach powoli mijał. Nie myślał o niczym poza tym, jak dostać się do zamku. Powinien uważać na strażników i psy, ale gdyby udało mu się dostać do muru, mógłby wspiąć się do góry po przypominających liny gałęziach rosnącej tam winorośli. Na górze mógłby się poruszać po skomplikowanych, wzajemnie się krzyżujących podestach i zbadać

153

cały zamek. Errol Flynn, pomyślał. Pewnie, Douglas Fairbanks. Co jest z tobą, do cholery? Ci ludzie chcą cię zabić.

Stał na skraju lasu, przed trawnikiem, który musiał przeskoczyć, by dotrzeć do wewnętrznego muru zamku. Każdy róg oświetlały reflektory z wieży, lecz nie kierował nimi żaden strażnik. Strumień światła jednego reflektora nie przecinał się z drugim. Pomiędzy nimi rozciągała się strefa cienia. Houston próbował oszacować ryzyko. Nie widział psów. Nie widział nikogo — żadnych strażników.

Przebiegł pod wysoki do pasa żywopłot. Ograniczał przestrzeń, wewnątrz której, na posadzce z polnych kamieni, ustawiono ogrodowe meble. Minął go szybko, po czym stanął, by się rozejrzeć i złapać oddech przed następnym skokiem. Serce waliło mu miotem; przywarł przy stopniach tarasu, spoglądając przez jego słupki w stronę cienia pomiędzy strumieniami światła. Pomimo wiatru noc była cicha. Słyszał dochodzący z ust piskliwy oddech. Z miejsca, w którym się ukrył, na tyłach zamku, widział od lewej strony stajnię, potem siedmiordzwiowy garaż i ponurą, kamienną wartownię.

Zanim uświadomił sobie, co robi, zaczął biec. Teraz albo nigdy! Żadnego strażnika, który mógłby go zobaczyć. Żadnego psa w pobliżu, który mógłby go zwietrzyć. Za chwilę wszystko mogło się zmienić.

O ile wiedział, strażnicy wkrótce mogli wynurzyć się zza rogu, sprawdzając tę stronę, a potem pozostałe, rutynowo obchodząc zamek. Ze ściśniętym gardłem zmusił się do działania. Oczy miał zamglone z wysiłku. Reflektory groziły mu z każdej strony; okrążył ich światło. Rozgorączkowany dopadł muru. Rozejrzał się na boki, upewniając się, czy nikt go nie zauważył, po czym wetknął rewolwer za pas

I chwycił grube, wijące się po ścianie gałęzie winorośli. Ich kora była sucha, a korzenie mocne i tak poplątane, że trzymały solidnie. Wcisnął między nie jeden but, podciągnął się, wcisnął drugi i tak stopniowo wdrapywał się do góry. Pół minuty później był już prawie na samej górze.

Zatrzymały go jakieś odgłosy: burkliwe mamrotanie i brzęk metalu. Paniczny strach spowodował, że zamarł w bezruchu. Patrząc w dół, zobaczył dwóch strażników u podnóża ściany. Jeden z nich zapalił papierosa. W błysku ognia Pete ujrzał drugiego, zdejmującego karabin. Raptem, zobaczywszy owczarka, wstrzymał oddech.

Chociaż strażnicy stali tuż pod nim, najwidoczniej go nie zauważyli. Pies również. Skurczybyk obwąchiwał trawę, ścianę i winorośl.

154

Wypreżył się, łapiąc górny wiatr, zaskamlał i skreślił w stronę trawnika oraz natrętnego, obcego zapachu. Nie! — pomyślał Houston i spojrzał w górę na niewielką przestrzeń dzielącą go od szczytu. Słyszał rozmawiających poniżej mężczyzn.

Gałęzie winorośli, których się trzymał, zaczęły się odchyłać od ściany. Musiał się poruszyć. W przeciwnym razie za chwilę ześliznąłby się w dół, lądując na strażnikach. Pies mógł chwycić go za gardło. Podniósł rękę i znalazł lepszy uchwyt. Winorośl zaszeleściła. W tej samej chwili zaczął szczekać pies. Dobrze. Tamten hałas przytłumił jego własny. Obawiał się, że pies szczekał na niego, ale nie miał odwagi, by spojrzeć w dół i upewnić się. Właził dalej — jedna ręka, druga — napinając się w obawie przed kulą, która mogła przebić mu plecy i rozerwać pierś.

Drżąca ręka trafiła w otwartą przestrzeń. Szczyt! Dostał się na górę! Przełożył ręce ponad krawędzią muru i wgramolił się na jego szczyt.

Słuchał psa. Strażnik odezwał się ostro i szczekanie umilkło. Czekał. Ostrożnie wychylił głowę, by spojrzeć w dół. Strażnicy odchodzili, podążając za psem. Przeszli zacienioną przestrzeń, kierując się w stronę stopni tarasu. Tam, spoglądając na psa, zawahali się i szarpnęli smycz. Pies opierał się. Szarpnęli mocniej i kontynuowali obchód.

Houston obliznął spękane, zamarznięte usta. Ulgę, której nawet nie zauważył, zastąpiła depresja, wyczerpujące następstwo strachu. Adrenalina przestała pulsować. Czuł się słaby i ospały.

Powyżej, już w przejściu, skulił się w ciemności. To tutaj, w dawnych czasach, kusznicy wyglądali na zewnątrz w stronę otwierającej się pod nimi przestrzeni, celując w najeźdźców. Mogli wypuszczać swe strzały poprzez ciągnące się wzdłuż muru wycięcia.

Wiatr pogwizdywał, owiewając czarny kształt wieży po prawej stronie. Żaden strażnik nie wyłonił się z jej głębokiego cienia, by go zatrzymać. Bezgłośnie wyjął rewolwer zza pasa. Poczł zapach oliwy, gdy go odbezpieczał. Spojrzał w dół, na dziedziniec pomiędzy zamkowymi murami. Był pusty, oświetlony światłami reflektorów. Naprzeciw, dużo niżej, potężne drewniane wrota zamykały wejście.

Podkrał się do krawędzi podestu i spojrzał w dół, w kierunku wysuniętego nieco innego podestu i kolejnego, wystającego jeszcze bardziej, niczym monstrualne schody. Wydawały się Houstonowi na

155  
tyle szerokie, że umożliwiały dostęp do murów obronnych, a ponadto były stropem różnych poziomów w zamku.

Mimo pozorów ładu czuł się jak w labiryncie. Wiedział, że kręcąc się tak bez celu i tracąc poczucie kierunku, mógł zostać w końcu wykryty.

Nie, nie myśl tak. Ruszaj.

Przebiegł bezszelestnie do wieży, gdzie znalazł rzeźbione schody. Studiował otoczoną gzymsami sylwetę zamku, z uwagą przyglądając się czemuś, co pod tym kątem przygniatało swą wielkością. Kamienne bloki były wyższe od niego. Poprzez zasuwane okna widział pomieszczenia trzy razy wyższe niż normalne. W większości pokoi było ciemno. Te, które rozświetlało światło z kandelabrow i kominków, przyciągnęły jego uwagę; zaczął w nie zaglądać.

Znajdowały się na najniższym poziomie z prawej strony, skąd podkrał się wzdłuż niższego podestu. Nagle zatrzymał się. Po tej samej stronie w odległej ścianie znajdowało się ogromne, zwieńczone łukiem okno — jedno z kilku pozbawionych witraży. Za jego szybami Houston ujrzał energicznie gestykulującego mężczyznę, najwyraźniej sztorcującego kogoś, kogo nie było widać. Bliski sześćdziesiątki, ubrany był w żeglarski garnitur z jasnoniebieskim kołnierzykiem. Miał krótkie, zadbane rudawoblond włosy i surową, dostojną twarz. Houston nie mógł dojrzeć, kto jeszcze znajdował się w pomieszczeniu. Zmienił pozycję. Rozpłaszczył się na kamiennej posadzce i zajrzał znacznie głębiej.

Zobaczył dwóch innych mężczyzn, ale ich twarze nie dostrzegł. Jeden miał na sobie brązowy garnitur z kamizelką, drugi marynarskie spodnie i białą koszulę z rozpiętymi trzema górnymi guzikami, ukazującą owłosioną pierś i medalik zwisający na błyszczącym łańcuszku.

Obaj spięci, stali nieruchomo. Jeden z nich zaczął coś raptem odpowiadać żywo gestykulując. Houston żałował, że nie słyszy. Podsunął się bliżej i widok zapał mu dech. Pod tym kątem, otwierającym wgląd w inne części pomieszczenia, miał bezpośredni widok na Monsarda. Obraz ten

przyprawił go o mdłości.

Stary człowiek siedział skurczony ze strachu w grubo wyściełanym fotelu z wysokimi oparciami. Wyglądał starzej niż wtedy, kiedy ostatnio go widział. Bruzdy na twarzy. Ubranie zniszczone, zakrwawione.

156

Musieli go bić. To jeszcze jedna sprawa, za którą zapłacę, pomyślał. Rozsadzała go wściekłość. Ścisnął mocniej rewolwer, zgniatając go z furją. Ja was...!

Nagle zamarł. Do pomieszczenia weszli dwaj strażnicy; złapali Monsarda z obu stron i postawili na nogi. Protestował, jego twarz wykrzywił lęk.

W miejscu, z którego to wszystko obserwował, Houston czuł się bezsilny. Gniew był bezużyteczny. Widział strażników wlokących Monsarda w głąb pomieszczenia. Dostrzegł, że wychodzą.

Musiał się tam dostać — by uratować Monsarda, zabrać go do Simone i znaleźć kilka odpowiedzi, zmusić starego do opowiedzenia,

O co tu, do diabła, chodzi!

Drżał, czując potrzebę działania. Gdy wybrał już zejście po drugiej stronie, przypomniał sobie schody, którymi mógł zejść szybciej

I załatwić strażników. Nie miał pojęcia, w jaki sposób, ale wiedział, że musi to zrobić.

Zatrzymał się, zanim wszedł. Poniżej, nieco z prawej, z trzaskiem otworzyły się drzwi. Usłyszał przytłumione gniewne rozkazy, ciężki tupot nóg, szuranie butów po ziemi i jęk.

Wyjrzał poza krawędź podestu. Reflektory oświetlały całą scenę. Zobaczył dwóch strażników wlokących Monsarda przez dziedziniec. Dobrze zbudowani, silni, a między nimi wąły, sterroryzowany, opierający się stary człowiek. Houston wysunął się jeszcze bardziej, by zobaczyć, z których drzwi wyszli. Mógłby pójść za nimi. Mógłby...

Oślepiające, jaskrawe światło wystrzeliło ze wszystkich kierunków. Przecięły go niezliczone promienie. Noc zmieniła się w dzień. Podest stał się sceną, a on głównym aktorem. W tym przesywającym blasku czuł się zupełnie odkryty, całkiem nagi. Nic nie widział. Uniósł ręce, by osłonić oczy. Ciało zeszytywniało. Mięśnie pośladkowe zwały się. Ze wszystkich stron nadbiegali strażnicy. Broń wycelowana, twarze ponure. Ponad nimi, na podestach, pojawili się następni. Kiedy bezbronny zasłonił się, sparalizowany nagłym blaskiem, z głośników, rozmieszczonych wokół na wieżach, zabrzmiał łagodny i niski, donośny męski głos.

— Witamy, panie Houston. Oczekiwaliśmy pana.

Część V

45

Skoczył.

Nie myślał, jak czy jakiegokolwiek się schwytać.

nie ważył swych szans, nie zastanawiał się, było ceny, jał^a trzeba by zapłacić dając . oślepiaty go jaskrawym światłem\*, kiedy

broni °CZy prTkał3; blas\*, kierując się w stronę wycelowanej brom, zareagował zupełnie odruchowo Spojrzał w ~

j

w

w , podmuch powietrza. Żołądek ^zmienił

||• wybrukowany dziedziniec zbliżał się na spotkanie; Houston 11ede",Z,,nadokiennych baldachimów.

jem o ciemnobrazowy brezent, lądując z gwałtow-w kościach, w jego wnętrzu eksplodował głęboki ię, uderzył o brezent powtórnie i przekościłował ppo nim ° °WO wczepiając palce. Stopy ześliznęły się poza krawędź.™ |, brez^ntu' ale Przeszkadzał mu w tym rewolwer. NBogami o bruk ^ rO2IUŻnił Się- Wylądował, waląc niemiło.siermie

do dl W ^ Silny' ŻC T°k Zacz^ł g° uwodzić. Niezdarnie - zmusił do działania ręce i nogi.

Powolnymi, nie skoordynowanymi ruchami ia icolana. W czasie gdy zdumiony kołysał się w rytm jego głowie zawrotów, zdolność widzenia stawała się • ' a y dostrzec «a dziedzińcu dwóch

strażników. Zosstawili i z pobladłymi twarzami, wystającymi znad luf ich uewol-

158

Chociaż ciało mogło się poruszać, ręce odmawiały posłuszeństwa. Rewolwer wydawał się olbrzymi. Wyteżając wszystkie siły uniósł go. Zareagował tak powoli, jakby dopiero jutro miał osiągnąć cel. Próbował wycelować i nagle przypomniał sobie, że nie naciągnął iglicy. Jęknął. Dopadł go pierwszy strażnik. Houston zupełnie bezsilnie patrzył, jak jego but uderza go błyskawicznie, stalowa podkówka gruchocze nadgarstek. Już przedtem ból był tak przemożny, że teraz ledwie zauważył to kopnięcie. Czuł jednak, jak ręka przesuwają się, a palce rozluźniają. Dziwnie zafascynowany przyglądał się, jak rewolwer wysuwa się z jego palców, zatacza w powietrzu łuk, po czyni z trzaskiem spada na kamienny dziedziniec.

Łapiąc się za nadgarstek, usłyszał nadbiegających innych strażników. Gramolili się ze schodów, by go dostać. Krzyczeli, sapali chrapliwie, klekocząc przy tym pasami i okuciami karabinów. Kiedy się zbliżyli, Houston poczuł zagęszczone wokół siebie powietrze, spowodowane ciśnieniem ich ciał. Nagle, tuż przed sobą, usłyszał trzask klamki w ogromnych drzwiach pod baldachimem. Drzwi rozwarły się uderzając o wewnętrzną ścianę.

Obraz falował; nie miał siły, by podnieść wzrok. Przeniósł go na kamienie u stóp drzwi i ujrzał zbliżające się ku niemu drogie, wieczorowe, błyszczące czernią lakierki. Zatrzymały się tak blisko, że gdyby chciał, mógłby ich dotknąć.

Houston powoli podniósł wzrok. Czarne wieczorowe spodnie, czarna marynarka i takiż krawat. Mężczyzna miał prawie sześćdziesiątkę — wysoki, elegancki, przystojny. Miał pełne usta, czarne błyszczące oczy, wydatne policzki, czarne włosy zaczesane prosto do tyłu z wyrzeźbionego czoła i prawie na brązowo opaloną skórę. Pete zmrużył oczy ze strachu.

— Głupi gest, panie Houston — powiedział mężczyzna.

— A co pan by zrobił? — Pełne gniewu słowa Houstona były przytłumione, jakby mówił przez watę.

Chwila namysłu, rozbawione oczy, wzruszający komplement.

— To samo.

Teraz Houston rozpoznał głos. Słyszał go z głośników na wieżach, zanim skoczył.

— Mimo to głupi, jest pan ranny? — kontynuował mężczyzna. Houston nie odpowiedział.

— Spóźnił się pan — wyjaśnił mężczyzna. — Oczekiwaliśmy pana wcześniej.

i

159

— Oczekiwaliście mnie?

— Oczywiście, ale proszę, nie może pan tak klęczeć. Pomóżcie mu wstać.

Dwaj strażnicy postawili Houstona na nogi. Zataczał się.

— Trzymajcie go. — Mężczyzna przyglądał się. — Tak. Oczywiście nie domyśla się pan, że nie znalazłby tego miejsca bez mojej pomocy.

— Jakoś sobie poradziłem.

— Proszę. Wykazał pan godne podziwu zdolności, ale od czasu do czasu pomagano panu. Na przykład te rozmowy do Paryża, Londynu i Nowego Jorku. Już wątpiłem, czy się udadzą.

Podejrzewałem, że zorientuje się pan, jak bardzo ułatwiłem te sprawy. Te wszystkie małe aluzje i tropy były podrzucone.

— Prowadziliście mnie tutaj? Tych troje wiedziało, po co dzwoniłem?

— Niezupełnie. Byli poinstruowani. Chociaż nie znali celu, zrobili co trzeba.

— Dlaczego?

— Bo za dobrze się pan ukrywał, za szybko uciekał. Stwierdziłem, że chyba nigdy pana nie znajdę, więc zmieniłem taktykę. Czułem, że będzie łatwiej, jeśli zamiast tego pan odnajdzie mnie. I jak widać, nie pomyliłem się. — Przerwał, uśmiechając się.

Houston, rozwścieczony, rzucił się, by pięścią walnąć w ten uśmiech na jego twarzy.

Strażnicy wykręcili mu ręce do tyłu. Mężczyzna jakby nie zauważył tej próby.

— Miałem nadzieję, że przyprowadzi pan gościa. Zaproszenie było dla was obojga. Nie widzę jednak Simone.



Houston zaprzeczył. Dojrzał obok Monsarda, przepychającego się między strażnikami.

— Simone? — zapytał stary mężczyzna zaniepokojony. — Jest z panem?

— Nie jestem głupi.

— Może gdzieś blisko? — zapytał mężczyzna w wieczorowym stroju.

— Nie. Ale wie, że tu jestem, i pójdzie na policję, jeśli nie wróce. Mężczyzna zachichotał.

— Naprawdę? Houston nie wytrzymał.

160

— Kim, do cholery, pan jest — moim ojcem? Mężczyzna roześmiał się jeszcze głośniej.

— Proszę mi wybaczyć, panie Houston, nie jestem. Chociaż wierzę, że słyszał pan o mnie. Pierre de St. Laurent.

46

Oczy mężczyzny błyszczały rozbawione. Houstona przeszył dreszcz. Po tak długich poszukiwaniach dotarł w końcu do celu. Nie czuł jednak ani triumfu, ani satysfakcji. Był chory. Coś go nagle tknęło. Odwrócił się do Monsarda. Zobaczył jego sterczącą czuprynę.

— Mówił pan po angielsku?

— Qu'est-ce que c'est?

— Przed chwilą. Pytał pan, czy była ze mną. Mówił pan po angielsku.

Starszy pan uniósł brwi, wzruszając ramionami ze zdziwienia.

— Je ne comprends pas.

— Kłamie pan.

Starszy pan zmarszczył brwi zakłopotany. Bezsilnie spojrzał na St. Laurenta.

Lecz St. Laurenta rozbawiło to jeszcze bardziej.

— Jacques, wygląda na to, że cię rozszyfrował. Monsard znieruchomiał. Powoli pokiwał głową.

— Tak, to prawda — powiedział.

— Simone?

— Ona nic nie wie. Nie mówię u siebie po angielsku. Wiele lat temu — już po wojnie — okoliczności zmusiły mnie do nauki.

— Po co to ukrywać?

— By nie zwracać uwagi. Pozostać prostym obywatelem z małego francuskiego miasteczka. Poza tym kiedy Simone tłumaczyła, miałem czas na zastanowienie. Pańskie kłopoty z językiem pomogły mi pogmatwać sprawę.

— Od początku byłem wprowadzany w błąd? Starszy pan skinął głową.

Houston przyglądał się jego twarzy. Zauważył jeszcze jedną mistyfikację, inne oszustwo.

161

— Pańskie zmarszczki. — Monsard dotknął swojej obrzmiałej twarzy. — Są sztuczne. To charakterystyka. Nie bili pana. — W światłach reflektorów Houston widział, jak bardzo była przerysowana.

— Teatralna, przyznaję, ale skuteczna — powiedział St. Laurent. — Czy była przekonująca? Oświetliliśmy pomieszczenie, jak tylko było można. Aktorzy ustawili się tak, by mógł ich pan zobaczyć przez okno. Próbowaliśmy charakteryzację. Gdyby nie była tak wyraźna, nigdy by jej pan z podestu nie zauważył.

— Nie rozumiem.

— Przynęta. Nie mogliśmy przecież pozwolić na pańskie spacerunki po zamku. Gdybyśmy zatrzasnęli pułapkę zbyt szybko, mógłby pan uciec. A w ten sposób, mając pana tam, gdzie chcieliśmy... — zatarł ręce.

— Więc nie jest pan w niebezpieczeństwie? — Houston zapytał Monsarda.

Starszy pan pokręcił głową.

— W dużej mierze — wyjaśnił St. Laurent. — Ale jak na razie nie w niebezpieczeństwie. Był głupi, że zadzwonił do nas, że tu przyjechał z absurdalnymi żądaniami w sprawie córki. Kiedy jednak przemyślałem cały problem, zdałem sobie sprawę, że niechcący nam pomógł. Uciekliście z myśliwskiego domku. Nie wiedzieliśmy, gdzie się ukrywacie. Ma pan jednak niezłomny charakter. Jest pan zdecydowany. Byłem pewien, że będzie pan na nas polował, tak jak my na was. Te jego

rozmowy telefoniczne. Liczyłem, że zaprowadzą was tutaj.

— Mogliście mnie zabić od razu. Czemu tego nie zrobiliście?

— Ponieważ potrzebujemy pana. I Simone. Wierzę, że powie mi pan, gdzie ona jest.

— Pan nas potrzebuje? Gdy tylko będziecie mieli nas oboje, będziemy skończeni.

— Takie podejrzenie. — St. Laurent cmoknął językiem. — Jest pan zmęczony. Musi pan wypocząć, coś zjeść.

— Co?

St. Laurent odwrócił się i odszedł. Strażnicy popchnęli Houstona, zmuszając go, by ruszył za nim. Światła reflektorów odbijały się w kamiennym dziedzińcu. Houston widział, jak St. Laurent wchodzi w inne, olbrzymie drzwi; obok widział jasne okno, przez które zaglądał z podestu — wielki kominek, żyrandol, boazeria, solidne meble.

162

Popychali go naprzód. Szli poprzez wejście i dalej wzdłuż korytarza z kamiennym łukowym sklepieniem. Chłód nocy zastąpiła wilgoć. Na lewo kolejny korytarz, lecz tu ściany pokryte były lakierowaną boazerią. Dalej duże, ręcznie rzeźbione drzwi z wyczelowanymi detalami. St. Laurent zatrzymał się na chwilę, spoglądając na Houstona z ironicznie uniesionymi brwiami. Nacisnął klamkę.

Prowadzony przez strażników, Houston stanął w otwartych drzwiach i wahając się wszedł do środka. Zdenerwowany, zeszywniały i obolały usłyszał nadchodzącego Monsarda. Nagle, jakby na rozkaz, jeden ze strażników wyszedł. Drugi zamknął drzwi i stanął przy nich z bronią gotową do strzału.

Houston rozglądał się i podziwiał pokój — jego ciepło, blask i świetność. Gdyby nie elektryczne światła, mógłby przysiąc, że wpadł tam przez dziurę w czasie. W rogu kompletna zbroja, herb nad kominkiem, skrzyżowane miecze na ścianie. Pieśń o Rolandzie. Tristan, Lancelot i Eleonora z Akwitanii. Splendor średniowiecznej Francji.

Zaparło mu dech.

Raptem jego spojrzenie padło na St. Laurenta, który uśmiechał się do niego rozbrajająco.

— Może kawy? — powiedział St. Laurent. — Coś na serce? Brandy?

Houston przestał się rozglądać. Swą uwagę skupił na trzech mężczyznach stojących przy polerowanym stole, w przeciwległym rogu pokoju. Jednego z nich widział dobrze z podestu — bliski sześćdziesiątki, trochę rudawy, dystygowany, w żeglarskim blezerze i jasnoniebieskim kołnierzyku. Pozostali dwaj byli wtedy częściowo zasłonięci. Teraz Houston zobaczył, że ten, który nosił brązowy garnitur z kamizelką, miał również koło sześćdziesiątki — słabe włosy i zapadłe oczy; był wychudzony i zmizerowany. Mężczyzna obok, z rozpiętą koszulą i medalikiem na piersi, był młodszy, około trzydziestki, oczy miał dzikie, usta zdradzające okrucieństwo; bezczelnie przystojny.

— Zapomniałem o dobrych manierach. — St. Laurent zwrócił się do Houstona. — Pozwoli pan, że się przedstawimy. Mnie pan zna jako Francois Le Blanca oczywiście. A ci trzej dżentelmeni to Jules Fontaine z Londynu...

Fontaine, w blezerze z kołnierzykiem, uniósł do połowy wypełnioną szklaneczkę brandy w geście powitania.

— Z Nowego Jorku Paul Dassin...

163

Wymizerowany mężczyzna skinął sztywno głową.

— Jego syn, Charles — powiedział St. Laurent.

Biała koszula i medalion. Absolutnie żadnej reakcji. Wyniosły, zachowujący dystans.

— Jak pan wie, kiedyś mieliśmy inne nazwiska.

— Mój ojciec — powiedział Houston z takim naciskiem, że mięśnie napięły się na jego szyi, wyciągając się jak pasma obrzmiałej skóry. — Który z was? — Przeniósł wzrok z St. Laurenta na pozostałych. — Który to?

Jules Fontaine? — Mężczyzna spoglądał znad szklaneczki brandy.

Paul Dassin? — Pozostawał niewzruszony.

— Powiedźcie!

— To ja — odezwał się Paul Dassin. Oczy miał zapadłe, podkrążone, głos niepewny, nieomal szept. Chrząknął, jakby się dławił.

Robiąc najbliższe trzy kroki Houston nie zdawał sobie sprawy, że porusza się do przodu. Przygnieciony sytuacją, zatrzymał się i patrzył. Skupiony, skoncentrowany. Czyżby ten blady, chorowity mężczyzna był duchem jego dzieciennych fantazji? Mizerny, szczupły, wątły, wzbudzający raczej litość niż nienawiść? Delikatny, patetyczny?

Kiedy wzrok zaczął go zawodzić, nogi poddały się. Ruszył niepewnie w kierunku krzesła. Nigdy do niego nie dotarł. Upadł.

47

— Czy jest pan wystarczająco przytomny, by mnie rozumieć? — zapytał St. Laurent.

Houston wąchał ostry zapach brandy ze szklanki podsuniętej do jego ust. Wzdrygnął się i sięgając po nią skinął głową. Miał potłuczone plecy. Każdy ruch wywoływał ból, był jednak tak zawstydzony, że mimo to nie chwiał się na nogach. Wręcz przeciwnie. Czuł się rozdrażniony i otrzeźwiony.

— Doskonale. W takim razie przejdziemy do interesów. Będę z panem szczery — powiedział St. Laurent do Houstona. — Całkowicie.

— Nie widzę takiej potrzeby.

Głos gniewnie nalegał. Houston drgnął zaskoczony i odwrócił się

164

w kierunku mającego wątpliwości mężczyzny. Przyrodniego brata, Chaflesa, którego medalik pobłyskiwał na piersi.

-s- Nie zgadzam się. Nie powinniśmy mu mówić. To zbyt ryzykowne. Jylówię: zabić i będzie po kłopotcie.

— Wiemy — odpowiedział St. Laurent. — Mówiłeś to już tyle razy. Nawet próbowałeś to kilkakrotnie zrobić. Bezskutecznie.

\_-- Tym razem nie będzie błędu.

— Zabiłeś moją żonę? — powiedział Houston.

(^harles spojrział na niego z butą w oczach.

— Ty? — zapytał podniesionym głosem Houston odstawivszy szklankę i wstał z atlasowego krzesła. — Ty prowadziłeś tego tira?

^fi Oczywiście, że nie.

^- Ale ty wydałeś rozkaz? To ty ją zamordowałeś?

f-Iouston kroczył przez pokój, zżerany przez rozpalającą go nie^wiść. Szedł sztywno, jedna pewnie postawiona noga, potem nas^pna, zaciśnięte mocno obie pięści. Pole widzenia zwęziło się tak, że obejmowało już tylko Charlesa.

potarł do celu. Charles odsunął się, by go uniknąć.

\_-- Panie Houston — nalegał St. Laurent.

f^ouston zrobił kolejny krok.

s- Nie mogę na to pozwolić — St. Laurent w dalszym ciągu nalegał.

Charles cofnął się, obchodząc stół. Houston zrobił jeszcze jeden krok i poczuł powstrzymujące go silne ręce.

Strażnik nacisnął nerwy za uszami Pete'a. Ból był absolutny, rzucający na kolana. Wił się tak bezsilny, że nie mógł nawet jęknąć. Talc ^amo szybko jak się pojawił, ból zniknął. Strażnik cofnął się. Pete złąpgj oddech i zaczął rozcierać obolałą szyję. Osunął się na podłogę.

^- Proszę nie nadużywać mojej cierpliwości — ostrzegł St. Laurent. — Jest pan gościem. Proszę się odpowiednio zachowywać.

f>ete skinął głową, masując pulsującą szyję.

Charles rzucał zza stołu gniewne spojrzenia.

^\_ - Teraz widzicie. On nie panuje nad sobą. Będziemy głupcami ufając mu.

v\_ - Dokonaliśmy wyboru. Nie będziemy go zmieniać.

^ Ale...

^- Nie! Nie niszczy tego! — Tym razem zaproponował ojciec Houstona. Nie odzywał się od chwili, gdy przyznał się, kim jest. W czasie

fc

165

dyskusji nawet się nie poruszył. Teraz jednak przejął inicjatywę. Mimo mizernej twarzy i postaci, kiedy wysunął się do przodu, promieniowała od niego pewność siebie. — Spotkaliśmy się, aby to załatwić. Mówię w moim i Jacquesa imieniu i nalegam na jakieś akceptowalne rozwiązanie.

— Mnie interesuje tylko bezpieczeństwo mojej córki — odezwał się Monsard. — Chcę ochronić jej życie. — Drżał, pocierając wymalowane bruzdy na twarzy. Charakteryzacja schodziła, ukazując w groteskowy sposób kolejne warstwy delikatnej gumy. W jego oczach Houston dostrzegł niepokój.

— Ma rację — zgodził się Fontaine. Sięgnął pod swój marynarski blezer i wyjął papierośnicę. — Cała ta gadanina jest niepotrzebna. — Fontaine zapalił papierosa. — Ciągnij dalej, tak jak zaplanowaliśmy — powiedział zwracając się do St. Laurenta, po czym podszedł do Houstona i pomógł mu wstać. — Proszę, niech pan zapali. Niech pan siada i słucha. To dotyczy pańskiej przyszłości.

Głęboko, z ulgą, Houston zaciągnął się i powrócił do krzesła. Choć nie patrzył na Charlesa, czuł na sobie jego wzrok.

— Czy wszyscy się zgadzają? — zapytał St. Laurent. Nikt nie odpowiedział, Pete wyczuwał napięcie.

— Doskonale. Pisze pan powieści. Opowiem panu pewną historię. W czterdziestym czwartym byłem podwójnym niemieckim agentem.

— Przyznaje się pan?

— Nic nie osiągniemy, jeśli będę pana okłamywał. Chcę, by pan wierzył w moje dobre intencje. Houston gapił się z niedowierzaniem.

— Działalem przeciw aliantom. W zamian za to Niemcy płacili mi złotem. Z takich początków rodzą się wielkie projekty. Domyśliłem się, że gdyby mieli mało złota, nie użyliby go do regulowania ze mną swych rachunków. A zatem mieli go dużo. Cofali się, grabiąc wszystko, co było coś warte. Musieli mieć na to jakieś tajne kryjówki, bez wątplenia pełne kosztowności. Problem polegał na tym, jak by je od nich przechwycić.

Houston siedział nieruchomy, wyprostowany. Pochylił się do przodu.

— To o to chodzi? Ukradł pan ich...

— Niech pan nie próbuje odgadywać tej historii. Jest bardziej

166

zawiślana, niż się pan domyśla. Nie ukradłem złota. Nie musiałem. Dostałem je.

Houston zdębiał.

— Niemiecki generał stał przed dylematem — ciągnął St. Laurent. — Był przekonany, że wojna wkrótce się skończy, że Niemcy ją przegrają. Hitler zwariował, odrzucał to, co było już oczywiste, planował heroiczną batalię w obronie Niemiec przed aliantami. Vaterland zbankrutował. Lecz zdobyte przez cofające się armie skarby mogły pozwolić na sfinansowanie nowej ofensywy.

— Bzdury.

— Do takiego samego wniosku doszedł generał. Dalsze bezsensowne cierpienia. Zbędne okrucieństwo. Złoto, za które zginęło tylu ludzi, zostałyby roztrwonione na uśmiercanie następnych. Bez żadnego uzasadnienia. Jednak nieposłuszeństwo wobec Hitlera groziło egzekucją. Co więcej, okazało się, że Hitler nie tylko nie doceniał bohaterstwa swych powracających oficerów, ale byli nadto karani za niewykonanie powierzonych im zadań. Nie było sensu wracać do Vaterlandu. Generał dowiedział się, że jego dwaj synowie zginęli w walce, a żona z rozpaczy popełniła samobójstwo. Jaką miał przyszłość? Nie ufał swoim oficerom na tyle, by ich prosić o pomoc. Potrzebował kogoś bez skrupułów. Wezwał oczywiście mnie. „Dziesięć milionów dolarów w złocie — powiedział — jest twoje, jeśli pomożesz mi się stąd wydostać tak, by nie dostali mnie alianci.” Ameryka Południowa. Tam, dzięki swej części, mógł żyć w dostatku.

— Zgodził się pan?

— Najtrudniej było znaleźć ludzi do pomocy. Nie ufałem moim rodakom. Byli zbyt wierni swej ojczyźnie, bezinteresowni. Przyglądałem się Amerykanom i znalazłem oddział, któremu gotów byłem zaufać. Młodzi żołnierze, z mordowani w bitwach, które przeszli, gotowi zdezerterować. Nie mieli jednak dokąd. Coś musiało ich przekonać. Kilka milionów dolarów wystarczyło.

— Myśl o tych wszystkich pieniądzach — odezwał się Fontaine — wartych więcej, niż mogłem marzyć, niż kiedykolwiek widziałem. Nie wie pan, co to znaczy. Walczyliśmy bez przerwy.

Inwazja. Łądowanie na plaży i... Nikt nie uprzedził mnie, że będę tak się bał.

Houston zauważył, że jego ojciec nic nie mówił-

— I co potem? — zapytał St. Laurenta.

— Powiedziałem generałowi, że Amerykanie wkrótce zaatakują.

167

Wysłał swych żołnierzy na front, również tych, którzy pilnowali złota. Posunięcie było logiczne.

Kto kradłby złoto w czasie ataku?

— Zamieszanie — dodał Houston. — Dziewięciu alianckich żołnierzy podkrada się. Niemcy, oczekując głównych sił z jednej strony, nie byli przygotowani na tak nagły najazd z drugiej.

— W szczególności gdy strona ta nie była pilnowana. Generał zadbał o to. Czekał na nas przy samochodach załadowanych złotem.

— Wzięliście ciężarówki i w nogi?

— Dokładnie. Mieliśmy szczęście. I tupet. I byliśmy bogaci.

— Był jednak kłopot. Wojna we Francji. Nie było jak wywieźć złota. Ładunek był zbyt duży i z pewnością ścigali was Niemcy.

— Nie zdążyli przed ukryciem złota. Odjechaliśmy piętnaście kilometrów od miejsca, gdzie je zakopaliśmy, spaliliśmy ciężarówki i uciekliśmy. Nasze mundury pozwoliły nam przejść przez amerykańskie linie.

— A generał..

— Był ubrany oczywiście tak jak my. Trwało to miesiąc. Wymagało trudnych do wyobrażenia zabiegów. W końcu dotarliśmy do Ameryki Południowej. Czekaliśmy. Kiedy skończyła się wojna, inni Niemcy też chcieli uciec spod okupacji. To nie znaczy, że pomagaliśmy maniakom. Było jednak wielu generałów zbyt gorliwie służących Hitlerowi. Obawiali się sądu w Norymberdze, więc aranżowaliśmy ich zniknięcie, bezpieczną podróż do Ameryki Południowej. Dobrze płacili za nasze usługi.

— W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym wróciliście do Francji.

— On wie — powiedział zaskoczony Fontaine.

— Pozwól panu powiedzieć.

— To wtedy dogadaliście się z Monsardem — powiedział Pete. — Myśleliście o tym przez cały czas ukrywania się. Nowa tożsamość. Wybraliście Francję jako swą bazę, bo tu było złoto. Monsard był pańskim dobrym przyjacielem z dawnych czasów. Nie miał nic. Przekupił go pan hotelem. Przeszukał kartoteki w ratuszu, znalazł odpowiednie nazwiska i wziął na siebie ryzyko zdobycia nowych świadectw urodzenia i paszportów. Potem podpalił ratusz. W rezultacie nikt nie mógł odkryć, że wasze nazwiska należały do dawno zmarłych dzieci.

— Jest pan bardzo zdolny.

168

— A co z księdzem?

— Miałem chwilę słabości. Wypowiadałem się. Byłem przesądny, [przyznaję, ale byłem młody i bałem się. Powiedziałem wszystko ufając [w tajemnicę spowiedzi. Miałem nadzieję, że jeśli wszystko się zawali, [będę mógł próbować negocjacji o swoją skórę.

— Pańskie bezpieczeństwo było w rękach tego uczciwego człowieka.

— Wiedziałem, że nic nie powie.

— A jednak musiał go pan zabić.

— To nieprawda. Zrobił to pański brat.

— Ale dlaczego?

— Proszę jego o to zapytać.

— Książd był coraz słabszy — powiedział Charles. — Mógł się [wygadać.

— Zacząłeś się denerwować — powiedział do niego St. Laurent.

— Ty też mnie denerwowałeś. Gdybym wiedział, co zamierzasz...

— Ktoś musiał naprawić twoje błędy. Obaj patrzyli na siebie.

— Charon — rzucił Houston. Odwrócili się nagle w jego stronę.

— Charon — powtórzył.

— To słowo wzięliśmy z klasycznej mitologii. Przewoźnik do I świata zmarłych. Płacisz mu, a on cię przewozi. To samo robiliśmy dla [tych Niemców. Charon był naszą ukrytą nazwą.

Zachowaliśmy ją jako [zawierający wszystko termin, jednoczący Verlaine i tuziny innych

[korporacji w równie wielu krajach świata. Korzystając ze sposobów

sprawdzonych przy okazji przerwania Niemców, zajmujemy się obecnie zymś, co by można określić jako import-eksport biznes.

— Heroina? — zapytał Houston, przypomniawszy sobie, co mówił jllay.

— To prostackie.

— Broń?

— Bez pytań, proszę. Ma pan wystarczająco dużo informacji, by rozważyć naszą ofertę. — St. Laurent przyglądał się. — Niech pan do nas przystąpi.

Houston zbladł. Cały czas zastanawiał się, po co St. Laurent to zrobił, po co ta rozmowa, te wyjaśnienia. Nie doszedł do żadnej

169

konkluzji, lecz wśród różnych rozważanych możliwości propozycja ta nie pojawiła się nigdy. Nie był na to przygotowany. Myśli kłębiły się.

— Przystąpić do was?

— Proszę się rozejrzeć. Jak pan wie, oprócz mnie było jeszcze dziewięciu amerykańskich żołnierzy. Po trzydziestu siedmiu latach zostaliśmy tylko my. Wypadki, choroby, samobójstwa. Śmierć powołała naszych przyjaciół. Oczywiście stanowimy najwyższą władzę. Odpowiedni ludzie pracują w licznych korporacjach, ale ich wpływy są ograniczone. Jeden nie wie, co robi drugi. Tylko my panujemy nad całością, wiemy, jak funkcjonuje Charon. Wiąże nas sekret o naszych początkach. Cały czas utrzymywaliśmy władzę w naszych rękach, bez względu na to, jak poczyniała sobie śmierć. Lecz teraz niezgoda, jaką wprowadził pan między nas, grozi nam w końcu zniszczeniem. Mój drogi przyjaciel uważa, że jesteśmy dla niego zagrożeniem. Pański ojciec również. Chociaż nigdy pana nie znał, jest w jakiś sposób z panem związany, czuje się zobligowany. Mniej niż Monsard, ale jednak zobligowany. Gdybyśmy pana zabili, myślałby o tym, dręczył się, gniewałby się.

Houston zwrócił się w stronę ojca, badając jego podkrążone, zaniepokojone oczy.

— Obraz jest, być może, przejaskrawiony — kontynuował St. Laurent — jednak niezbędna jest natychmiast świeża krew. Nie wiem, kto byłby lepszy od kogoś, ktv> odkrył naszą tajemnicę.

Jest tylko pytanie, czy potrafi pan ją zachować? Oczywiście jeśli zaakceptuje pan naszą propozycję, nie tylko doda pan potrzebnych nam sił. Zakończy pan panującą wśród nas niezgodę. Znowu będziemy w pełnej harmonii.

— Z wyjątkiem Charlesa.

— On wie, co jest dla nas najlepsze. Rozumie. Dostosuje się.

— Ale dlaczego ja mam się dostosowywać? St. Laurent roześmiał się.

— Myślę, że pańskie korzyści są ewidentne. Jeśli się pan nie zgodzi, będziemy musieli pana zabić. I Simone, oczywiście. Bez względu, jaką przykrość to nam sprawi. Proszę pomyśleć o Simone. Jeśli czuje pan coś do niej, proszę dokonać wyboru mając to na uwadze. Niech pan pomyśli o fortunie, którą oferuję.

— Żadne pieniądze...

— ...nie wyrównają utraty żony. Oczywiście. Nie mam zamiaru

170

ina przekonywać. Proszę tylko, by był pan praktyczny. Mamy I problem. Niech pan powie, jak możemy go rozwiązać.

— Jest pewien szkopał.  
 — Czyżby?  
 — Czy zaufacie mi, jeśli się do was przyłączę? Będę ciągłym [zagrożeniem].  
 St. Laurent pokręcił głową.  
 — Jeśli jest jakiś problem, to go pan nie znalazł. Straciwszy żonę, [nie będzie pan prowokował następnej straty. Jeśli nas pan zdradzi, zabijemy pana. To, być może, nas nie uratuje, lecz przynajmniej się ' zrewanżujemy. Widzę, że się pan zastanawia, jak się do was dobierzemy i z więzienia. Dzięki umowie. Ktoś, kogo nigdy pan nie widział, ma odpowiednie środki. Zapłaci mordercy. Już walczył pan o swoje życie. Wie pan, co to rozpacz i strach. Z pewnością nie chciałby pan powtórki. Ani dla Simone, ani dla siebie. — Wiatr gwizdał przez okna. — Dyskutowaliśmy już wystarczająco długo.  
 — Muszę o tym porozmawiać z ojcem — rzekł Houston. St. Laurent nabrał powietrza. Ojciec Houstona zmarł i zbladł. — Tylko my dwaj. Sami — dodał. — Jest kilka spraw, które chciałbym poznać.  
 Charles odezwał się z pogardą.  
 — Rodzinna narada. Wzruszające. Ojciec Houstona odpowiedział.  
 — To również twoja rodzina.  
 — Urodziłem się w niej przypadkowo — odparł Charles. — Nie uznaję tego związku. Zgodzę się na to, co zadecydujemy wspólnie, choć bez entuzjazmu.  
 — Nie ma powodu, byś był zazdrosny.  
 — Z pewnością. Ani zakłopotany, ani rozgoryczony. Ponieważ to twój błąd, radź sobie z nim sam.  
 — Charles wzruszył ramionami. Pełen pogardy przeszedł pokój i z trzaskiem otworzył drzwi. Spojrzał lekceważąco na Houstona i wyszedł. Omal nie zderzył się z nadchodzącym w pośpiechu strażnikiem.  
 — O co chodzi? — zapytał St. Laurent unosząc brwi. Strażnik już chciał odpowiedzieć, lecz widząc Houstona zatrzymał się i kiwnął głową w stronę korytarza.  
 — Wybaczcie mi — powiedział wychodząc St. Laurent. — Tak,  
 171

niech pan przedyskutuje to z w niewymuszony sposób. —

— Co?

— Pan, ojciec... i strażnik.

— Próbował powiedzieć to

z °Jcem P° dziedzińcu,

^gdzał

^ch z podestu. Miał wrażenie, że

Wiatr był zimny. Houston p podczas gdy strażnik spoglądał ^  
 obserwują ich z ukrycia inne oc^a aje nie zwracał na to uwagi. Czuł się jednocześnie tym opuszczonV? chłopcem, którego sen stał się w końcu rzeczywistością, i doro Vi^jj mężczyzną, widzącym na jawie swe nocne koszmary. W

Patrzył na sierp księżyca. Po Ljał o Simone, o tym, jak martwi się czekając tam na urwisku, f^^tła reflektorów odbijały się od kamiennego dziedzińca. Odwrac^^ sję, Houston spojrział ojcu w oczy.

— Dlaczego? M Ojciec też mu się przyglądał.

— Nie wiem, co o mnie mó% 9

— Byłeś wspaniały. ił^ Ojciec wzruszył ramionami.

— Nie pasowaliśmy do siebie Zdawało się, że dziedziniec pN-

— Kłamiesz! Do śmierci Ojciec zmarł w bezruchu,

— To znaczy, że... Carol nie Bryła lodu pograżyła się w i&

— Kiedy? — zapytał ojciec.

— Dwa miesiące temu.

się.

że cię kochała. w niego wzrok.

Houstona.

tylko pięćdziesiąt (Ał-

— Ciągle pamiętasz? ^

— Oczywiście. Zawsze o niej się jej życie, jaki ty byłeś, co rok

— Mówiłeś, że nie pasowaliś'lis

— To nie znaczy, że jej nie \^

— Nie rozumiem.

— To szczególny ból — odrz& ^i

\\P)

172

lat! ^tem. Byłem ciekaw, jak ułożyło

siebie.

a\em.

— Kochać kogoś i wiedzieć,

że nie jest się kochanym. Lepiej było się rozstać. Ty zjawiłeś się przypadkowo. Houston zbladł.

— Nie wiedziałeś? — zapytał ojciec.

— Myślałem, że chcieliście mnie.

— Zrozum, proszę. W tamtych czasach seks nie był sprawą tak [oczywistą jak dzisiaj.

Zapobieganie ciąży nie było powszechne. Miałem [znajomych, którzy stosowali środki

antykonieczne, ale ja nie byłem I do nich przekonany ani wystarczająco cyniczny, by to robić.

Oboje [zgodziliśmy się poczekać, lecz pewnej nocy pokonała nas namiętność. [Ten jeden raz.

Jedyny. Ty stałeś się jej konsekwencją. Aborcja była [wtedy nie do pomyślenia. Ani moralnie, ani

prawnie. Ludzi, którzy to Irobili, uważano za morderców. Chcieliśmy się pobrać, kiedy skończę

[szkołę. Zamiast tego pobraliśmy się w miesiąc po tym, jak Carol [zauważyła, że spodziewa się

dziecka. Dla mnie, ponieważ bardzo ją [kochałem, wcześniejsze małżeństwo było spełnieniem

marzeń. Byłem [szczęśliwy. Lecz ona obawiała się skandalu, dezaprobaty ze strony I przyjaciół,

sąsiadów, rodziców. Liczyła, że będzie żyła godnie, że [ludzie będą ją darzyć szacunkiem, a tu stało

się inaczej. Mnie winiła [za to, że zaszła w ciążę. Może nawet znienawidziła.

— To dlaczego zawsze mówiła o tobie z taką miłością?

— By ukryć prawdę. Może myślała, że będzie ci przykro. Mogła sprawić, byś mnie znienawidził.

Zamiast tego przekazała ci jednak

I miłość, chciała, byś był dobry, przyzwoity.

— Pytałem ją, dlaczego nie wyjdzie powtórnie za męż. Z przekopaniem odpowiadała, że nie

znajdzie nikogo takiego jak ty. Mówiła: [„Jak mogłabym być szczęśliwa z kimś od niego gorszym?"

— Nienawidziła seksu. Kłamała, by ukryć swą urazę. Houston czuł w żołądku mrozącą pustkę.

— Chciała, byśmy się rozstali. W tamtych czasach i rozwód był 1 skandalem. Wtedy dopadła mnie

armia. Zgodziliśmy się, że kiedy

wojna się skończy, nie wrócę do niej. Separacja pozwalała na uniknięcie skandalu. Myślę, że

mogłem się bronić przed powołaniem, wkrótce miałem zostać ojcem. Lecz wojna stawała się coraz

cięższa. Potrzebowali każdego żołnierza, jakiego mogli dostać. Zwątpiłem, że mi się uda. Twoja

matka sprawiła, że czułem się zupełnie niepotrzebny. Nie protestowałem, gdy mnie zgarnęli.

Wysyłałem listy, ale nigdy nie odpowiedziała. Miałem nadzieję, że jeśli przeżyję wojnę, to

przekonam

173

ją, by zmieniła zdanie. Jednak w głębi duszy wiedziałem, że się nie zmieni. Kiedy pojawił się St.

Laurent, byłem tak zdemoralizowany, że skorzystałem z jego oferty. Widzisz, nie miałem nic do

stracenia. Sądziłem, że jeśli nagle stanę się bogaty, to uda mi się ją przekonać.

— Próbowaleś się z nami skontaktować?



— Nie mogłem. Już po wszystkim zdałem sobie sprawę, że sam siebie zatrzasnąłem w pułapce. St. Laurent nalegał, byśmy pozostawali w ukryciu. „Jeden błąd — mówił — jeden krok w kierunku poprzedniego życia, wiadomość wysłana komuś, kogo znaliśmy, i znajdziemy się za kratkami. Armia będzie śledzić naszych bliskich.” Przysięgał zabić każdego, kto będzie gadał. Od chwili dezercji musieliśmy sobie uświadomić, że każda taka próba oznacza śmierć. Wierz mi. Byłem skłonny zaryzykować wszystko i spróbować się do niej odezwać. Wtedy jednak zadałem sobie pytanie, czy była warta takiego ryzyka kobieta, która wielokrotnie robiła, co mogła, by mi pokazać, jak bardzo mnie nienawidziła. W końcu stchórzyłem.

— Dostała list.

— Tak. Od St. Laurenta. Wysłał taki do wszystkich naszych rodzin. To był swego rodzaju kompromis. W armii pewnie mówili im, że zaginęliśmy, ale my nie chcieliśmy, by czekali i łudzili się nadzieją, że żyjemy. List miał ich przekonać o naszej śmierci.

— Pewnie przekazali list do Departamentu Wojny.

— I co z tego? Ci z Departamentu nie mogli udowodnić, że list był fałszywy. Po pierwsze dlatego, że St. Laurent zniknął — nie mógł więc odpowiedzieć na ich pytania. Po drugie, w chaosie wojny przeoczenia i błędy się zdarzają. Mogli dojść do wniosku, że mają pomyłkę w kartotece — że ci żołnierze nie zaginęli, lecz polegli. Jakże inaczej można by wytłumaczyć groby, o których pisał St. Laurent? Mogli, co najwyżej, przeprosić. Mieli ważniejsze sprawy na głowie.

— Matka była przekonana.

— To było dla niej wygodne. Żadnego rozwodu. Zamiast tego została godną szacunku wdową. Chciała wierzyć, że nie żyję.

— I ożeniłeś się powtórnie. — W głosie Houstona pobrzmiwała gorycz.

— To dobra kobieta. Nigdy jednak nie kochałem jej tak jak twojej matki. Ciągłe tak samo, przez tyle lat. Samotny człowiek akceptuje kompromisy. Żyłem w strachu, że mnie złapią. Pomagały mi wspomnienia. Doczekałem się syna — widziałeś, jaki jest Charles — nic

174

niewart. Teraz wiem, że idąc z St. Laurentem, zrobiłem błąd. Wolałbym twoją matkę. Powinienem był wrócić do niej i spróbować raz jeszcze. Może by mnie pokochała.

— A co teraz?

— Chcę ocalić twoje życie. Chciałem, by Charles był taki jak ty. Nie mogę być ojcem dla ciebie — na to już za późno — ale mogę i traktować cię jak syna, którego powinienem ratować. Mogę cię ochronić. Możesz mnie nienawidzić, jeśli chcesz, ale i zaufaj mi. | Pozwól, że będę cię chronił.

— A Rosjanie?

— Co?

— Współpracujecie z Rosjanami.

— Kompletny nonsens. Jesteśmy przestępcami, ale nie wariatami. ! Jak mogłeś dojść do takiego absurdu?

— Człowiek o nazwisku Bellay mi o tym powiedział.

— Nie znam go.

— Z francuskiego kontrwywiadu. Jest przekonany, że Verlaine [ jest bazą dla radzieckich agentów.

— Peter. — Ojciec po raz pierwszy zwrócił się do niego po imieniu. Pete nieomal odpowiedział — ojciec.

— Nie jesteśmy szpiegami. Jesteśmy starszymi facetami, którzy raz wychodząc poza granice prawa zorientowali się, że muszą już tam pozostać. Tamto przestępstwo zrodziło następne. Nie mogliśmy sprzedać złota poprzez legalne instytucje. Byłoby za dużo pytań. Skorzystaliśmy z usług paserów, mafijnych brokerów. Wzięli połowę wartości złota. I tak nasz zysk był olbrzymi. Byliśmy jednak chciwi. Aby zrekompensować sobie straconą połowę, musieliśmy zainwestować. Tu znowu pojawił się kłopot: jak wyjaśnić źródło naszych funduszy. W końcu zaczęliśmy współpracować z mafią. Dowiedzieliśmy się, jak pierze się brudne pieniądze, o ile kolejne przestępstwo jest łatwiejsze od poprzedniego i o ile bardziej lukratywne niż legalny interes. Teraz mafia kontroluje nas. St. Laurenta też. Wykonujemy jego rozkazy. Jesteśmy od niego słabsi, obawiamy się jego

zemsty, gdybyśmy go zdradzili.

— A ta jego zgoda na mnie i Simone, by zadowolić ciebie i Monsarda. To nielogiczne.

— Skalkulowane ryzyko. Potrzebne są mu nasze dobre intencje. W jakimś stopniu uspokoi nas. Gdybyśmy się podzielili, Yelaine by

175

upadł. Charon byłby zniszczony- A co za tym idzie, wszystko, co St. Laurent zbudował. Nawet teraz obawia się, czy Charles nas nie rozdzieli. My jesteśmy spokojni, & Charles jest niebezpieczny. Chociaż nie lubię tego o nim mówić, jednak to zły człowiek. Pokonaj go.

Wykorzystaj Verlaine do czegoś pożytecznego.

— Chryste, tak samo obawiasz się Charlesa jak St. Laurenta.

— Dużo bardziej. To straszne wiedzieć, że moje ciało i moja krew mogą mną tak pogardzać jak c? n- Jeśli jest zagrożeniem dla swego ojca, to kto może czuć się bezpiecznie? Nie ma hamulców. Jest bezwzględny.

— A więc zamiast z nim walczyć, zwalasz całą robotę na mnie? Znowu robisz to samo. Nie potrafiłeś walczyć o swoje małżeństwo. Nie będziesz walczył przeciw synowi. To o co w końcu chcesz walczyć? Wiele lat temu zwróciłeś się <io St. Laurenta, by ci powiedział, co robić. Dzisiaj zwracasz się do nifue- Boże, zwróć się do siebie samego i pomóż sobie. Sam kieruj władnym życiem! Bądź za nie odpowiedzialny!

— Właśnie to robię. Walczę o twoje życie.

Pete zadrżał na wietrze. Reflektory świeciły mocno, ale nie dawały ciepła. Kłuły jak igły lodu.

— Zabiłeś moją żonę! — krzyknął i chwycił ojca chcąc go zniszczyć. Gotów był uderzyć pięścią, zdusić, zabić! Zapłaciłby! Za wszystko!

Zamiast tego trzymał go mocno i szlochał.

49

Z cienia wyłonił się St. Laurent. Houstona przeniknął dreszcz. Obecność tego człowieka, zbli<sup>aj4ceg</sup> się bez słowa, wionęła chłodem. Miał na sobie czarną jak smoła pelerynę, idealnie pasującą do ciemności, z których się wyłonił- Podoszyta szkarłatem, w połączeniu z jego lśniąca, ukryzowaną koszulą i szerokim, złośliwym uśmiechem, tworzyły nienaturalną, groteskową kolorystykę. Przenikliwymi oczami badał Houstona, pełne usta ściągnął ironicznie.

— Czy to jest pojednanie, panie Houston? Odpowiedzi nie było.

— Muszę przyznać, że pańska niechęć przekonuje mnie — ciągnął St. Laurent.

176

Houston w dalszym ciągu nie odpowiadał.

— Gdyby zdecydował się pan zbyt łatwo, zacząłbym coś podejrzewać. Może jednak inny gość będzie mógł pana przekonać.

— Ktoś inny?

— Tak. Proszę za mną.

St. Laurent ujął pelerynę i odwrócił się w stronę ciemności. Houston widział jego plecy. Kiedy ruszył przed siebie, Houston nagle stracił go z oczu. Zniknął. Wchłonęła go noc, jakby połykając. Jakiś niesamowity dreszcz przeniknął Houstona.

Jeszcze coś wywoływało to uczucie. Alpejski wiatr dął od gór, niosąc ze sobą lodowaty ziąb.

Założył ręce otulając się w swoją wełnianą kurtkę. Mimo to mroźny wiatr przenikał ją, szczypiąc dokuczliwie. Kiedy porywy wiatru szarpały jego włosy, ujrzał, jak przetaczające się chmury zasłoniły księżyc. Ostrzegął Simone przed zdarzającymi się w tych górach nieoczekiwanymi i wyjątkowo gwałtownymi burzami. Teraz myślał o niej, czekającej tam bez żadnego wyposażenia. Martwił się o nią, przeklinając swoją głupotę, błąd, który popełnił pozwalając jej tam zostać. Powinna wrócić do samochodu. Jeśli zacznie padać śnieg...

— Czekam — odezwał się nie bardzo wiadomo skąd głos St. Laurenta.

Houston coś przeczuwał. Wtem wiatr zaciął gwałtowniej. Poza światłami reflektorów chłód stał się jeszcze bardziej dokuczliwy. Nie widział nic, zanim oczy nie przyzwyczyły się do ciemności.

Stąpił po omacku, obawiając się zderzenia ze ścianą. Szurał nogami po kamieniach dziedzińca.

Wysilił wzrok — przed nim pojawiło się światło, rozlewające się z otwieranych drzwi.

Ujrzał St. Laurenta, jak z błyskiem w oczach gestem zapraszał do wejścia. Skowyt wiatru nie ustawał. Houston spojrział wstecz, na dziedziniec, gdzie duże płatki śniegu zacinęły z ukosa osiadając na kamiennym podłożu. Wchodząc do środka wstrząsnął ramionami. Ojciec wszedł za nim. Na końcu St. Laurent, zamykając drzwi.

Houston ostrożnie rozejrzał się wzdłuż bogato zdobionych ścian korytarza. Ogarniający go niepokój rodził wrażenie, że korytarz staje się coraz dłuższy.

— Nie, nie tędy. — St. Laurent przechylił głowę wskazując zejście po prawej stronie. Kręte, strome schody prowadziły w dół. Na

7 — Przysięga zemsty

177

ścianach wykonanych z granitowych bloków widoczna była idealnie równa sieć szczelin. Od patrzenia w dół Houston dostawał zawrotów

8<sup>o</sup> Zniusił się do zejścia. Granitowe ściany odpowiedziały echem, gdy ruszył w dół spirali.

Schodząc w podziemia wyczuł chłód i wilgoć. Schody prowadziły głębiej, niż się spodziewał.

Dookoła i dookoła. Za każdym obejściem wydawało mu się, że ujrzy dno, lecz schody wiodły jeszcze niżej. Karuzela ta wciągnęła go do tego stopnia że kiedy w końcu dotarł na sam dół, skręcił dalej oczekując kolejnych stopni - i stanął w korytarzu oświetlonym 2akurzonymi lampami.

Zawieszono wzdłuż sufitu, w dużych odstępach, t ledwością rozpraszały mrok.

Wyczuwał ostry zapach. Na Kamieniach połyskiwała wilgoć. Rozejrzawszy się Houston dostrzegł dwa inne identyczne korytarze, skręcające na prawo i na lewo.

— Tędy — powiedział St.

Na prawo.

Ruszył, za nim ojciec, a dalej ciężko stąpający St. Laurent. Houston wyczuwał jakieś ciśnienie w piersiach. Zastanawiał się, czy nie powinien wykorzystać szansy - załatwić St. Laurenta i spróbować się wydostać.

St. Laurent zatrzymał się i sięgnął do masywnych, żelaznych drzwi.

Szarpnął i pociągnął je. Uchyliły się ze zgrzytem.

Błysnęło światło, rozlewając się w miarę jak drzwi otwierały się.

St Laurent cofnął się. Rozbawiony, obserwował twarz Houstona.

Nie wierzył w to, co zobaczył. potem był szok i strach. Sala tortur. Koło do łamania kości, prasy, łańcuchy i ostre narzędzia. Obok Charlesa, wyłaniającego się z Perwersyjną rozkoszą i płomiennym zachwytem w oczach, Houston dostrzegł kogoś szarpiącego się na krześle. Ręce i nogi zaciskały mocno grube, skórzane pasy, a szyję i czoło otaczały metalowe obejmy.

Patrzył na Simone. Złapał się drzwi, jęknął, walczył z paraliżującą go niemocą.

To musi być blef. Ona nie może tu być! Jak, na miłość boską, ją znaleźli? Co Charles, na Boga, jej robił?

Pod pasami dostrzegł jej napinające się mięśnie. Piersi unosiły się ciężko pod swetrem. Wierciła się jak oszalała.

Raptem Houston poczuł przyływ sił. Niemoc zmieniła się w furję.

Ruszył do przodu.

178

— Jeśli jej coś zrobisz, Charles... — Gardło miało tak ściśnięte, że słowa przypominały warczenie psa.

Dopadł do swojej ofiary.

Tym razem Charles się nie cofnął. Wyprostował się zuchwale.

— Jeszcze jeden krok i zatrzasnę dźwignię tej obejmy. Zgruchocze jej kark.

Charles złapał za dźwignię. Houston zatrzymał się. Płuca zaczęły mu płonąć.

— Nic się jej nie stało. — Houston usłyszał głos St. Laurenta i odwrócił się podejrzliwie.

— Oczywiście, to krzesło ma poprawić jej postawę! To terapia lecznicza!

— Ma pan moje słowo — powiedział do niego St. Laurent.

— Gównno warte!

— Jest tak, jak powiedziałem. Nic się jej nie stało.

Ojciec Houstona stał w drzwiach, blady i zakłopotany, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

— I myśli pan, że przyłączę się do takich ludzi? — Twarz Houstona wykrzywiła się z odrazą. Jego ojciec otarł chusteczką usta.

— Wysłuchaj go.

Houston zachwiał się. Przełknął ślinę\* z całych sił próbując się opanować. Oparł się o koło.

Wpatrywał się w nie przerażony, starając się uspokoić oddech i napinając mięśnie, by ukryć ich drżenie. I — Jak ją znaleźliście?

— Proces eliminacji — odpowiedział St. Laurent. — Cały zewnętrzny parkan jest w zasięgu kamer. Wiemy, że nie wszedłeś tamtędy. A więc przez urwisko. Moi ludzie weszli tam na poszukiwania.

— W nocy? To zbyt niebezpieczne. W każdym razie musiałoby to trwać znacznie dłużej.

— Gdyby musieli wspinać się po linie, to masz rację. Lecz jest lepsza droga na szczyt.

— Tunel?

— Bardzo podobny do tego, którym uciekliście z myśliwskiego domku. Pozostał po czasach, kiedy mieszkańcy zamku obawiali się oblężenia. Tym ukrytym przejściem mogli przynosić żywność i wodę. Panowie zamku mogli nim uciec. Simone ukryła się, ale ją odnaleźli. Była na tyle mądra, że się nie opierała.

179

— Zdejmijcie tę uprząż.

— Jak tylko się pan uspokoi.

— Jeśli tego nie zrobicie...

— A więc pat. Dobrze, zrobię pierwszy ruch. Charles, zdejmij to, proszę.

— Ale...

— Zrób to.

Charles niechętnie odpiął zatrzaski po obu stronach obejmy i zdjął ją, spoglądając spode łba. Gdy Houston ujrzał odciski metalowej obejmy na jej czole i szyi, jego wnętrzości wypełniła gorycz.

Drżąc, podszedł do niej.

Niezgrabnie pokręciła głową w obie strony. Poruszyła obolałą szczęką. Rozmasowywała szyję.

Kiedy się w końcu odezwała, mówiła chrapliwym szeptem.

— Pete... — Przełknęła, by zwilżyć gardło. Przytrzymał ją, po czym odwrócił się w stronę St. Laurenta:

— Jeśli nie ma pan zamiaru nas okaleczyć, to po co...

— ...zaaranżowałem to przedstawienie? To bardzo proste. Aby pokazać, co się stanie, jeśli odmówicie współpracy. Proszę mi wierzyć, gdybym chciał jej coś zrobić, przygotowałbym bardziej przekonującą demonstrację. To symbol gwarancji, którą oferuję. Charles, uwolnij jej ręce i nogi. Charles wyduł wargi. Po chwili słowa dotarły do właściwej szufladki i łaskawie raczył zwolnić pasy.

Simone masowała nadgarstki i kostki u nóg. Zbyt szybko spróbowała wstać. Jeszcze osłabiona, straciła równowagę. Houston złapał ją.

— Mówił pan, że potrzebowałem właśnie pana do schwytania Simone i gdy tylko to nastąpi, zlikwiduję was oboje.

Houston skinął głową.

— Inteligentne założenie. Jednak błędne. Moja oferta jest nadal aktualna. Przyprawdzając pana tutaj, mógłbym pokazać jedynie zwłoki — ostatnią rzecz, którą by pan zobaczył. Zamiast tego jej uwolnienie świadczy o mojej wielkoduszności. Co jest bardziej atrakcyjne? Śmierć czy poczucie bezpieczeństwa? Tortury czy spełnienie marzeń? Jest pan człowiekiem z zasadami, to pewne. Lecz kompromis jest czasami nieunikniony. Proszę jednak pamiętać, że jeśli się pan zgodzi, a później nas zdradzi, to ta sala będzie pańskim przeznaczeniem.

— Słuchaj go — powiedział ojciec Houstona.

180

— Tak, słuchaj go — drwił z niego Charles.

Żelazne drzwi pozostały nie domknięte. Z głębi korytarza dochodziły zbliżające się odgłosy kroków.

Houston odwrócił się w ich kierunku.

Z korytarza wpadł Monsard. Jego postać jakby zanikała, stawała się mniejsza, bardziej krucha. Twarz wydawała się starsza, oczy zionęły gniewem. To, co zobaczył, zatkało go.

— Co zrobiłeś? — zwrócił się do St. Laurenta.

— Nic, co by dotyczyło ciebie.

— To moja córka.

Ojciec Houstona pozostawał na uboczu.

— Gdybyście nie mieli dzieci, nic by nam nie zagrażało! Ale, do cholery, jesteście moimi przyjaciółmi! Jeśli ją zabiję, nie wybacysz mi! Jeśli zrobię to z jego synem, on też mi nie wybaczy! Wszystko, co zbudowałem, będzie zagrożone! Przekonaj ich! Pomóż mi oszczędzić ich życie! I wasze życie!

Złowrogi krzyk St. Laurenta, będący konsekwencją odmowy Houstona, rozchodził się po pomieszczeniu, odbijając się od narzędzi tortur.

Monsard błagał spoglądając w patetycznym udręczeniu.

Houston zwrócił się w stronę swego ojca, przejęty żalem, litością i zwątpieniem. Nie chciał umierać. Nie chciał, by zginęła Simone.

— Dobrze — powiedział niechętnie. — Przyłączę się. Oczywiście St. Laurenta błysnęły triumfalnie.

— A Simone?

Patrzyła w twarz Houstona. Czuł jej napięcie.

Houston skinął głową, po czym Simone zwróciła się do St. Laurenta.

— Zrobię to, co mówi Peter. Napięcie powoli ustępowało.

— Doskonale. A teraz szybko. Kto jeszcze wie o naszym sekrecie? Kto był zaplątany w wasze dochodzenie?

— Co to ma wspólnego z...

— Wszystko. Musimy być ostrożni. Kto jeszcze wie, co odkryliście?

— Chce pan ich zlikwidować?

— Oczywiście, że nie. W przeciwieństwie do twojego brata preferuję tradycyjne środki. Można ich przekupić, wprowadzić w błąd. Może pan iść do nich i podrzucić im nową, prowadzącą donikąd informację. Kto?

181

— Nadintendent na cmentarzu.

— Tak, wiemy. Kto jeszcze?

— Zwrócił się do wywiadu wojskowego.

— Nazwiska tych ludzi?

— Nie podał mi ich.

— Znajdziemy sposób. Sprawimy, że opłaci im się zamknąć dochodzenie. Jedną z zalet wielkiej fortuny jest to, że nasze łapówki mogą być wyjątkowo wysokie, zbyt wysokie, by je odrzucić.

— Dzwoniłem do Stanów, do człowieka o nazwisku Hutchinson.

— Tak. To syn Fontaine'a.

— Był wyraźnie zły, że go niepokoiłem.

— W przeciwieństwie do pana zainteresowanie ojcem nie jest jego obsesją. Zapomni.

Pete próbował sobie przypomnieć.

— No i Bellay oczywiście. Ale, jak się okazało, on pracuje dla was.

— Proszę?

— Alfred Bellay. Jest funkcjonariuszem francuskiego kontrwywiadu. To ten, który powiedział wam o naszym wyjeździe do myśliwskiego domku.

— Nigdy nie słyszałem o tym człowieku! Houston poczuł odrętwienie w piersi.

— Jeśli nie pracuje dla was, to skąd wiedzieliście, gdzie się ukryliście?

— Wykorzystałem informatora w policji. Też go nie znam.

— Zna was — powiedział Pete. — Utrzymuje, że od roku was rozpracowuje.

St. Laurent zamarł.

— Tego się właśnie obawiałem.

— Zajmę się tym — odezwał się Charles.

— Tak, zrób to szybko.

St. Laurent zwrócił się do Houstona.

— Proszę nam wybaczyć. Żałuję, że nie mogę zaoferować wam lepszych warunków.

— Co? Chce nas pan tu zostawić? »

— To niewygodne, ale konieczne. Mam nadzieję, że z Simone nie będzie się pan czuł osamotniony.

Ojciec Houstona wyglądał na zakłopotanego.

— Pete, przykro mi.

182

— To podstęp? Kłamałeś?

— To bardziej cywilizowany sposób niż tortury — rzekł St. Laurent do Houstona. — Bardziej efektywny.

Monsard krzyknął:

— Nie!

— Mój drogi przyjacielu, rozczarowujesz mnie — powiedział St. Laurent. — Przyprawiasz mnie o mdłości. Twoja słabość nam zagraża. Twój sentymentalizm jest niebezpieczny.

— Skurwieli! — Monsard zaczął kląć po francusku. St. Laurent tylko się uśmiechnął.

— Takie słowa pomiędzy przyjaciółmi. Bardzo dobrze. Tak mocno niepokoisz się o córkę, więc sądzę, że powinieneś zostać razem z nią. Skorzystaj z okazji i zrób rachunek sumienia, przygotuj się.

Monsard zatrząsł się z gniewu. Uderzając pięścią, zwinął się nagle przed St. Laurentem, który stał niewzruszony, obojętny, jak gdyby odporny na wszelkie ciosy. Zaczął się śmiać.

Raptem Houston zrozumiał dlaczego. Charles, jakby przewidując, wysunął się do przodu. Kiedy jego prawa ręka schwyciła pięść Monsarda, lewa, uzbrojona w maczugę, wzięła szeroki zamach. Uderzyła w czoło starego człowieka, rozdzierając skórę na głowie. Krew bryznęła na włosy i zalała mu twarz. Jęknął, osunął się na kolana i upadł.

Pete wstrzymał oddech. Simone krzyknęła, rzucając się w stronę ojca. Charles obrócił się, zastanawiając się, czy i jej nie powinien uderzyć. St. Laurent uniósł rękę powstrzymując go. Dwaj strażnicy wskoczyli do środka.

Gniew Pete'a sięgnął szczytu.

— Charles, jesteś wyjątkowo dzielny w takich sytuacjach.

— Chcesz spróbować?

— Nie bądź głupi! — rzekł St. Laurent do Charlesa. — Nie mamy czasu na twoje zabawy.

— Może później — powiedział Charles do Houstona. — Czekałem tak długo, mogę poczekać jeszcze trochę.

— Jakies pytania? — St. Laurent zwrócił się do ojca Houstona. — Chcesz się do nich przyłączyć?

— Zawsze byłem lojalny — odpowiedział ojciec Houstona stojąc dumny i wyprostowany. — Nie zasłużyłem na takie podejrzenie. Robiłem, co chciałeś. Zawsze.

183

Houston wściekł się.

— Ty skurwysynu — wszystko, o czym mówiliśmy! Myślałem, że jestem ci potrzebny!

Wykorzystałeś mnie!

— Potrzebowaliśmy informacji — odpowiedział ojciec. — O ludziach, których w to wciągnąłeś.

Musiałeś powiedzieć wszystko z dobrej woli.

— Jakże głupio musiałem wyglądać. Nie wiem, jak powstrzymaliście się od śmiechu.

— Były takie momenty — zgodził się St. Laurent. — Grał pan swoją rolę chętniej, niż oczekiwaliśmy.

— Mogłem cię zabić — powiedział Houston do ojca.

— Spokojnie — rzekł St. Laurent. — Może pan winić tylko siebie. Odwrócił się, by wyjść. Monsard jęknął na podłodze, jego głowa spoczywała na kolanach córki. Simone ocierała krew i płakała.

Żelazne drzwi zatrzasnęły się. Zostali sami, we trójkę. Houston widział, że nie było tu okien; kiedy skoczył do drzwi, usłyszał zgrzyt przekręcanego zamka. Przedtem zauważył wyłącznik światła na korytarzu. Słyszał przytłumiony, pogardliwy śmiech i chociaż było to niemożliwe, mógł przysiąc, że gdzieś na zewnątrz usłyszał trzask w chwili, gdy w pomieszczeniu zapanowała ciemność.

50

Absolutna ciemność nie była jedynie zwykłym brakiem oświetlenia. Była nieodpartą groźbą, duszącą mocą, ogarniającą Houstona jak całun. Wypełniała przestrzeń tak namacalnie, że mógł ją wyczuć wszystkimi zmysłami.

Monsard nadal jęczał. Houstonowi ścierpła skóra, gdy usłyszał lament Simone:

— Peter, pomóż mi.

Instykt wołał: Światła! Próbował sobie przypomnieć rozkład pomieszczenia, lecz nachodziły go tylko koszmarne obrazy. Obmacywał wilgotne ściany, uderzając się przy tym o jakieś ostro zakończone, metalowe narzędzie. Krzywiąc się, rozcierał biodro.

Nagle wyczuł małe pudełko w kieszeni spodni. Strażnicy odebrali

184

mu rewolwer. Zrewidowali, szukając innej broni, ale zignorowali nic nie znaczącą rzecz, której teraz potrzebował najbardziej. Zapałki.

Wyciągnął je i drżącymi palcami zapalił jedną. Słabutki płomień rozproszył część ciemności.

Zamigotał blado, gotów skurczyć się i zgasnąć. Ale świecił. Houston odwrócił się w stronę Simone i ujrzał w jej oczach przerażenie.

— Zapałka wypala się — ostrzegł. — Muszę zapalić następną. Znowu trzymał zapaloną zapałkę, dopóki nie poparzyła mu palców.

Rzucił, natychmiast wyjął kolejną i potarł ją o pudełko. Zapaliła się. Oddychał głęboko, by się odprężyć.

— Pete, zaraz zużyjesz wszystkie zapałki.

Jej nie wypowiedziane — Co wtedy? — poruszyło jego myśli.

Szurając nogami, przesuwał się po pomieszczeniu. Wyciągnął przed siebie płonąca zapałkę penetrując ciemność. Tu stalowa maska. Dalej żelaza do przypiekania.

Houston podsunął się w tamtą stronę. Do przypiekania! Ogień!

Niemal podskoczył z radości, gdy znalazł palenisko i drewno ułożone obok kominka. Pochylił się. Zapałka skończyła się. Zapalił następną. W migoczącym świetle odłupał kilka drzazg. Połamał je i uformował maleńki stos. Wsunął pod spód dwa palce, by zrobić małą wnękę.

Zapałka znowu zgasła. Zapalił kolejną i włożył ją do wnęki. Kora zatrzeszczała rozrzucając iskry; płomyki zaczęły rosnać. Dmuchał na nie delikatnie. Po pół minucie przestał. Ogień rozprzestrzenił się. Poczul gryzący zapach dymu, zanim prąd powietrza nie porwał go do komina. Dym. Strażnicy stojący tam na podestach zauważą go. Przyjdą tu, by zgasić ogień. Wtem przypomniał sobie padający śnieg. Mógł przysłonić dym. Odsapnął, gdy drgające światło rozeszło się po pomieszczeniu. Dotarło aż do Simone, pozostawiając jednak mroczne kąty.

Po czole Houstona spływał pot. Pośpieszył do Simone.

— Jak się czuje?

— Nie mogę powstrzymać krwawienia!

Houston sięgnął do kurtki i wyjął chusteczkę. Przyłożył ją do krwawiącego czoła starego człowieka. Przesiąknęła natychmiast.

— Tak mocno krwawi. Musi mieć naruszoną czaszkę. — Dostrzegł reakcję Simone. — No, mogę się mylić — dodał.

Delikatnie odsunął zakrwawione włosy. Zobaczył silne wgłębienie

185

w czaszce. Mimo ciepła rozchodzącego się z kominka poczuł chłód. Oddech zamarł mu w piersi. Powieki starszego pana poruszyły się.

— Pete, on się budzi! Lub umiera — pomyślał.  
Starszy pan zamrugał powiekami. Usta rozchyliły się.  
— Kto...  
— Simone. Jestem z tobą. Peter też tu jest.  
— Nie widzę.  
— Musisz odpocząć. Twoja głowa... Nie próbuj mówić. Zachowaj siły.  
— Ale St. Laurent...  
— Zamknął nas tutaj. Chce nas zabić — powiedział Houston.  
— Próbowałem was ostrzec.  
Houston patrzył wstrząśnięty. Oczy starego człowieka wychodziły z oczodołów.  
— Ich też próbowałem powstrzymać. — Drgnął konwulsyjnie. — Zatrzymać Verlaine.  
— Pete, pomóż mi.  
Houston chwycił drgające nogi Monsarda.  
— Był moim przyjacielem.  
— Kto? St. Laurent?  
— Nie zasługiwał na moją przyjaźń. — Wtem wydusił z siebie: — Charon.  
— Co?  
— Rosjanie nas oplacają.  
— Pytałem o to ojca. Zaprzeczył, że dla nich pracujecie.  
— Musiał skłamać. Inaczej by zginął. — Starzec zakrztusił się. Wypluwając to, co mu przeszkadzało, z wymiotował.  
Zatrwożona Simone ocierała ojcu usta.  
— Nie mów.  
— Nie mam czasu. Musicie wiedzieć. Zaczęło się od pomagania Niemcom. Najpierw ten generał, a później różni maniacy, komendanci obozów koncentracyjnych.  
— St. Laurent twierdził, że nie pomagał zbrodniarzom wojennym.  
— Kłamie. Zawsze kłamie. Po wojnie pomagał Rosjanom. Houston zmarł.  
— A potem OWP. Czerwonym Brygadam. Baader-Meinhof. Terroryzm, nienawiść, obłąkanie.  
186  
— IRA. Arabom i Kubańczykom i... — Kurcz wykrzywił twarz starca. — Wszystkim. Wszyscy korzystali z usług Charona.  
. — Dlaczego? — zapytał Pete.  
— To naczynia połączone. Drogi przerzutowe. Charon to cała sieć. Zapewnia bezpieczny wjazd i wyjazd z różnych krajów.  
— Mordercom?  
— Paszporty, transport, kryjówki. Wszystko, co tylko zechcesz. Facet, który strzelał do papieża. Simone zakryła usta.  
— Wynajmował nas. — Ciało starca wyprężyło się. — Hotel.  
— Co z nim? — pytał Houston.  
— Bezpieczne schronienie dla morderców. Dlatego jest własnością Charona. Teraz też czeka tam morderca. Zastrzeli — przerwał, nie mając siły ciągnąć dalej — widzieliście go.  
— Który?  
— Uwielbia puder kosmetyczny o zapachu bzu.  
Houston patrzył zaskoczony. Monsardem wstrząsnął nie skoordynowany skurcz. Zaczął dygotać.  
— Pete, on ma konwulsje!  
Złapał go mocniej, lecz starzec miał siłę supermena. Wypuścił go z rąk i upadł na bok. Starzec dygocząc kopnął go w brzuch. Houston zgiał się wpół. Lepkie, zdławione charczenie starca wywoływało mdłości.  
— Boże, język! Zapada się!  
Houston nie mógł użyć ręki, by go wyciągnąć. Szczęki starca mogły się momentalnie zewrzeć, odcinając palce.  
— Pete!



Rozejrzał się dookoła, szukając jakiegoś kawałka drewna, metalu, czegokolwiek!  
Zobaczył ogień na kominku. Rzucił się do drewna złożonego obok i schwycił kawałek gałęzi.  
Podbiegł do Monsarda.

Twarz starca była ciemna. Chwycił się za gardło, rozwierając szczęki.

Houston wepchnął drewno pomiędzy zęby. Zagłębił palce i wymacał zapadły w gardle język.

Podczas gdy zęby starca wrzynały się w drewno, wyciągnął język i wcisnął go pod nie.

Starzec zaczerpnął powietrza. Jego ręce osunęły się z gardła.

Houston znieruchomiał; usłyszał jakiś inny odgłos. Wpatrywał się

187

w że?lazne drzwi. Pomimo ich grubości był pewien, że na zewnątrz dwa przytłumione, suche, metaliczne plaśnięcia. Co to? — zapytała Simone.

f-lie wiedział. Stał rozwścieczony. Jeśli idą po niego... Chwycił mac^ugę, którą użył Charles, i skoczył pod ścianę za drzwiami.

LJsłyszał szcęk klucza. Drzwi, zgrzytając, otworzyły się. Houston wchodzący cień. Kiedy uniósł maczugę, postać cofnęła się. grzmotnęła ostro w granitową ścianę.

Xo ojciec.

j\_Jderzenie maczugi o ścianę spowodowało dokuczliwy ból w ręce HouStona. Ramię nabrzmiało, jakby uderzone pięścią.

Ojciec. Houston zauważył, że był sam. Rzucił maczugę i ruszył ku nier»u-

^amarł, kiedy dostrzegł rewolwer. Automatyczny, z tłumikiem.

Ojciec podsunął lufę z jej przedłużeniem prawie do samej twarzy Houstona.

— Przyszedłem, żeby ci pomóc — powiedział. — Nie zmuszaj mnie> abym cię zastrzelił.

fouston wytrzeszczył oczy. Za ojcem, na korytarzu, ujrzał ciała dwó^h strażników leżących bez ruchu we krwi.

— Zastrześliłeś ich? — zapytał Houston.

\_— Musisz uciekać. St. Laurent wydał już rozkazy. Idzie po ciebie.

— Dlaczego?

-r— Bo wiesz za dużo, ty durniu!

\*— Nie to mam na myśli. Dlaczego mi pomagasz?

— Jesteś moim synem.

pete rzucił mu nienawistne spojrzenie.

— Mówiłeś to na dziedzińcu. Potem zmieniłeś zdanie. Powiedziałeś St. I>aurentowi, że cię nie obchodzi.

— Żeby zachować wolność. Gdybym działał tak jak Monsard, zamknęliby mnie tu razem z wami. Kłamałem, by zyskać na czasie. Zarflierałem tu wrócić.

«\*\* Znowu kłamiesz.

\_— Ci dwaj na korytarzu — czy to kłamstwo? Mówię ci, St. Laurent już iiadchodzi! Skorzystaj z szansy i uciekaj!

Ojciec szybkim krokiem podszedł do Simone. Spojrzał na Mon-sarda.

— Zostaw go.

188

— Nie! — odpowiedziała.

— Nie możesz mu pomóc. Nie możesz go zabrać.

— Nie! On mnie potrzebuje!

— Więc umrzesz.

— Muszę go uratować.

— Czy nie rozumiesz? On nie żyje! Wzdrygnęła się i cofnęła.

— Ale on się ruszał! Nie! — Szarpała go. — Pokaż im, że żyjesz! — Szarpnęła nim mocniej. —

Nie! Dobry Boże!

Ręce jej ojca opadły z piersi, głucho uderzając o podłogę. Kawałek drewna wysunął się z jego ust.

— On nie umarł! To niemożliwe!

Houston podniósł ją. Uderzyła go w twarz. Poczul ból.

— On nie umarł! — zawodziła.

— Musisz iść ze mną.

Jej ręka znowu mknęła ku jego twarzy. Złapał nadgarstek i potrząsnął nią.

— Nie! To bardzo przykre, ale on nie żyje! Był odważny! Próbował nam pomóc! Ale, do cholery, słuchaj mnie! My musimy żyć!

Ojciec Houstona ukląkł przy Monsardzie sprawdzając puls. Przygnębiony pokręcił głową.

— Idziemy z tobą — powiedział Houston.

Zmusił Simone do wyjścia. Jej pełne łez oczy wpatrywały się w ojca. Rozpacz sprawiała, że poruszała się niezdarnie. Szła powłócząc nogami. Uderzyła się o futrynę drzwi.

Houston skierował ją w stronę korytarza. Kiedy zobaczyła dwóch zabitych strażników, opanowały ją mdłości.

51

Zamiast wymiotować, zaczęła biec — szybciej niż Houston i jego ojciec. Zdesperowana parła na ślepo do przodu.

— Tędy! — powiedział ojciec Houstona wskazując drogę.

Dotarli do miejsca, w którym poniżej krętych schodów spotykały się trzy korytarze. Ojciec wskazał na prawo, na środkowy korytarz. Simone tymczasem wskoczyła na schody. Zniknęła za pierwszym zakrętem.

189

— Znajdą ją!

Houston skoczył za nią w górę schodów. Złapał za sweter, kiedy zniknęła za następnym zakrętem.

Sweter rozdarł się i jego kawałek pozostał mu w dłoni. Przewracając się wpadła na Houstona, po czym oboje sturlali się po schodach na sam dół. Houston poczuł ostrą krawędź stopnia na kręgosłupie. Jęknął gramoląc się na nogi. Chwytał Simone i pchnął ją w środkowy korytarz.

Pędzili poprzez obwieszony pajęczynami mrok, czując wilgoć, mijając czarne, zimne głązy. Dotarli do kolejnego skrzyżowania. Tym razem ojciec wybrał korytarz na lewo, a nieco dalej inny, w prawo, pomijając dwa pozostałe, po czym ruszył dalej. Labirynt komplikował się. Houston słyszał kapanie wody. Widział szczury. Usłyszawszy krzyk, zobaczył wielkoskrzydłego nietoperza spadającego na Simone. Wymachiwała rękami, by osłonić włosy. Nagle, z piskiem typowym dla gryzoni, zanurkował wprost na Houstona. Wielki, brązowy, z wyszczerzonymi zębami. Houston nie patrzył, gdzie idzie. Kiedy jego but na sztywnej podeszwie uwiązał w jakiejś szczelinie, upadł. Uderzył twarzą o granitową ścianę.

Ktoś go podniósł — Simone, jej twarz wyrażała współczucie. Houston przykucnął odruchowo, obawiając się powtórnego nalotu nietoperza.

— Nic ci się nie stało? — zapytała.

Pokręcił głową, obrzmiały policzek krwawił. Ojciec biegł dalej; Houston wraz z Simone podążył za nim.

Nie wiedział, czy idą w stronę zamkowego frontu, czy też na jego tyły. Momentami miał wrażenie, że korytarz opada w dół, lecz teraz z pewnością wznosił się. W płucach już paliło, kiedy wreszcie osiągnęli jego kres. Odgłos kapania wody był wyraźniejszy. Stał przed parą dużych, żelaznych drzwi, których brązowe powierzchnie pokrywała rdza. Przykleiła się do nich chłodna wilgoć.

Widział mgłę oddechu.

— Gdzie jesteśmy?

— Z tyłu zamku. Te drzwi — ojciec wskazał te po prawej stronie — prowadzą w góry. Pamiętasz, St. Laurent mówił o tunelu.

— Tędy strażnicy poszli po Simone.

— Tą samą drogą się wydostaniecie. Zamieć was osłoni.

— Ciągle pada?

— Coraz bardziej. Poradzisz sobie w czasie burzy?

190

— Mam praktykę. Zobaczysz. Odejdziemy tak daleko, na ile starczy nam sił. Potem zrobimy sobie jakieś schronienie.

— Ja nie idę.  
— Co?  
— Moje serce. Nie wytrzymam tego wysiłku.  
— St. Laurent cię zabije.  
— Jeśli pójdę z wami, zginę tam, a tak nie będę was zatrzymywał.  
— Nie mogę.  
— Niech to będzie dar ode mnie. Kiedy byłeś mały, potrzebowałeś mnie. Nie zjawiłem się, by ci pomóc. Pozwól, że zrobię to teraz.  
— Ale jesteś moim ojcem.  
— I ten twój ojciec daje ci życie. Jeszcze nie uciekliście. Być może zamarniecie tam lub was znajdą, albo... Ale jeśli pójdę z wami, to zwolnię waszą ucieczkę i z pewnością zginiecie. Na miłość boską, pomyśl o Simone!  
Ojcowskie udęczone błaganie rozlegało się głucho wzdłuż korytarza. Szczur, stojąc na tylnych łapkach, wydał cienki pisk.  
— Nie wiem, co robić.  
— Zatrzymaj Charona. Zrób to, czego ja się obawiałem.  
— Słyszę ich — powiedziała Simone.  
Houston spojrział wzdłuż korytarza. Słyszał przytłumione, odległe krzyki. Stuk butów o granit. Wściekle rozkazy poprzez mroczną dal.  
— Szybko — rzekł ojciec. — Dam wam trochę czasu. Przytrzymam ich. — Sięgnął do zmurszałego uchwyty drzwi.  
Houston zmarszczył brwi. Przypomniawszy sobie nagle, co się stało w myśliwskim domku. Jak w czasie pożaru Henri prowadził ich przez tunel w stronę lasu. I to, że wyjście było obstawione, że było pułapką.  
Spojrzawszy na ojca w oczy — ten słabowity, zgarbiony, schorowany ojciec, który go kiedyś zostawił, który nigdy nie znał swego syna, miałby teraz oddać za niego swoje życie? Czy jest sens w tym, by zaufać człowiekowi, którego nigdy nie widziałeś, który przyczynił się do śmierci twojej żony, który pracuje dla Charona? Czy nie powinieneś zdać sobie sprawy, że to jeszcze jeden trik, jeszcze jedno kłamstwo? Ojciec twierdzi, że zastrzelił tamtych dwóch strażników, ale czy sprawdziłeś, że rzeczywiście nie żyją? Mogli udawać. Pójdiesz w górę tym tunelem i znajdziesz czekających tam na ciebie strażników. Kiedy śnieg stopnieje, znajdą zamarzniętych turystów pięćdziesiąt mil stąd. Jeszcze jeden wypadek w górach.

191

Myśli kłębiły się w jego głowie. Oferowano mu bezpieczne wyjście, ale podejrzliwość wzięła górę. Od początku tego koszmaru nic nie było tym, na co wyglądało.  
— Kłamiesz — Dowiedział. Ojciec zbladł.  
— Zaraz tu będą! Nie trać szansy!  
— Moją jedyną szansą jest ta droga! — Houston ruszył na lewo. Chwycił drugie drzwi.  
— To zła droga! Prowadzi do zamku!  
— Gdzie nas nikt nie oczekuje!  
— Zaufaj mi! Idźcie tunelem! Houston krzyknął:  
— Nie!  
Jego krzyk przygłuszył jakiś głośny hałas — rozdzierający pisk syreny, wzmocniony przez wąską przestrzeń tunelu. Houston zasłonił uszy. Dźwięk przypominał zgrzyt piły.  
Ojciec z obawą spoglądał w głąb korytarza. Houston wyrwał mu rewolwer i czując na dłoni wilgotną maź, pociągnął drugie drzwi. Trzymały mocno.  
— Są zamknięte! — Houston wytężył się, aż zabolowało go ramię. — Pomóżcie!  
Simone doskoczyła tuż za nim, złapała uchwyt i zaczęła szarpać.  
Nagle drzwi poddały się. Upadli do tyłu. Houston, gramoląc się, stanął na nogi. Po drugiej stronie drzwi dostrzegł otwartą zasuwę.  
Na ścianie, za drzwiami, znalazł kontakt. Kiedy go włączył, w świetle słabej żarówki ukazały się strome i wąskie, nadgniłe drewniane schody.

Houston nie mógł znieść wycia syreny. Popchnął przed siebie Simone. Ojciec przecisnął się przed niego.

Pete próbował go zatrzymać.

— Nie!

— Przecież nie znasz zamku.

— Nie ufam ci.

— W takim razie będziesz musiał mnie zabić. Idę z wami. Ojciec nie tracił czasu na perswazje.

Wchodził dalej. Drewno

uginęło się pod jego ciężarem wydając przytłumione wilgocią jęki.

Houston zawrócił, by zamknąć drzwi. Ocierając się o granit, z hukiem wpadły w swoje stare wyżłobienie. Słyszał ojca i Simone

192

wdrapujących się do góry, zasunął rygiel i podążył za nimi. Tak ciężko postawił but, że deska w stopniu złamała się i noga utknęła w nim. Krzywiąc się z bólu, nachylił się, by wyzwolić ją z drzazg. Kostka nie była zwichnięta, ale czuł lekki ból. Wchodził dalej obawiając się, czy inne stopnie go utrzymają. Przejście było tak wąskie, że z obu stron tarł ramionami o granit. Omal nie stracił równowagi. Poza nim jęk syreny usiłował przeniknąć drzwi.

Dotarł do półpiętra, gdzie deski też ugięły się, z piskiem wyłaząc ze ściany. Wchodził wyżej, patrząc na ojca i Simone, na zmrożoną parę wydobywającą się z ich ust.

Kolejne półpiętro. Ojciec i Simone zatrzymali się nagle. Stali przed wypolerowanymi, drewnianymi drzwiami. Houston podszedł pośpiesznie.

— Te drzwi prowadzą do głównych pomieszczeń zamku — powiedział ojciec.

Houston nachylił się do nich nieufnie. Nie usłyszał żadnych głosów.

Skinął głową z gotowym do strzału rewolwerem. Przekreślił klamkę. Pociągnął drzwi. Zalało go oślepiające światło. Przymrużył oczy, czuł ciepło zamku.

Patrzył na długi, szeroki korytarz. Na ścianie zauważył średniowieczne malowidło — naturalnej wielkości lew u stóp kobiety okrytej purpurową szatą. Na głowie miała koronę. W ręku krucyfiks. Spojrzał wzdłuż wiszącego na ścianie ozdobnego kobierca. Nie zauważył żadnego strażnika. Nie wyczuł żadnego niebezpieczeństwa.

— Szybko!

52

Houston przejął inicjatywę. Wskoczył i rozejrzawszy się na obie strony odwrócił się gniewnie w stronę ojca.

— Jeśli zawołasz o pomoc, zabiję cię. Jeśli skłamięsz... Jak dostaniemy się do podestów?

— Strażnicy was zobaczą.

— W tej zamieci? Nie sądzę. Najprawdopodobniej sprawdzają tunel. Dotarłem tutaj spuszczając się po linie. Wydostaniemy się w ten sam sposób.

— Jeżeli jesteś zdecydowany. Tędy. W prawo.

193

— A więc pójdziemy w lewo.

— To błąd. To głupota. Jesteś...

Pojawienie się strażnika przerwało dyskusję; wyłonił się zza rogu po lewej stronie. Wyczuł poruszenie, odwrócił się i spojrzawszy w ich stronę uniósł broń.

Houston strzelił. Tłumik jakby splunął. Strażnik upadł grzechocząc karabinem. Szary uniform zabarwiła krew.

W korytarzu zapanowała cisza. Nagle, bez ostrzeżenia, w uszy Pete'a wdarł się dźwięk syreny. Słyszał go poniżej, ze schodów za drzwiami, a teraz dochodził z zamku. Ze zjeżonymi na głowie włosami Houston postąpił wbrew swoim głębokim podejrzeniom. Pełen obaw, że kolejny strażnik może wyjść z lewej strony, zaakceptował sugestię ojca i rzucił się w prawo.

Simone uchwyciła go za rękę. Popędzili przez krzyżujące się korytarze. Kiedy spojrzął wzdłuż jednego z nich, zobaczył jakiegoś mężczyznę i strzelił.

Szkoło eksplodowało. Houston wzdrygnął się. Ten przeraźliwie pokrzywiony facet, do którego

strzelił, był jego własnym odbiciem w zwierciadle!

Wstrząśnięty biegł dalej. Minał drzwi, które otworzyły się tak nagle, że zachwiał się na nogach. W drzwiach pojawił się Jules Fontaine. W piżamie, z książką w dłoni. Gdy ujrzał Houstona, jego rysy ściągnęły się. Robiąc unik zatrzasnął drzwi.

Zgrzytnął zamek. Houston strzelił, tłumik klapnął delikatnie. Kiedy pocisk przebił drzwi, jęk syreny stał się jękiem Fontaine'a; za poszarpaną dziurą w drzwiach Houston usłyszał przytłumiony krzyk. Przed nim ciągnął się długi korytarz. Inne prowadziły w prawo i w lewo. Każde drzwi stanowiły groźbę. Serce waliło jak młotem. W przeciwnym końcu korytarza tupot nóg mieszał się z wyciem syreny. Houston ukląkł na jedno kolano, celując z obu wyprostowanych rąk. Przymrużył powieki. Zza rogu wyłonił się strażnik. Potykając się uświadomił sobie to, co zobaczył. Houston pociągnął za spust; wstrząsnął nim odrzut. Strażnik wygiął się do tyłu, odrzucając głowę.

Karabin, weź karabin! — pomyślał Houston. Kiedy zaczął się po niego skradać, usłyszał inne kroki, bliższe, z tego samego kierunku, skąd nadszedł poprzedni strażnik.

194

— Wracaj! — powiedział do Simone.

Uciekał za nią. Nagle szok. Z drugiego końca korytarza wybiegli dwaj strażnicy i z groźną miną wymierzili broń w kierunku Houstona, jego ojca i Simone.

Z przeciwnego końca korytarza dobiegały coraz bliższe kroki.

Mają nas! Nie ma gdzie się ukryć!

Houston skoczył w poprzek korytarza i dopadł klamki. Modlił się, by drzwi nie były zamknięte. Otworzyły się. Wpadł do środka. Ojciec i Simone za nim. Usłyszał strzały. Potem krzyk, którego źródła nie rozumiał, dopóki nie domyślił się, że dwaj strażnicy z jednego końca zaczęli strzelać w chwili, gdy z drugiego wyskoczyli inni. Krzyczał ten, który dostał się w krzyżowy ogień.

Houston skoczył za drzwi, zatrzasnął je jednym kopnięciem i przekręcił zamek. Oglądał pokój: olbrzymi, wysoki na trzy piętra. Masywny stół otoczony wysokimi krzesłami sięgał obu przeciwnych ścian. Gobeliny, ogień na kominku. Ze świeczników padało przytłumione światło. W przeciwnym końcu pomieszczenia, ponad czymś, co Wyglądało jak tron, od ściany do ściany rozciągał się balkon.

Nie było żadnych innych drzwi. Na zewnątrz słyszał strażników. Kleli i walili w drzwi próbując je wyłamać.

Były jednak grube; nie mogli ich sforsować. Houston czuł się bezpieczny. Naraz uświadomił sobie, że znalazł się w pułapce. Za ojcem i Simone dostrzegł rząd wysokich i wąskich, zagłębionych w ścianie okien.

Pośpieszył w poprzek dębowej podłogi i wyjrzał, starając się, by nikt go nie zauważył. Wiatr był głośniejszy niż syrena. Zamieć była tak gwałtowna, że śnieg przykrył podesty, dziedziniec i wszystkie poziomy zamku. Chłód przenikał przez ścianę, mroząc dłoń, którą się opierał. Oderwał ją i zaczął rozcierać.

Okna miały zawiasy. Kiedy uchylił jedno z nich, mógł precyzyjnie się przez wąską przestrzeń. Śnieżycą ucichła na moment, ukazując podest. A więc pokój znajdował się na górnym poziomie; był bliżej murów obronnych, niż sądził.

Jakaś postać mignęła w przysłoniętym śniegiem obrazie. Bezgłośnie. Niespodziewanie. Houston gapił się, jakby zobaczył widmo. Postać była całkiem biała. Wydawało się, że nie ma rąk ani twarzy. Duch znikł, zanim Houston skojarzył, co widział. Śnieg przesłonił wszystko do tego stopnia, że nie był nawet pewien, czy on tam był.

195

Zadrżał na samą myśl.

Nagle zamieć znowu ucichła i tym razem mógł widzieć dalej — poza podest i dziedziniec aż do przeciwnych podestów. Dostrzegł mroczne kształty dwóch szarych strażników. Raptem zatrzymali się, kierując broń w stronę jakiegoś celu.

My jednak jesteśmy tutaj, myślał Houston. Z pewnością wiadomość się rozeszła. Inni strażnicy muszą wiedzieć, że wpadliśmy w potrzask.

Mógł przysiąc, że to, co zobaczył potem, było halucynacją. Znikąd dwa białe kształty spadły na

strażników. Teraz biel szamotała się z szarością na podeście po drugiej stronie dziedzińca. Jedna z białych postaci podniosła jakiś metalowy przedmiot, uderzając nim strażnika. Druga zjawa wyrzuciła swojego przeciwnika w przestrzeń. Śnieg przesłonił lot strażnika ku powierzchni dziedzińca.

Na zewnątrz rozległy się strzały — z broni automatycznej, karabinów i rewolwerów. Krzyki mężczyzn.

Wewnątrz też słychać było strzelaninę. Strażnicy za drzwiami przestali się do nich dobijać. Choć syrena wyła uporczywie, strzały ogłuszyły go. Pociski rozrywały drzwi.

— Odstrzelą zamek! — krzyknął Houston. — Przez okno! To nasza jedyna szansa! — Zmarszczył brwi. — Zaraz, tam coś się dzieje za drzwiami!

Usłyszał więcej strzałów, ale były one inne, szybsze, głośniejsze — grzechot broni automatycznej. — Co jest? — powiedział.

Nie miał czasu na zastanawianie się. Musiał ratować Simone, sprowadzić ją do okna i wysadzić na zewnątrz. Straciła równowagę. Jęknęła; jej nogi poddały się; osunęła się.

Biegł do niej. Stół blokował drogę. Pobiegł dookoła.

Coś nim wstrząsnęło, rozcinając pierś. Poczł nagłe, palące uderzenie. Oszołomiony nie mógł złapać oddechu.

Echo wystrzału rozległo się po pokoju. Czuł lekkie ciepło krwi spływającej po piersi i wsiąkającej w spodnie. Kula drasnęła go w chwili, gdy biegnąc do Simone omijał stół.

Wskazała coś z szeroko otwartymi ustami. Ojciec skulił się. Houston spojrział w tamtą stronę.

Balkon! Wysoko, po drugiej stronie pomieszczenia, uśmiechająca się złośliwie postać celowała z rewolweru. Houston zobaczył złoty medalik. Charles!

196

— A więc ściągnąłeś przyjaciół! — odezwał się.

— Nie rozumiem.

— Ci faceci w kamuflażu! Grupa uderzeniowa!

Houston zrozumiał. Duchy, całe w bieli. Słyszał eksplozje, coraz więcej salw z broni automatycznej, a potem dwa odległe, rozdzierające duszę rozpaczliwe krzyki.

Charles nadal celował.

Houston strzelił, tłumik klapnął, odrzut szarpnął jego ramię. Kula uderzyła w balustradę balkonu.

Charles roześmiał się.

— Tłumik nie jest najlepszy na taką odległość! — krzyknął. Precyzyjnie, kiedy Charles pociągnął za spust, Houston uskoczył.

Pocisk przebił wysokie krzesło, za którym się ukrył. Rozdzierający huk rozszedł się po całym pomieszczeniu.

Simone podniosła się na ręce i kolana. Pojękując, powoli ukryła się pod stołem.

Houston szarpał się z tłumikiem. Metal parzył dłoń. Skrzywił się i wreszcie się udało. Pierś dokuczwała mu. Spojrział na ojca, stojącego bez żadnej osłony.

— Schowaj się! Wejdź pod stół! — zawołał.

Wydawało się, że ojciec nie słyszy. Ruszył w kierunku balkonu.

— Opuść rewolwer, Charles — powiedział.

Houston nie usłyszał odpowiedzi. Ukryty za krzesłem, wysunął magazynek z rękojeści. Pusty. Drżąc odsunął zamek. Pocisk tkwił w komorze naboju. Jego ostatnia szansa.

Wyrzwał zza krzesła.

I natychmiast się schował. Charles strzelił, waląc w krzesło. Fala uderzeniowa dudniła w uszach Houstona. Odłamek spadł na niego.

Będzie tak strzelał przez krzesło, aż mnie dostanie. Ostatnia kula. Nie mogę jej zmarnować, pomyślał. Wskoczył zza krzesła.

Charles gapił się, zaskoczony.

Kiedy Houston strzelił, Charles zniknął.

Płuca pracowały ciężko, Houston przywarł plecami do ściany i spoglądał do góry, na wiszący nad nim balkon.

Z zewnątrz, poprzez burzę, słyszał coraz więcej krzyków. Z zamkowego labiryntu również. Gdzieś pod nim, na innym piętrze, klekotała broń automatyczna. Houston przesunął się w obawie, że kule mogą przebić podłogę.

197

Syrena ucichła. Poza odległymi krzykami i strzelaniną zapanowała cisza.

Nie, niezupełnie. Wycie burzy nie ustawało. W uszach Houstona dzwoniło. Nie mógł opanować gwałtownego oddechu. Charles — jeśli żył — mógł go z pewnością usłyszeć.

Houston usłyszał skrzypienie butów. Obróciwszy się zobaczył ojca, który posuwał się chwiejnym krokiem w jego kierunku. Stary człowiek, pełen bólu, obejmował swą pierś. Jego twarz stała się szara. Wydawał się jeszcze bardziej przygarbiony, słaby i blady. Wysiłek, na jaki się zdobywał, robiąc jeden krok, a potem następny, był alarmujący.

To atak serca! Ma bóle w klatce piersiowej!

Przerazony wzrok ojca tylko to potwierdzał. Atak serca! Stary człowiek zeszywniał, wyprostowując się bardziej, niż było to możliwe. Houston obserwował ten horror, widząc agonię w jego oczach.

Nagle zrozumiał. Szok na twarzy ojca spowodowało to, co zobaczył po lewej stronie, pod ścianą. Houston obrócił się, wycelował swój bezużyteczny pistolet i skulił się w obronnym odruchu. Jego brat nie znajdował się na balkonie; był tu, na dole, naprzeciw Houstona. Jak? W ścianie nie było żadnych drzwi, tylko gobeliny i malowidła. Gorzej, nie był nawet ranny; strzał Houstona chybił.

— No, dalej — powiedział Charles. — Pociągnij za spust. Serce Houstona zamarło. Wpatrywał się bezsilnie w rewolwer.

— Nie masz już naboji — dodał Charles. — Gdyby nie to, strzeliłbyś.

Houston zamierzał rzucić pistolet i skoczyć na niego. Nie widział innego sposobu. Lecz Charles właśnie celował do niego z palcem na spuście. Houstonowi wydawało się, że stoi zanurzony po szyję w błocie. Nie mógł się poruszyć.

— Nie! To musi się skończyć!

Głos należał do ojca, który, rozłożywszy ręce i ledwo idąc, osłaniał Houstona.

— To nie ma sensu! Złapali nas! Jaką będziesz miał korzyść, zabijając go?

— Ty głupi, stary pierdzielu. — Charles strzelił do niego. Houston usłyszał wilgotne chlupnięcie kuli, która przeszła ojca.

Bryznęła krew.

Nawet nie jęknął. Skurczony, pozbawiony życia, przechylił się do

198

tyłu. Houston doskoczył do niego odruchowo i ciało zaczęło chodzić, stąpając mechanicznie w kierunku Charlesa.

Ten, nie wierząc własnym oczom, wrzasnął. Ciało pochyliło się nagle w jego stronę, rzucając się na niego i wytrącając z równowagi. Kiedy opadło, Houston zaatakował. Stanął w wykroku, sprężył się i pełen nienawiści zacisnął pięść.

Zwinięta ciasno runęła wściekle na policzek brata. Houston, zaciskając zęby, z satysfakcją poczuł łamiącą się kość w jego szczęce. Teraz jednak pięść stała się piekielnym bólem, nadgarstek zachrząścił i puchnął, wręcz parzył. Houston jęknął. Wykopał rewolwer z ręki Charlesa. Uderzył pięścią jeszcze raz. I jeszcze raz.

Twarc brata wykrzywiła się, zwichnięta nieproporcjonalnie w jedną stronę. Charles był oszołomiony. Cofnął się, nie próbując nawet odpowiedzieć na ciosy Houstona.

Wykorzystując przewagę, Houston przysunął się bliżej.

Zauważył swój błąd. Brat tylko na to czekał. Z okrutną siłą rąbnął go pięścią w pierś.

Houstona zatkało z bólu. Czuł się tak, jak gdyby wbił mu deskę. Szybko bijące serce opuściło kilka uderzeń. Kolana ugięły się.

W wirującym obrazie zauważył, jak Charles spojrział na leżący na podłodze rewolwer. Jednak zamiast sięgnąć po niego, przyjął teatralnie wojowniczą postawę, rozstawił nogi i skulił się. Jego palce kurczyły się i prostowały jak węże w poruszonym gnieździe.

— Tak lepiej — syknął przez opuchnięte usta. — Zrujnowałeś wszystko. Zanim mnie dorwą, będziesz żałował, że nie pojechałeś do domu. — Wskazał na miejsce, które Houston rozcierała na piersi. — Nie bój się, nie są złamane. To byłoby zbyt szybko, zbyt łatwo. Nie chcę, by jakiś odłamek żebra przedziurawił ci płuco. — Krew, pieniać się, spłynęła mu z ust. Przełknął. — Będziesz obawiał się każdej, pełnej bólu, sekundy. Do końca będziesz błagał, bym cię zabił albo co najmniej zamroczył. Ale ja tego nie zrobię. Kiedy pozwolę ci już umrzeć, będziesz całkiem przytomny, przerażony tym, co będę z tobą robił.

Furia ogarniająca Houstona przytłumiła ból. Rzucił w niego swój pistolet, lecz Charles odchylił się na bok i pistolet poszybował obok niego, grzechocząc o twardą podłogę. Charles ruszył do przodu. Houston wskoczył na stół i na podkurczonych nogach zeskoczył na

199

drugą stronę. Upadek wstrząsnął jego zranionymi żebrami odbierając oddech.

Charles, wskakując na stół, podążył za nim. Skradał się jak jakiś zwierzę.

W kącie zdeformowanego bólem obrazu Houston dostrzegł Simone. Wygramoliła się spod stołu i uciekła pod najbardziej oddaloną ścianę.

Charles skoczył. Wylądował gotów do ataku; Houston poczuł za sobą ogień kominka. Płomienie lizały jego ubranie.

Rozejrzał się, poszukując czegoś do obrony. Na ścianie wisiała średniowieczna broń. Wyrwał z uchwytów miecz. Był zaskoczony jego wagą. Miecz opadł mu w dłoni i musiał go chwycić obiema rękami. Uginając się pod jego ciężarem, gwałtownie się obrócił.

Miecz przeciął powietrze. Charles cofnął się, lecz mimo to miecz przeciął jego koszulę, rozrywając łańcuszek medalika.

Charles wpadł na krzesło. Spojrzał na leżący na podłodze medalik.

Houston ciął mieczem raz jeszcze.

Charles odskoczył zirytowany.

— Tak to chcesz załatwić? — Rzucił się do ściany po inną broń. — To trudny sport. Jestem ekspertem.

Ściągnął kulę na łańcuchu, wokół której sterczały ostre kolce. Machnął nią tak szybko, że Houston dostrzegł jedynie rozmazaną smugę. Kula świsnęła w powietrzu.

W panicznym strachu Houston walczył z pragnieniem ucieczki. Wziąwszy szeroki zamach uderzył ponownie.

Miecz trafił w łańcuch. Potworne uderzenie wybiło Houstona z równowagi, a łańcuch zamiast ześliznąć się, oplótł miecz z okrutną siłą i szarpnął Houstona do przodu.

Houston rozluźnił uchwyt. Charles pociągnął za łańcuch i miecz poszybował w powietrze.

Charles schwycił go odrzucając jednocześnie łańcuch. Do władania nim potrzebował tylko jednej ręki. Machnął nim do przodu i do tyłu, przyjmując pozycję szermierza. Zgodnie z rytuałem rozejrzał się na boki, odstawił stopę i, opierając lewą rękę na biodrze, natarł do przodu.

Houston próbował uskoczyć, lecz Charles zadawał ciosy z jego prawej i lewej strony, zmuszając do cofania w kierunku kominka. Houston znowu poczuł żar.

200

Kątem oka dostrzegł postać, która jak duch przysuwała się z przeciwległej strony pomieszczenia ku plecemu jego brata. Simone!

Weź rewolwer, pomyślał, lecz natychmiast zrozumiał, że nie było na to czasu. Zbladł, widząc, jak zdejmuje ze ściany sztylet.

Charles jej nie zauważył. Zadając kolejny cios, nie podejrzewał jej obecności, dopóki nie zorientował się, że Houston wcale na niego nie patrzy. Wręcz przeciwnie, jego oczy skierowane były na znajdującą się poza nim ścianę z bronią.

Charles zrozumiał to nagle, przerwał atak i zaczął się odwracać. Zbyt późno jednak, ponieważ Simone oburącz uniosła sztylet, zacisnęła zęby i wbiła go, wydając przy tym głęboki jęk.

Houston usłyszał rozdzierające mięśnie uderzenie. Jeszcze gorzej, zgrzyt metalu po kościach.

Charles uniósł ramiona, stając jednocześnie na czubkach palców. Próbował wyrwać nóż z pleców, lecz nie mógł go dosięgnąć. Upuścił miecz. Jego twarz stała się biała. Usta rozchyliły się w



rozdzierającym bólu.

Zawył, podrywając miecz.

— Ty suko! — wrzasnął i z wściekłością odwrócił się do niej. Ogień! Ubranie Houstona zaczęło się palić. Przerazony odskoczył od płomieni. Na ścianie nad kominkiem dostrzegł przymocowaną lancę, której ostrze, w dziwny sposób, zatknięte było w małym naczyniu.

Odruchowo chwycił ją, wyrwał z naczynia i odwracając się krzyknął:

— Charles!

Brat wyczuł większe niebezpieczeństwo i podnosząc miecz, odwrócił się niezdarnie.

Houston rzucił lancę, przebijając Charlesa powyżej pachwiny. Ostrze przeszło na drugą stronę.

Simone krzyknęła, cofając się przed upadającym ciałem.

Charles upadł do tyłu wprost na nóż. Wbił się po rękęjść. Pięty podskoczyły, uderzając o podłogę. Znieruchomiał.

Houston chwiejnym krokiem podszedł do Simone i objął ją. Krew wsiąkała w jego bluzę i spodnie. Wyczerpanie dało o sobie znać. Uświadomił sobie, jak bardzo rana go osłabiła. Opadł na Simone.

— W porządku, już po wszystkim — powiedziała podtrzymując go. Myliła się.

201

53

Nagle, z wielkim hukiem, drzwi eksplodowały. Pofrunęły drzazgi i odłamki. Fala uderzeniowa szarpnęła Houstona i Simone w tył.

Jakieś postacie wtargnęły do wewnątrz. W bieli. Z bronią automatyczną w rękach. Twarze zakrywały narciarskie maski, celowali po pomieszczeniu.

Houston, schylając się po miecz upuszczony przez Charlesa, wiedział, że nie będzie miał sił, by go użyć.

— Houston? — powiedział jeden z mężczyzn. Uniósł ręce w białych rękawiczkach, by ściągnąć maskę. Szczerze spocone i spięte oblicze Bellaya złagodziło uczucie ulgi. — Myślałem, że zjawiliśmy się za późno.

— Jesteście za późno — powiedział z wyrzutem Houston, spoglądając na ciało ojca.

— Co? Na Boga, pan krwawi!

Houston spojrzał w dół na swoją szkarłatną bluzę. Przykleiła się do niego sztywna, ciepła.

— To moja pokuta.

— Bzdury!

— Kto jest z panem? Powiedział pan: my.

— Najlepszy oddział z naszej agencji. Szliśmy za wami od waszego spotkania z Andrewsem.

— Kiedy dał nam te trzy numery? W kawiarni? Powiedział wam, że idzie na spotkanie z nami?

— To było cyniczne z mojej strony, ale zdecydowałem, że wykorzystam was do sprowokowania Verlaine do kolejnego ruchu. Naturalnie, przygotowując się odpowiednio do tego.

— Wykorzystał nas pan? Byliśmy przynętą?

— Byliście pod stałą obserwacją. Pamięta pan, jak zatrzymaliście się pod zamkiem — na tym punkcie widokowym?

Houston wpatrywał się w niego.

— Samochód, który stanął obok was? — ciągnął dalej Bellay. — Rodzinę, która z niego wysiadła? Mężczyznę, kobietę i troje dzieci? Pracują dla nas.

— Jeśli byliście tak blisko, co zajęło wam tyle czasu, by tu się dostać? Mogliście ocalić mojego ojca! I ojca Simone!

Bellay był wstrząśnięty.

— Pan nas zaskoczył.

202

— Czym?

— Nigdy nie podejrzewaliśmy, że wejdzie pan do zamku. Sądziłem, że to niemożliwe w pojedynkę. Zamek wydawał się nam zbyt dobrze strzeżony. Przyjeliśmy, że będzie ich pan próbował wyciągnąć na zewnątrz. Kiedy już zrozumieliśmy... zauważyliśmy pana na urwisku,

ponad zamkiem. Gdy pan zszedł, pojawili się strażnicy i znaleźli Simone. Zmobilizowaliśmy się tak szybko, jak tylko było można.

— Andrews?

— Jestem tutaj. — Inny mężczyzna zdjął maskę. Andrews uśmiechnął się nerwowo.

— Kłamał pan. Wykorzystał pan mnie. — Houston zatrzęsł się z gniewu, chcąc go niemal uderzyć.

Andrews jednak wyciągnął do niego rękę.

Houston popatrzył na niego, po czym niechętnie podał mu dłoń.

— A niech cię szlag trafi. — Zwrócił się do Bellaya. — Tam w hotelu jest morderca. Mogę go zidentyfikować.

Bellay spojrział z zaciekawiony.

— Jak tylko to skończymy. Co z St. Laurentem? Przeszukaliśmy cały zamek i nie znaleźliśmy go.

Houston z konsternacją zmrugał powieki.

Natychmiast pomyślał o tunelu. Skóra ścierpła mu, kiedy odwrócił się w przeciwną stronę — balkon, ściana, gdzie pojawił się Charles. Gobeliny!

— Co się stało? — zapytał Bellay.

Houston nie odpowiedział. Podbiegł do gobelinów. Musiało tam być jakieś ukryte przejście, którym Charles zszedł z balkonu. Zerwał jeden gobelin; ściana. Zerwał drugi; sklepienie przejścia.

— Tędy!

Bellay i Andrews przebiegli przez pokój. Schody wiodły na balkon. Dalej korytarz prowadził do następnych, tym razem schodzących w dół.

— Ten zamek pełen jest ukrytych przejść — zauważył Houston. — Pod nami jest tunel. —

Odwrócił się do Simone. — Muszę to zrobić.

— Pójdę z tobą — odpowiedziała.

— Nie. Za bardzo cię potrzebuję. Nie mogę cię stracić.

— A co będzie, jeśli ja stracę ciebie?

— Obiecuję, będę ostrożny. W razie jakichś kłopotów wypchnę przed siebie Andrews.

203

— Hej, wielkie dzięki — odezwał się Andrews.

— Jest pan mi to winien.

— Zostań z nią — Bellay rozkazał swojemu człowiekowi. Houston zanurkował pod gobelin; razem z nadintendentem i Bel-

layem pobiegli wzdłuż ukrytego korytarza. Ruszyli w dół schodów, które zdawały się nie mieć końca.

Wreszcie dotarli na sam dół, do zimnego, ciemnego, wykutego w granitowej skale tunelu, wznoszącego się gdzieś ku tyłom zamku.

Bellay wyciągnął silną latarkę ze swego śnieżnego kombinezonu. Strumień światła przeciął ciemność tunelu; posuwali się dalej. Andrews trzymał broń w pogotowiu. Wkrótce tunel zaczął wznosić się bardziej stromo. Houston usłyszał wycie wiatru. Poczł przejmujący chłód.

— Musimy iść w kierunku góry. W stronę grzbietu ponad zamkiem. — Głos Houstona odbijał się w tunelu.

W upiornym świetle latarki ujrzał zmrózoną mgłę ich oddechów. Doszli do zakrętu. Kiedy wyrzeli za róg, Bellay oświetlił odsłaniającą się przestrzeń.

Drzwi. Skoczyli do przodu. Pociągnęli je ostrożnie. Uderzyła w nich wyjąca ciemność śnieżycy.

— Tutaj — powiedział wskazując Bellay.

Houston zasłonił się rękami przed burzą. Spoglądał tam, gdzie światło latarki ukazywało na wpół zasypane ślady na śniegu. Ktoś, w niewielkiej odległości przed nimi, musiał podążać w stronę gór. Policzki Houstona zdrętwiały na mrozie. Mimo wścieklej wichury wyszedł z tunelu podążając po śladach.

— Nie znajdzie go pan — powiedział Bellay.

— Muszę spróbować! Muszę go dorwać w swoje ręce!

— Zamarznie pan na śmierć. — Andrews próbował go zatrzymać. Houston rozłożył ręce i ruszył

dalej.

— Burza to zrobi za pana — powiedział Bellay. — Nie ma tam żadnej szansy.

Ślady zniknęły. Wpatrując się, zdumiony, zaczął podejrzewać, że ma halucynacje. Śnieg u jego stóp zmienił kolor. Biel stała się jasną, zabryzganą czerwienią.

Bellay jęknął i upadł, upuszczając latarkę.

Houston skulił się zaalarmowany. Słyszał strzał. Skąd? Wiatr robił swoje sztuczki, zmieniając kierunek głosu.

Andrews przedzierał się do Bellaya.

204

Krew bryznęła do przodu, uświadomił sobie Houston. A więc strzał musiał paść z...

Houston odwrócił się gwałtownie, by zobaczyć, co jest za nim. Wpatrywał się w otwarte drzwi tunelu, ale St. Laurenta nie było widać. Czy było jakieś miejsce wewnątrz tunelu, skąd St. Laurent mógł ich atakować?

Wyteżając wzrok, badał ciemności. Nagle dostrzegł błysk szkarłatu. Nie w tunelu. Wyżej! Na skalnym występie, ponad wyjściem z tunelu! St. Laurent najwidoczniej wiedział, że go ścigają. Zamiast przedzierać się dalej, przez śnieżycę, cofnął się po swoich śladach. Wdrapał się na skalną półkę i czekał, zamierzając zastrzelić tych, którzy będą szli za nim.

Marznąc w ciemności, Houston wpatrywał się w raptowny ruch szkarłatu. Domyślił się, że St. Laurent ciągle ma na sobie podszytą szkarłatem pelerynę. Facet uciekał w takim popłochu, że nawet nie zmienił ubrania. Nie miał na to czasu.

Teraz Houston zobaczył wycelowany w siebie rewolwer. Coś jednak było nie tak. St. Laurent mógł z łatwością zastrzelić ich wszystkich i zdobyć ciepły kombinezon. Co go zatrzymywało?

Mroźny wiatr był tak silny, że Houston nie czuł już policzków. Boże, on ma gołą rękę! Przymarzła mu do rewolweru! Jego palce — nie może nimi poruszać!

St. Laurent szarpał się, usiłując uwolnić palce za wszelką cenę. Odrywał je, rycząc z bólu.

Houston nie miał żadnej broni.

— Andrews! Nad tobą!

Ostrzeżenie przyszło jednak zbyt późno. Obolały St. Laurent skoczył, opadając łukiem w dół.

Szkarłatna podszywka peleryny rozwinęła się na wietrze. Postać uderzyła jak z piekieł.

Cofając się, Houston poczuł walące się na niego ciało. Przechylił się do tyłu, łapiąc oddech po uderzeniu. Upadł. St. Laurent pochylił się, waląc beużytecznym, przymarzniętym do dłoni rewolwerem.

Andrews krzyknął. St. Laurent i Houston potoczyli się. Znajdowali się na zboczu. Turlali się w dół po śniegu.,

Oddalili się od Andrewsa i światła latarki. Ukrył ich chaos śnieżycy. Toczyli się w ciemności, zadając sobie nawzajem nieskuteczne ciosy. Houston uderzył bokiem o skałę pod śniegiem. Jego głowa obijała się o jakieś drzewo. Wpiął się w St. Laurenta. Bił krótkimi uderzeniami. Szarpał go.

205

Raptownie Houston poczuł nieważkość. O Boże, jesteśmy na urwisku! Spadamy! Żołądek podszedł do gardła. Oddech z bólem wydobywał się z płuc.

Przekreślił się upadając. Wiatr hulał w najlepsze. Śnieg zaklejał im oczy. Wylądowali z przyprawiającą o mdłości gwałtownością. Houston poczuł przenikający go na wskroś chłód, paraliżujący w czasie walki.

Jego prawa noga zwiślała w otwartą przestrzeń. Chociaż nie widział nic dokoła, był pewien, że wylądowali na jakimś występie skalnym. Przerażony próbował się wydostać.

Lecz St. Laurent nadal okładał go rewolwerem. Umysł Houstona gasł, jak gdyby śnieg przenikał jego mózg. Siły opuszczały go. Zwolnił uchwyt rąk wpiętych w jego oczy i uszy.

Jakiś krzyk.

— Houston!

Tak. Andrews go szukał. Ale za późno.

Jestem u kresu. Nie mam już sił do walki. Zimno. Cudownie. Potrzebuję snu. Muszę odpocząć. Strumień światła macał poprzez śnieżycę.

— Houston! Zbliżał się.

St. Laurent był dezorientowany. Uderzywszy raz jeszcze rewolwerem, podniósł się. Chyba zrozumiał, że nie może walczyć jednocześnie z Houstonem i Andrewsem. Rozglądał się dookoła szukając jakiegoś miejsca, gdzie mógłby się ukryć.

Ruszył.

W złym kierunku.

W stronę urwiska, którego nie mógł dostrzec. Przez moment Houston sądził, że zawodzą go oczy.

Peleryna rozpostarła się. Wydawało się, że St. Laurent gotuje się do lotu.

Nagle St. Laurent wrzasnął przeraźliwie. Spadał obracając się. Czerwień i czerń i znowu czerwień i czerń. Potem już tylko biel.

Zniknął.

Andrews gramolił się w dół po zaśnieżonym zboczu. Pełen obaw, przykucnął obok Houstona.

— Jesteś ranny?

— Nie wiem... Bellay?

— Jest tylko ranny... St. Laurent?

— Spadł z urwiska.

206

— Chodź, zamarzniesz na śmierć — powiedział Andrews. — Zabiorę cię z powrotem.

Wirujący śnieg zaczął wirować w głowie Pete'a.

Gdzie? — pomyślał. Gdzie chcesz mnie zabrać?

Żona nie żyje. I ojciec.

Gwałtowna śnieżycy jakby oddaliła się i w swym wirującym umyśle ujrzał kiwającą na niego postać. Kobietę. Oferowała mu ratunek i przyszłość.

Tak, pomyślał. Tak, zabierz mnie do niej. Simone.

Andrews pomógł mu wstać, obrócił go i poprowadził przez śnieg. Na długo przed dotarciem do wejścia tunelu, otworzył się inny tunel i pogrążył go. Nieświadomość była zbawienna, koniec bólu i żalu.

Kiedy się obudził, czekała na niego.